

W NUMERZE: O problemach środowiska literackiego mówią delegaci na Zjazd ZLP ■ Reportaże zagraniczne Machejki i Bąbińskiego ■ Praca na konkurs – czyli o karierze zwykłego inżyniera ■ Mała Ziemia ■ Nowa proza Tadeusza Papiera ■ „Feralny wtorek” opisany przez R. Binkowskiego ■ Perypetie docenta z samochodem ■ Wszystko o dzinsach ■ Fałszowanie dokumentów ■ O snobizmie w plastyce ■ W kręgu pamięci ■ O mazurskich staroobrzędowcach ■ Wędrowki zimą i latem ■ Kolejny numer Magazynu Kulturalnego

NR 13 (1059) ROK XXI
26 MARCA 1978 R.
CENA 3 ZŁ

tygodnik społeczno-kulturalny

Kódź

odgłosy



Foto: Archiwum

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PRACA NA KONKURS

Wrócił do domu później niż zwykle. Jeszcze był w przedpokoju, gdy zapytała:

— Byłeś u lekarza?
— Tak. Mam anginę. Dał zwolnienie na dziewięć dni i kazał leżeć.
— To poleżysz.

Nie lubił leżeć w łóżku. Nigdy nie miał na to czasu. Ale teraz nie było wyjścia. Rafał i Marcin powędrowali do babci, żeby od taty nie zarazić się anginą. Dostawał regularnie lekar-

stwa. Gorączka powoli opadała. Nudził się. Próbował oglądać telewizję jak leci, ale szybko przestało go to bawić. Próbował czytać.

— Napisalbyś wspomnienia — powiedziała nieoczekiwanie. — Przecież w łóżku możesz pisać.

— Wspomnienia? A po co?

— Na wasz konkurs. Sam przecież mówiłeś, że Fabryka ogłosiła na 150-lecie konkurs na wspomnienia.

— Daj spokój, jakie tam mam wspomnienia.

— Siedemnaście lat pracujesz w Fabryce i nie masz o czym wspominać?

Nie na to nie powiedział. Adela była pielęgniarką. Poznali się w gabinecie lekarskim. Miał wtedy palec chory u nogi i poszedł do przychod-

Dalszy ciąg na str. 9

WIESŁAW MACHEJKO

ULICE HANOI

Do Wietnamu prowadzą trzy drogi: morską, lądowo-kolejową i powietrzną. Z pierwszej korzystają, bo muszą, nasi marynarze, których statki obsługują linie dalekowschodnie i zawijają do Hajfongu czy Hozimina (dawniejszego Sajgonu). Każde ich przybycie oczekiwane jest w Hanoi z ogromną niecierpliwością, bo oznacza, że Polacy dostaną swoją porcję ulubionego „Żywca”, polskiej kielbasy, czy Bałtonowskiej kaszanki. Z drogi kolejowej korzysta wielu Polaków, ale zazwyczaj wracając już do kraju. Wiedzie ona przez Chiny, Mongolię, ZSRR (Syberię) zaś sama jazda pociągami trwa netto około 10 dni stwarzając dzięki rozmiarom się pociągu przychodzącego z Hanoi i odchodzącego z Pekinu do Moskwy możliwość kilkudniowego przynajmniej zatrzymania się w stolicy Chin, zwiedzenia miasta, jego zabytków. Pociąg utrzymywany i obsługiwany jest na zmianę przez zestawy raz to chińskie raz radzieckie.

Ci co jeżdżą z paszportami służbowymi nie mają większych kłopotów z przejazdem przez Chiny, Ci co podróżują prywatnie mają okazję do silnych emocji, bo mimo posiadanego w kieszeni biletu wykupionego w kraju muszą liczyć się z tym, że np. nie otrzymają na czas wizy w chińskiej ambasadzie w Hanoi. Mówię: „muszą się liczyć” co nie znaczy, iż zdarzyło się by komuś wizy takiej odmówiono.

LOTNISKO GIA-LAM

Mamy pod sobą dobrze mi znane hanojskie lotnisko Gia-Lam. Rok minął właśnie, gdy wystartowałem stąd w powrotną drogę do kraju po pierwszej wietnamskiej ekskursji. Patrzę pilnie przez okienko IL-18, aby przekonać się, co też na Gia-Lamie i w widocznej na horyzoncie panoramie miasta zmieniło się. Więc tu pod nami wypełnił się pla-

szczyznami ścian stalowy szkielet Zakładów Remontu Taboru Kolejowego, fabryki którą budujemy tam w ramach międzynarodowej współpracy. Zakłady planowane początkowo jedynie jako remontowo-naprawcze z czasem urosły do rozmiarów fabryki równiejszej więcej PAFAWAGOWI i jak się zdaje jedyna i druga strona nie powieziały

Dalszy ciąg na str. 12

JAN BĄBIŃSKI

TRANSATLANTYK

Kowalczyka poznałem na pokładzie. Podeszedłem do niego i spytałem.

— Przepraszam, ale wydaje mi się, że jest pan Polakiem.

— Łatwo poznać, nieprawda? Przyjechałem do kraju zobaczyć jeszcze raz te wszystkie stare kąty. Kiedy człowiek był młody i miał siły do zabawy, to nie brakowało czasu i pieniędzy. W Ameryce trzeba było harować, tam, jak to się mówi godzina ma trzydzieści minut. Teraz kiedy mam pieniądze i czasu jest pod dostatkiem, to nie mam sił ani ochoty na różne takie rzeczy.

1.

— Z interesów już się pan wycofał?

— Tak, była pora po temu, zdrowie nie pozwala. Długo rozglądałem się za czymś mrocznym, w końcu ucziłem się handlu. Miałem dwa duże sklepy w Cleveland. Złoty się, owszem, ale na starość to zostało tylko popijanie pigulek wodą. Tak w kółko, od rana do wieczora pigułka i pigułka.

W krzyżu łamie, nogi się trzęsą, tak, tak, jak to się mówi — stary no mary. Wie pan dlaczego wybrałem ten okręt zamiast samolotu, żeby przyjechać do kraju? Jako młody jeszcze człowiek w 1930 roku płynąłem też na polskim statku. Parowiec „Re-

wa”, pamiętam jak dziś, należał do Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa, które obsługiwało linię do Ameryki. Miał to być statek kilka razy młodszy od „Batorego”. My emigranci, dusiliśmy się jak śledzie w najgorszych pomieszczeniach. Było nas 400, smród, zaduch, a huśtało strasznie, myślałem,

że już ducha wyzionę. Ta łajba wlokła się do Londynu cztery dni. Dział to płynął człowiek luksusowo, w eleganckim salonie, jak w jakim hotelu.

Emigranci... Przyszło mi na myśl, że tylko w latach 1925–30 wyemigrowało z Polski do Kanady, Stanów Zjednoczonych i Brazylii przeszło 300 tysięcy osób.

Kowalczyk popatrzył na kraczące koło statku mowy.

— Najpierw wylądowałem w Kanadzie, tam szukałem tego szczęścia.

Wtedy wolno się było osiedlić w tym kraju tylko razem z rodziną. Przejazd statkiem z całą rodziną kosztował kilkanaście tysięcy złotych. To już był cały majątek. Kogo było na to stać? Za takie pieniądze można było wtedy w Polsce wmurować duży dom. Robotnik brał mniej więcej po 130 złotych miesięcznie to już była góra w mieście Łodzi, gdzie mieszkała moja rodzina. Z początku szło mi

Dalszy ciąg na str. 10

ŻYCZENIA JUBILEUSZOWE

Lódzkie Wydawnictwo Prasowe
RSW „Prasa — Książka — Ruch”

W związku z jubileuszem 20-lecia „Odgłosów” przesyłam dla całego Zespołu Redakcyjnego serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności, a przede wszystkim sukcesów w twórczej pracy — aby wysoki poziom merytoryczny warsztatu dziennikarskiego przysparzał Tygodnikowi coraz większą popularność, a jego czytelnikom przyjemność i zadowolenie.

Dyrektor Wydawnictwa
(—) mgr Piotr Sagan

Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza
„Prasa — Książka — Ruch”
Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi

Z okazji jubileuszu XX-lecia „Odgłosów” składam Zespołowi Redakcyjnemu serdeczne gratulacje oraz najlepsze i najserdeczniejsze życzenia wielu sukcesów w pracy i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Pragnę jednocześnie przekazać wyrazy uznania za podejmowaną na łamach Waszego pisma interesującą problematykę tak bliską mieszkańcom naszego „Grodu nad Łódką”.

Wyrażam głębokie przekonanie, że wspólnie z Zespołem Redakcyjnym nie będziecie szczędzić wysiłku i zaangażowania nad dalszym wzrostem popularności „Odgłosów”.

Pragnę jednocześnie zapewnić, że załoga Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi dąży do wszelkich starań nad upowszechnieniem Waszego Tygodnika wśród społeczeństwa.

Dyrektor
(—) Janusz Król

W związku z pięknym jubileuszem pisma — XX-lecie rocznicą powstania łódzkiego tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” — składamy dla całego zespołu redakcyjnego serdeczne gratulacje oraz słowa uznania za wieloletnią działalność na polu trudnej pracy dziennikarskiej i redakcyjnej.

Przyjmijcie również, na kolejne XX-lecie od najwspanialszych czytelników, życzenia owocnej pracy, jak największych sukcesów, szerokiego uznania społecznego, osobistej satysfakcji oraz wszelkiej pomyślności.

Dyrektor Delegatury
GUKPIW w Łodzi
(—) Maria Jeżewska
wraz z zespołem

Z okazji XX-lecia powstania „Odgłosów” przesyłam Obywatelowi Redaktorowi oraz całemu Zespołowi Redakcyjnemu żołnierskie i akademickie gratulacje oraz życzenia dalszej twórczej działalności, dla dobra kultury polskiej i rozkwitu socjalistycznej Ojczyzny.

Łączę również wyrazy głębokiego szacunku.
Rektor
Wojskowej Akademii Medycznej
im. gen. dyw. Bolesława Szareckiego
(—) gen. bryg. doc. dr hab. n. med. Jerzy Bończak

„ODGŁOSOM” — serdeczne życzenia coraz większej obecności w życiu naszym codziennym, a Koleżankom i Kolegom satysfakcji i szczęścia.
Życzy w imieniu
Zespołu Łódzkiej Telewizji Polskiej
(—) Michał Walczak

W związku z dwudziestolenną rocznicą powstania zaangażowanego społecznie, zasłużonego dla miasta Łodzi czasopisma składamy serdeczne gratulacje w imieniu wszystkich członków Zespołu Filmowego „Profil”

Bohdan Poręba
i Stanisław Skubniewski

Gonicie nas, Serdeczności z okazji 20-lecia. Myśmy przeżyli je przed ćwierćwieczem

Zespół „Kameny”

Z okazji 20-lecia dalszych życzliwych odgłosów ze strony czytelników życzy redakcja „Barw”.

Z okazji dwudziestolecia Waszej działalności serdeczne życzenia, dalszej owocnej pracy składa
Towarzystwo Przyjaciół Łodzi

Zespołowi „Odgłosów”, niestrudżonym pracownikom pióra i wiernym przyjaciołom teatru najserdeczniejsze gratulacje z okazji pięknego jubileuszu składa Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej.

Z okazji jubileuszu 20-lecia dużo sukcesów w pracy, ciekawych pomysłów i wiernych czytelników szefowi „Odgłosów” życzę

Janina Szydewska
i Sekretarz KZ PZPR ZTK „Teofilów”

Duszą z wami, ciałem w Leningradzie życzy przyjaciółom z „Odgłosów” przynajmniej 20 lat następnych sukcesów

Marek Wawrzkiwicz

W Przeddzień Historycznego Jubileuszu — w drodze z Łodzi do Poznania — czyli dnia 15 marca 1978 roku

Drogi Jerzy, który piastujesz Odgłosowy Ster z wysokością III piętra w przyliterackiej siedzibie Jubilata! Między zebraniem (w sprawie koordynacji międzyresortowych planów, cóż za proza), a odczytem — który mam właśnie wygłosić w Instytucie Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (to nie proza, ale życie) — się na Twoje ręce najwspanialsze Życzenia dla Wszystkich Odgłosowców i Odgłosowiczów z okazji NASZEGO Historycznego Jubileuszu! Czuję się po trochu tak, jakbym składał życzenia samemu sobie, bo to już dziesięć lat, jak jestem z Wami i czuję się jednym z NAS (co nie oznacza, że nie dostrzegam czasem, że mój felieton niekiedy się nie mieści w numerze! Myślę, że przez te XX lat Odgłosy — których nie byłoby bez Wszystkich Odgłosowców i Odgłosowiczów z Redakcji i spoza Niej — zrobiłyby nie mało dla społeczeństwa naszego Miasta i że w następnym XX-leciu uczynią jeszcze więcej. Składa się na to trud, zapal, wysiłek — a niejednokrotnie i nerwy — wielu spośród NAS i tych, którzy są nam życzliwi. Wspomnijmy o nich Wszystkich i wzniesmy za ich zdrowie Toast Jubileuszowy, co niniejszym właśnie czynię

(—) prof. dr hab. Andrzej F. Grabski

Z okazji szczerzotych godów pisma z Łodzi, najlepsze życzenia dla Jubilata, Szefa i Personelu
Odgłosowscy wędrownicy
Chrościelewski i Kuźniak

Jubileusz „Odgłosów” jest dla mnie wydarzeniem, które przeżywam bardzo osobiste i z poczuciem sporej satysfakcji: pamiętam narodziny Pisma, jego rozwój, widzę swój skromny ślad na jego łamach. Wierzę, że pod Twoją, Drogi Redaktorze, batuną „Odgłosy” zmierzają być coraz wyżej i dalej — i oby trafiały nie tylko do ośmiennych województw lecz do wszystkich regionów kraju... To moje życzenia. Gratuluję i serdecznie pozdrawiam całą załogę „Odgłosów”

Z mocnym uściskiem dłoni
Feliks Rajczak

Starosąsiedzkie (a jednak) gratulacje, słowa życzeń i solidarności

Zespół miesięcznika „OPOLE”



SPOTKANIE W „ODGŁOSACH”

W czwartek 16 marca 1978 roku z okazji dwudziestolecia „Odgłosów” odbyło się w lokalu redakcji spotkanie zespołu redakcyjnego z przedstawicielami władz miasta, instytucji kulturalnych, wydawnictw, organizacji społecznych, związków twórczych i środowisk artystycznych.

W spotkaniu jubileuszowym wzięli udział między innymi: sekretarz KŁ PZPR — Zbigniew Fallński, I sekretarz KD PZPR Łódź — Śródmieście — Tadeusz Lewandowski, wiceprezydent miasta Łodzi — Jan Morawiec, II sekretarz Ambasady ZSRR w Warszawie — Jewgienij Niewiakin, dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Piotr Sagan, prezes Łódzkiego Oddziału SDP — Wojciech Drygas, naczelni redaktorzy łódzkich gazet i radia.

Gości powitał naczelny redaktor „Odgłosów” — Jerzy Wawrzak. Przypomniał, że „Odgłosy” przez 20 lat towarzyszą przemianom gospodarczym, społecznym i kulturalnym miasta. Na łamach pisma znalazły odbicie najważniejsze wydarzenia z najnowszej historii Łodzi. W swojej dalszej pracy zespół tygodnika stawia sobie zadania pełniej odpowiadać na zapotrzebowania czytelników, skupiać wokół pisma ludzi z różnych środowisk, którzy swoim dorobkiem intelektualnym, naukowym i artystycznym przyczyniają się do dalszego rozwoju Łodzi, do rozwoju życia kulturalnego w mieście i regionie.

Składając zespołowi i współpracownikom życzenia z okazji dwudziestolecia „Odgłosów” sekretarz KŁ PZPR — Zbigniew Fallński podkreślił rolę pisma jako

inspiratora twórczych dyskusji nad społecznym i kulturalnym rozwojem Łodzi. Środowiska artystyczne, twórcze i naukowe miasta mają pokazać dorobek i pismo powinno korzystać z tego dorobku. Na łamach tygodnika powinny znaleźć odbicie te wszystkie twórcze myśli, które nurtują kulturalne środowiska Łodzi, które przyczyniają się do dalszego postępu.

Dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW — Piotr Sagan wręczył nagrody zasłużonym pracownikom „Odgłosów”.

Z okazji naszego dwudziestolecia otrzymaliśmy wiele życzeń, z których część drukujemy obok. Wszystkim Czytelnikom, Instytucjom, przyjaciołom „Odgłosów”, którzy składali nam życzenia na piśmie, telefonicznie i osobiście serdecznie dziękujemy.



Foto: W. Parys

Z winy drukarni w numerze 12 „Odgłosów” z dnia 19 marca, w części nakładu tytuły ze strony 8 zostały powtórzone na stronie trzeciej, za co serdecznie przepraszamy Czytelników i Autorów.

ALEKSANDER KAMIŃSKI (1903-1978)

W Warszawie, w wieku 75 lat zmarł Aleksander Kamiński, autor „Kamieni na szaniec”, wieloletni członek łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich, profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

Debiutował w roku 1928 na łamach „Piłomyka” jako prozaik, cztery lata później ogłosił książkę „Antek Cwaniak”. Był wychowawcą i działaczem Związku Harcerstwa Polskiego, był twórcą polskiego ruchu zuchowego w łonie ZHP.

Wojna i okupacja postawiły przed Aleksandrem Kamińskim zupełnie nowe i trudne zadania. Pełniąc służbę w ZWZ i AK stworzył i redagował „Biuletyn Informacyjny”, kierował akcją małego sabotażu „Wawer”. I właśnie o harcerzach „Szarych Szeregów”, o ich sabotaż-

wych akcjach napisał najgłośniejszą swoją książkę „Kamień na szaniec”. Książkę, której pierwsze wydanie (pod pseudonimem Juliusza Góreckiego) ukazało się w roku 1943, a ósme w roku 1972. Piękne świadectwo konspiracyjnej działalności Aleksandra Kamińskiego wystawił Czesław Miłchański w głośnej książce dokumentalnej „Wojna warszawsko-niemiecka”.

Aleksander Kamiński był nie tylko znakomitym pisarzem, był także cenionym naukowcem, członkiem wielu towarzystw naukowych, członkiem Komitetu Nauk Pedagogicznych i Psychologicznych PAN. Pracę naukową na UL rozpoczął w latach 1945-1950, aby kontynuować ją znów od roku 1957, uzyskując w roku 1968

tytuł profesora nadzwyczajnego. Opublikował prawie trzydzieści prac naukowych z dziedziny pedagogiki, pod jego kierunkiem wykonano ponad 70 prac magisterskich i 10 prac doktorskich. Stworzył teoretyczne podstawy organizacji społecznych oraz pracował nad przygotowaniem podręcznika akademickiego z pedagogiki społecznej. Jego główna książka z tego zakresu to wydane przez PWN „Funkcje pedagogiki społecznej”.

Cenna i rozległa była działalność naukowa Aleksandra Kamińskiego, ale dla najszerszych rzesz czytelników średniego pokolenia pozostanie on autorem „Zośki” i „Parasola” oraz „Kamieni na szaniec”, o powieści o bohaterstwie, poświęceniu i patriotyzmie.

TERESA GABRYSIEWICZ-KRZYSZTOFIKOWA (1934-1978)

W dniu 8 marca 1978 roku zmarła w Tomaszowie Mazowieckim Teresa Gabrysiewicz-Krzysztofikowa — poetka, autorka książek dla dzieci i młodzieży, członek łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich. Urodzona w Warszawie od chwili wyzwolenia mieszkała w Tomaszowie Mazowieckim, pracując jako bibliotekarka.

Debiutowała przed piętnastu laty na łamach Tygodnika Kulturalnego jako poetka. Otrzymała wiele nagród na licznych konkursach literackich. Dwadzieścia pięć lat swojej pracy zawodowej w bibliotece poświęciła upowszechnianiu książki i czytelnictwa.

organizowała setki spotkań autorskich, odczytów i prelekcji. Skupiała wokół siebie młodych twórców, najbardziej zafascynowanych sztuką słowa, stawiającą pierwsze twórcze kroki, służąc im radą, życzliwością, jakby na przekór własnym doświadczeniom. Wydała 4 książki, dziewięć następnych pozostało w mrokach szuflady.

Mimo ciężkiej choroby nie umiała się pogodzić z bezczynnością, snuła dalsze plany twórcze. Jako prezes Piotrkowskiego Klubu Literackiego zrobiła wiele dla sprawy aktywizacji życia literackiego i kulturalnego w województwie piotrkowskim.

Postępująca choroba wyrwa-

ła pisarkę spośród żyjących. Urodzona w Warszawie, ciałem powojennym okresem życia przypisała się do Tomaszowa. Motywy tego miasta i okolic postaci z nim związane przejawiają się w Jej książkach. Na tydzień przed śmiercią „Odgłosy” zamieściły garść Jej nowych wierszy.

Nie zdążyła napisać nowych wzruszających strof. W sobotę 11 marca 1978 roku, na tomaszowskim cmentarzu połącznym Teresę Gabrysiewicz-Krzysztofikową — pisarkę, działaczkę społeczną, człowieka wielkiej wrażliwości i szlachetnego serca. Pozostawiła chlubny zapis życia i pracy oraz myśli zawartych w swoich książkach.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDUCH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JĄDZIŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃKOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRĄBSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, JERZY PANASEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANIKIEWICZ.

PRZED WALNYM ZJAZDEM ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

W dniach 7-8 kwietnia br. obradować będzie w Katowicach Walny Zjazd Związku Literatów Polskich. W czasie obrad tego Zjazdu podniesione zostaną zapewne najbardziej istotne i węzłowe problemy polskiej kultury. Jako swego rodzaju suplement do owej dyskusji publikujemy dziś sześć krótkich wypowiedzi delegatów na Zjazd, reprezentujących łódzkie środowisko literackie.

TADEUSZ CHROŚCIELEW-SKI



Kul u nogi naszego życia kulturalnego jest sporawo. Oto, moim skromnym zdaniem, jedna z nich. Nazwę ją swoistą rasampoją po wiekach testamentu Krzywoustego, który wprowadził tzw. rozbiór dzielnicowy. Jest nią stosowana praktyka zamykania życia kulturalnego „terenu” w granicach administracyjnych województwa czy paru tradycyjnie ze sobą związanych województw, a wyposażania w status w tej materii ogólnopolski dwóch jedynie ośrodków, niejako dzielnic senioralnych — Krzywoustego Krakowa i Warszawy.

Widać to szczególnie wyraźnie na przykładzie ogólnego profilowania prasy społeczno-kulturalnej w Polsce na ogólnopol-

skie i waskoterenowe. „Barwy”, „Profil”, „Warmia i Mazury”, „Opole”, „Nadodrza”, „Poglądy”, „Przemiany”, „Miesięcznik Kulturalny” do niedawna „Kontrasty”, tak zasłużone ośrodki dla życia kulturalnego całego kraju „Kamena”. Jedynie pismo tego typu w drugim największym mieście i trzecim liczebnie skupisku pisarzy w Polsce „Odgłosy” i in. — posiadają status pism zainteresowanych jedynie problematyką swego najbliższego terenu. Wyjątkowo tylko poruszają one sprawy innych okolic kraju i ważkie ogólnokulturalne, a jeśli nawet usiłują włączyć się do jakiejś rozpalającej do żywego temperamentu dyskusji toczącej się w prasie tzw. centralnej, głos ich nie jest brany przez żelaznych szermierzy pod uwagę dla prostej przyczyny, że do nich i do szerszej opinii społecznej nie dochodzi. Kolportaż tych pism bowiem urywa się jak uciętą jak kłosem przy „granicznej” stacji kolejowej, rzeczą, tablicą: wita wojewódz-

two X, żegna województwo Y. A zatem Polska literacka dzieli się na stożeczną — z daleka widzialną jak Pałac Kultury z najbliższych peryferii Brudna — i szereg małych i wielkich, w których tworzą ubodzy krwini pisarzy o ogólnopolskim rezonansie. Nie trudno zgadnąć, że nie wpływa ten stan rzeczy najlepiej na samopoczucie pisarzy niestojących w kręgu owych „wielkich” i „małych” Polacy, w naszym sosie. Jaskrawe przykłady tego: umieranie na upływ krwi kossalińskiego oddziału ZLP czy od lat cierpiące na wielką niemocność z powodu chronicznego skłócenia opolskie środowisko piarskie. Jak już choćby z tego wynika, owo złe samopoczucie bynajmniej nie należy do dolegliwości, które można by uznać za przypadłość prywatną twórcy. Rzutuje ono na samą twórczość. Rzutuje — znaczy sprzyja dezaktywacji, obniżeniu lotów itp., itp.

Nie łatwiejszego jak mi w tym miejscu zaprzeczyć, że nie jest tak źle, pisarz wcale nie musi publikować w pismach, i jeszcze senioralnych: wypowiada się przecież poprzez książki, które są do nabywania we wszystkich księgarniach od Tatr snych do Morza Bałtyckiego... Są albo nie są. Księgarnie zamawiające książki kieruje się przecież z natury rzeczy maglą nazwiska. Temu zaś mogą dać tylko ogólnopolski rozgłos — pisma ponadregionalne i mas media z konsekwentnie najbardziej kołystając z koteryjnych telewizji na czele. I po takie nazwiska tylko sięga praktycznie czytelnik, który — wbrew patetycznym deklaracjom przy okazji każdej inauguracji Roku Kulturalno-Oświatowego o niesłychanie jakoby burzliwym awansie kulturalnym mas — czyta mało, poprzestając na odbiorze „jak leci” programów telewizyjnych.

Nie chodzi mi tu wcale o postulowanie jakiegos swoistego egalityzmu literackiego gwoi satysfakcjonowania przez siłę

miliości własnej pokrzywdzonych czy rzekomo pokrzywdzonych tylko przez... geografie. Chodzi o fakt, że zbyt często słowo piarskie nie spełnia zadania, dla którego zostało powołane na karty książki czy szpalty czasopisma, tzn. nie dociera do czytelników, tylko z powodu zbyt daleko idącej u nas etatyzacji życia kulturalnego i ogólnego planowania w tak delikatnej materii. Jaka jest geografia kultury. Mam na myśli wyrażanie przez planistyczne „fiat” czy „non fiat” prawa doboru naturalnego, wskutek działania którego np. w XIX w. Wilno, Grodno, Poznań i Przemysł ze swym „Frederum” był bądź wyrastały na ogniska kultury. Kolonizacja zaś nie. Mam też na myśli zbyt niepomaganą — w dosłownym tego słowa znaczeniu — w dziedzinie kultury różnych Senioralnych Towarzystw Wzajemnej Adoracji.

A informator o łódzkich piarszach? Był w swoim czasie przygotowany do druku, jednakże nie ujrzał światła dziennego. Ma taki informator Kraków, ma Poznań i Gdansk, ma Lublin, ma Zielona Góra. W ostatnim Biuletynie Związku Literatów Polskich przeczytałem min., że Wydawnictwo „Polejście” przygotowuje wydanie — cytuję — „specjalnego katalogu pt. „Olsztynskie środowisko literackie”, a także wydanie wytyków literackich pisarzy regionu olsztynskiego”. Moi łódzcy koledzy muszą drukować sobie wytyki sami. Ale to part, bo idzie tu przecież o informacje i pomoc dla księgarzy, bibliotekarzy, nauczycieli i organizatorów spotkań autorskich, które są dotychczas pozbawieni.

Zale przedzajdować? Tak rzecz skwitować najłatwiej. A może chodzi po prostu o trochę dobrej woli i inicjatywę zamierzającej do wyrównania dysproporcji w traktowaniu łódzkiego środowiska piarskiego w stosunku do innych piarskich środowisk? A sprawy, które tu poruszam, mają, jak mniemam, wymiar trochę szerszy — nie tylko środowiskowy.

TADEUSZ GIGIER



Sprawy, które chcę tu poruszyć, to tylko niektóre z wielu. Dotyczą one „łódzkiego podwórka”, bo to znam najlepiej. Zaczne od współpracy Łódzkiego Oddziału Związku Literatów ze szkołami stopnia licealnego, będącej przedmiotem uwagi naszego kraju. Kilkonastu naszych koledzy opracowało prelekcje na tematy związane z literaturą współczesną, a więc tą, którą towarzyszy młodym ludziom dziś i będzie im towarzyszyć w okresie ich dorobku. Nie chcę tu mówić o występujących dość często mankamentach organizacyjnych tej akcji, wchodzącej w zakres tzw. zajęć fakultatywnych. Prelekcje się odbywały, snor w ich trakcie rozmów i dyskusji, z których wynika niedwuznacznie, że młodzież odczuwa niedostatek

czy o współczesnej literaturze, bowiem podręczniki szkolne, a także wykłady nauczycieli, nie uwzględniały tych wiadomości w sposób dostateczny.

Zapamiętałem kilka głosów młodych ludzi, dających wiele do myślenia. A więc głos, że nie się dzieje, iż rolę integracji przedmiotów szkolnych nie spełnia jeden z przedmiotów humanistycznych, np. historia lub język polski. Ze literaturą nie powinna chyba nawiązywać styczności, lecz tworzyć dla niej wzorce do naśladowania. Ze za mało uwzględnia się znaczenie tradycji, w tym także tradycji literackiej, w kształtowaniu wartości i przyszłości naszego kraju. Ze literaturę należałoby widzieć także jako sztukę słowa, a nie wyłącznie jako narzędzie treści publicystycznych.

Tematy moich prelekcji to „Łódź literacka w Trzydziestolecie” i „Satyra polska w Trzydziestolecie”. I co okazuje się przy tej okazji? Łódzka młodzież szkolna najmniej wie o piarszach łódzkich. O niektórych z nich, i to nawet tych liczących się w skali krajowej, dowiaduje się po raz pierwszy. Nie mówię o tym wykładowcy, nie pisze prasa codzienna, milczy programowo łódzka telewizja. Nie publikuje się sylwetek łódzkich piarszy ani recenzji z ich książek, nawet tych z Łodzią związanych.

Młodzież chce recytować wiersze o Łodzi, liczne teatry poezyj doremnie poszukują tekstów na jej temat, w muzyce zespołów młodzieżowych istnieje duże zainteresowanie dla poezyj śpiewanej. Wydawnictwo Łódzkie, owszem, wydaje Bibliotekę Poezji, ale jej egzemplarze trafiają tylko do niektórych bibliotek szkolnych. Wiem, że w trakcie opracowywania jest antologia wierszy o Łodzi, ale uważa się ona nieprecyzyjnie. Może więc wyszła naprzeciw tym zainteresowaniom młodzieży, a chyba i nie tylko młodzieży. I to niekoniecznie w oparciu o pracujące dyktando Wydawnictwo Łódzkie? Myśle tu o ruchliwym Towarzystwie Przyjaciół Łodzi, o coraz bardziej prężnej Federacji Stowarzyszeń Twórczych — a już ich władze podjęłyby się szybkiego wydania niedużych zbiorów wierszy łódz-

kich autorstwa takich poetów jak: Piechal, Timofiejew, Kasprovic, Koprowski, Kononowicz, Waleczek, Wisniewski, Kaszyński, Wilmański — i jeszcze kilku innych, współcześnie żyjących i piszących. Mogłaby z tego powstać całkiem interesująca biblioteczka poezyj łódzkiej.

Oddzielna sprawa to dystrybucja księzek łódzkich autorów (nie mówię już o propagowaniu tych księzek) w księgarniach łódzkich. Umiejscowienie księgarni ekspozycyjnej edycji Wydawnictwa Łódzkiego na peryferiach miasta (przy ul. Łakowej) to fakt dla naszej miejscowej polityki kulturalnej nader symptomatyczny. Jakież to przy tym ekspozycje? Mówiono mi niedawno o przypadku, gdy jedna z organizatorek imprez literackich chciała w tej księgarni nabyć pewną ilość egzemplarzy wydanej niedawno powieści łódzkiego piarsza. Księżka nie było ani w księgarni, ani w sklepie, ani w domu. Ale na skutek usilnego domagania się o sprawdzenie w magazynie księgarń sprzedawcy wywołał stamtąd całe narzęcze wzniękawnej książki.

kładu proszę lub ogłosić drukiem trzy scenariusze filmowe, dwie sztuki teatralne!... I teraz do czasu trzeba czekać na wydanie książki, od jak wielu czynników i zbiegów okoliczności to zależy! W dodatku, przeważnie „pierwsze koty za płoty” — nie wyda się tak na zwołanie jednego po drugim „dwóch wartościowych utworów literackich”. A punkt ten dotyczy zasadniczej zbiórki Związku: poetów i prozaików! Jeśli mi się uda zabrać głos w Katowicach, będę proponował poprawkę do Statutu... ogłoszonych w formie książkowej lub przedstawionych w maszynopisach...”

Sprawa jest poważna.

JAN HUSZCZA



W roku 1989 zakończono wydanie jedenastotomowego „Słownika języka polskiego”. Nakład ostatniego tomu wynosił 26.000 egz., gdy edycję zapowiedziano, łatwo było o talon subskrypcyjny! Obecnie zaplanowano wydanie trzytomowego słownika w nakładzie 300.000 egz. Jaki wspaniały, olimpijski skok o tyście! Ale okazuje się, że tego nakładu już będzie za mało, w dodatku, by go zrealizować, to z uszczerbkiem dla... podręczników! Nie dla afiszów, olbrzymich placht plakatowych, wezwań, biuletynów, jakichś gazetek bez oblegu, nie z uszczerbkiem dla dziesiątków formularzy i załączników, dla bloczków i naklejek na ścia-

nach domów, w klatkach schodowych kolorowych inwokacji: „szanuj nerwy sąsiadów”!

Talon subskrypcyjny stał się rarytatem takim, jak lepsze gatunki wędlin, nie ma nawet pewności, czy wszyscy prezenterzy telewizyjnych „oczołpów” zdają się w niego zaopatrzyć. Zamiast jeszcze jednego wspaniałego skoku wzwyż, odskok wprost do dziury, wypełnionej blokiem. A przecież gdyby podnieśli przydział papieru na książki zaledwie do ośmiu (słownie!) procent całej puli!

W 1937 roku przyjęto mnie w Wilnie do Związku Zawodowego Literatów Polskich (nie zauważono w moim sympatycznym kręgu tego czterdziestolecia), nie miałem dwudziestu lat. W marcu 1938 roku wy-

szedł mój pierwszy tomicek wierszy (też tego nie zauważono w moim sympatycznym kręgu łódzkim), czekanie na tomik, poczynając od przedstawienia rękopisów do przejrzenia sekretarzowi Wileńskiego Oddziału Zw. Zaw. Lit. Polskich, św. p. Teodorowi Bujnickiemu, trwało mniej niż trzy tygodnie. (Związek był wydawcą!) Mija trzeci rok, jak czekam na swój nowy tomik wierszy.

Teraz zaś niedawno dowiedziałem się, iż średnia wieku członków naszego Związku wynosi 55 lat, tak jest. Jeden tylko członek ZLP, zrzeszającego bądź co bądź współtwórców kultury narodowej, ma trochę poniżej trzydziestki. Horrible dictum! Niepokojące wskaźniki. A jeszcze niemal co tydzień w ostatnich miesiącach roku ub.

i w pierwszych bieżącego jakiś nekrolog z nazwiskiem piarsza! Przyczyny tej sytuacji? Na pewno różne i wymagające zbadań. Z niektórymi prawdopodobieństwem można tylko powieścić, iż zawód literata stracił atrakcyjność zarówno moralną, jak i tym bardziej — materialną!

Można być przyczyną, trochę przynajmniej zależną od samego Związku. Czytam m. in. w statucie, aktualnie nas obowiązującym: „Do Związku może być przyjęty autor dwóch wartościowych utworów literackich ogłoszonych w formie książkowej...”. Dalej wymienia się warunki, jakie muszą spełniać twórcy innego rodzaju: tłumacze, scenarzyści... itd. Też nielatte, zrealizujące dla przy-

kladu proszę lub ogłosić drukiem trzy scenariusze filmowe, dwie sztuki teatralne!...

I teraz do czasu trzeba czekać na wydanie książki, od jak wielu czynników i zbiegów okoliczności to zależy! W dodatku, przeważnie „pierwsze koty za płoty” — nie wyda się tak na zwołanie jednego po drugim „dwóch wartościowych utworów literackich”. A punkt ten dotyczy zasadniczej zbiórki Związku: poetów i prozaików!

Jeśli mi się uda zabrać głos w Katowicach, będę proponował poprawkę do Statutu... ogłoszonych w formie książkowej lub przedstawionych w maszynopisach...”

Sprawa jest poważna.

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI



Wyda mi się, że spośród wszystkich związków i stowarzyszeń twórczych najstarszy jest Związek Literatów Polskich. Nie chodzi mi, rzecz prosta, o datę powstania, lecz przeciętny wiek członków, przesuwający się powoli w stronę sześćdziesiątki. Z tego niepokojącego stanu rzeczy nie wynika wcale, że brak nam młodych piarszy. Nie policzyłem, co prawda, młodych poetów i prozaików, podejrzewam, że nikt tego nie uczynił, wiem jednak, że np. w Łodzi nie jest ich mniej, niż „dorosłych” i rzeczywiście piarszych. Podobnie w innych o-

środkach, jak przypuszczam. A jednak próg ZLP przekracza niewielu, najczęściej w wieku, który trudno nawet przy najlepszej woli nazwać młodym. Za wysoki próg? Moim zdaniem nie za wysoki, raczej za niski, rzecz jednak w czym innym. Uczestniczyłem nie jeden raz w posiedzeniach Zarządu Głównego ZLP czy swojego „macierzystego” i kiedy tylko (nieczęsto) pojawiała się sprawa młodych, reagowałem opiniołaniem podan, lub przyznawaniem stypendiów. Natomiast o ściślejszej wierz i Kolami Młodych czy interesujących w równym nikielny stopniu Korespondencyjnym Klubami Młodych Piarszy rzadko kiedy można było coś konkretnego usłyszeć. Jakby nie istniała żadna odpowie-

dzialność za przyszłość Związku. Jest to, rozumiem aż nadto dobrze, odpowiedzialność kłopotliwa, trudna do zrealizowania, ale uolekać od niej, jak sądzę, nie wolno. Czasom szczerze zainteresowanie zdolniejszymi, mądrą radą, odpowiednią rekomendacją u wydawcy, który — bywa i tak — boi się ryzykować publikowaniem mało znanego autora, może działać więcej niż sule i często potrzebne a zawsze pożądane stypendium. Nie chodzi mi zresztą w krótkiej wypowiedzi o zbawienne recepty, sądzę, po prostu, że sprawa młodych piarszy powinna być przedyskutowana na Walnym Zjeździe Delegatów ZLP. Nie tylko zresztą z punktu widzenia waskolierackiego, ale także jako o-

twarty problem społeczny.

Widziałbym też konieczność zwrócenia uwagi nie tylko na aktualny los polskiej książki, dość skomplikowany z uwagi na brak papieru. Literatura, która dzisiaj tego nie wie, może być i jest przekazywana w sposób masowy przy pomocy radia, telewizji i filmu. Tymczasem, jeśli dzielić piarszy według gatunków, które uprawiają, rejestr okaże się dość chudy. Poeta, prozaik, krytyk, reportażysta, tłumacz, dramaturg głównie teatralny, czasem radiowy, czyli autor sztukowisk. Nawet z tego rodzaju dramaturgia nie jest najlepiej, co depiero mówię o piarszach wyspecjalizowanych we współpracy z filmem, czy telewizją. Wielu piarszy narzeka, pewnie nie bez racji, że

im reżyserzy, dzięki tak zwanemu „swojemu widzeniu” i prawu do adaptacji, zepsuli doskonały tekst, i wielu reżyserów, też pewnie nie bez racji, narzeka na piarszy, że ani w zab nie pojmują o co w dramaturgii filmowej czy telewizyjnej chodzi. W rezultacie zdarzają się aude filmu i spektakle bez dramaturgii z kiepskim tekstem „literackim”. Trzeba ten stan rzeczy przedyskutować, znaleźć odpowiednie formy współpracy. Literatura anektowała już, choć może nie zawsze najlepiej, wkraczała na teren filmu, telewizji i z tej drogi już nie zawróci, ponieważ uformowała się ta nowa, powszechna forma przekazywania literackiego słowa i obrazu.

JERZY WAWRZAK



Zbliżający się Zjazd ZLP skłania wszystkich członków Związku do refleksji, do oceny działania naszej związkowej organizacji w okresie minionych 3 lat i do próby formułowania wniosków na przyszłość. My — jako delegaci trzeciego co do wielkości Oddziału w Polsce — mamy po prostu obowiązek w sposób szczególnie odpowiedzialny przemysleć wszystkie żywotne sprawy Związku i wystąpić z nimi na zjazdowym forum. Jest tych spraw, oczywiście wiele, ale na użytek tej publikacji wspomnę o kilku.

Trzeba więc zacząć od

stwierdzenia, bo wymaga tego nawet zwykła przyzwoitość, że w ostatnich latach władze partyjne i państwowe zrobiły dla literatów bardzo dużo. Zależało od większości wniosków, które całymi latami (w poprzednim okresie) czekały na decyzję, m. in. sprawa emerytur i rent. Wzrosła także ilość środków na stypendia i pomoce socjalne. Zrobiono również wiele dla umocnienia prestiżu i rangi piarszy i literatury w ogóle. Nasz Związek w rozmaitych formach uczestniczył i miał wpływ na podejmowane decyzje w zakresie — nazwijmy to — kształtowania modelu działalności kulturalno-wychowawczej, m. in. w pracach nad reformą nauczania.

Tych pozytywnych przykładów można by wyliczyć wiele, ale taka jest natura człowiecza, że sprawy załatwione uważa się za oczywiste i szybko się o nich zapomina. Życie zresztą przynosi nowe potrzeby, a zmiany, jakie zachodzą, nie zawsze są oczekiwane. Największą bolączką, jaka nasze środowisko boleśnie trapi, jest brak papieru. Sprawa dostatecznie znana; chcę zwrócić uwagę na dwa jej aspekty. Nasza kultura jest głównie kulturą literacką i nieobecność na rynku w dostatecznej ilości np. klasyki, słowników, encyklopedii itd. dotyka nie tylko środowiska piarskie, ale całe społeczeństwo, a zwłaszcza młodzież. Nikt mi nie też chyba nie posądzi o środowiskowy

partykularyzm, jeśli powiem, że nie można piarsstwa traktować jako zawodu, bez stałych wyników. Jest to jedyny sposób gwarantujący obecność piarsza w świadomości społecznej. Inaczej jest to obecność pozorna. Na tego typu pytania m. in. powinniśmy na katowickim Zjeździe otrzymać przede wszystkim jednoznaczna odpowiedź.

Jest także cały wachlarz spraw, które wyłączenie zależą od środowiska piarskiego. Myślę tu o sprawach pozorne oczywistych, jak dalsze usprawnienie form i metod działalności organizatorskiej i „merytorycznej” Związku, ale także mam na uwa-

dze np. pewne zmiany statutowe, pozwalające na większą samodzielną, choćby prawno-finansową Oddziałów, przy jednoczesnie jak najbardziej reprezentacji w plenum i prezydium ZG. Myślę też o sprawach, które dopiero sam Zjazd lub pozajądowa przyszłość wyłoni. Jest takich problemów wiele. Nie o wszystkich wypada publicznie mówić. Ograniczę się więc do stwierdzenia, że otrzymane od społeczności literackiej mandaty nakładają na delegatów szczególną odpowiedzialność, łącznie z obywatelską i patriotyczną powinnością, jaka winna cechować ludzi współodpowiedzialnych za dalszy rozwój polskiej kultury.

O „Gwieździe Wyrwałości” Tomasz dowiedział się nie od nauczyciela, a od Borucha, starego Żyda, który w miasteczku miał sklepik z książkami. Boruch gromadził u siebie wszystko, co mógł nabyć. Nie darował żadnemu drukowi. Skupował stare kalendarze, powieści bez okładek, książki szkolne. Nauczyciel mówił, że u Borucha można spotkać śmieci obok rzeczy naprawdę wartościowych. Boruch się tłumaczył: jeden potrzebuje to, inny tamto. Dobry kupiec musi mieć wszystko u siebie. Żeby zadowolić pana adwokata, księdza, chłopca i kucharkę. Mam poważne książki, a mam i takie, które jeden waz pisarz nazwał książkami ulicznymi. To trafna nazwa. Taka książka, jak za przeproszeniem ulicznica, wszędzie się wciśnie, mimo, że nie wypuszczają jej do domów, do szkół czy bibliotek. Ona jest bezczelna, brzydka, nieubrana, a pełno jej wszędzie. Handlarz powiedziałby: tandeta. Nawet poważni ludzie, jak na przykład jeden dziennikarz, dopytują się o nie. Ten towar długo u mnie nie leży. Interes idzie, dlatego mam wybrzydzać? Sklepik Borucha mieścił się w parterowym, drewnianym domu przy bocznej uliczce odchodzącej od rynku. Ta uliczka prowadziła donikąd. Była ślepa, zamknięta murem, za którym był ogród pana aptekarza. W tym ogrodzie, jak wypatrzyli uczniowie gimnazjum (bo w miasteczku była szkoła średnia, mieściła się w starej, zabytkowej budowl, ponoć pamiętającej czasy króla Kazimierza Wielkiego) opalała się nago córka aptekarza. Było to wydarzenie, o którym cicho, w największej tajemnicy, szepotali tylko niektórzy uczniowie. Boruch widział z okna swojego sklepu jak korzystając z osłon gęstych jaśminów dwóch lub trzech chłopaków wdrapywało się na mur. Co oni tam robią, pytała się wnuczka Borucha. Naczytali się Karola Maya, odpowiadał Boruch. Ty wiesz, co na tych książkach pisze: „Kto jedną książkę przeczyta, przeczyta wszystkie”. A jak przeczyta wszystkie, to zechce mu się wdrapować na mur albo na drzewo. W dzień ciepły Boruch siedział przed sklepem na kamiennych schodkach. Lubił też wysiedzieć fotel, który ustawił przy oknie. Sklepik był ciasny. Dokoła ścian stały półki, a na nich książki. Półki były szerokie, książki ułożone były w kilku warstwach. Tylko Boruch orientował się wśród tego bogactwa i w kilka minut potrafił odszukać potrzebną rzecz. Boruch miał mniej więcej stałą klientelę. Przychodzili do niego urzędnicy, nauczyciele, chłopci. Odwiedzali go uczniowie w poszukiwaniu sensacyjnej lektury albo tak zwanych brzyków, to jest streszczeń szkolnych lektur lub tłumaczeń tekstów łacińskich. Przychodził też od czasu do czasu stary dziekan, który był na emeryturze i lubił pogwarzyć ze starym Żydem. Dziekan wpadał na „krótką fajeczkę”. Był namiętym palaczem, a lekarz zabronił mu nadużywać tytoniu. Uciekał więc do Borucha, co nie u wszystkich znajdowało uznanie. Zidziolał nasz księżulo, mówił pan aptekarz, który zawsze był starannie ubrany, z kwiatkiem wpiętym do marynarki i nosił się dumnie. Mówił, że pochodzi ze starej, arystokratycznej rodziny. Borucha nie zauważał. Starego dziekana traktował z góry. Dopóki dziekan był w pełni sił, aptekarz składał mu wizyty, zapraszał do siebie. Kiedy jednak rządy w parafii i dziekanacie objął ksiądz młodszy, jak niektórzy twierdzili z tytułem naukowym, a stary dziekan został odsunięty na boczny tor, sympatie aptekarza się zmieniły. Do tego doświadczenia nieoczekiwanie przyjaźni dziekana i Borucha, która według aptekarza kompromitowała księdza. Boruch nazywał księdza „waszą przewielebnością”. Sądził dziekana na swoim fotelu, podawał tytoń, niech przewielebność spocznie chwilę, mówił. Pokazywał mu książki, które ostatnio zakupił. Książki palił fajkę, przeglądał książki, czasami wdał się w krótką rozmowę, a bywały dni, że wizyta upływała w zupełnym milczeniu. Książki strząsał popiół z fajki, nakładał czaokę, brał do ręki laskę i bez słowa wychodził. Boruch stał we drzwiach i patrzył, dopóki ksiądz nie zniknął.

Tomasz, wspomina Wiktor, znał tego księdza. Ojciec zachodził w każdy wtorek do Borucha (co wtorek odbywały się w miasteczku jarmarki) i zdarzało się, że spotykał tam dziekana. Tomasz był rozmowny i wiedział wiele, dlatego mógł z Boruchem i księdzem rozmawiać o przeszłości. W okresie zainteresowania się Dembińskim wyszukiwał książek o powstaniu. Boruch znał pasje Tomasa i podsuwał mu odpowiednie lektury. Pewnego dnia Boruch powiedział: Ach, Tomasz, ja mam dla was rarytas. Co ja mówię, rarytas. To jest coś jeszcze więcej. A co takiego? zainteresował się Tomasz. Książkę, odparł Boruch. O powstaniu. Tam jest o waszym dziadku. I o innych. Z waszych stron było wielu w powstaniu. Nie wiadomo, czy nie lepsi od waszego dziadka. Boruch nazywał Dembińskiego dziadkiem. To niemożliwe, odparł Tomasz. Dlaczego niemożliwe? Kto powiedział, że czarne musi zostać do końca czarnym? Albo białe białym? Dembiński był dzielnym żołnierzem, upierał się Tomasz. Nie zaprzeczam, odparł Boruch. Na pewno tak było. A jakim on był człowiekiem? Wiedzieć o tym? Ot choćby nie przysięga-

jąc, nasz aptekarz. Ten, co ma taką śliczną córeczkę. Wszyscy się za nią oglądają. Ona jest naprawdę śliczna. Ona ma twarz aniołka. W niebie nie będzie ładniejszych. A co ja wiem o tym aniołku? Dobry on? Zły? Nie nie mogę powiedzieć. A co mogę powiedzieć o jej ojcu? Jak on jest? Poważają go w mieście. Niby krzywdy nikomu nie zrobił. Na mnie nie patrzy, ale co ja znacze? Ja jestem mizerny człowiek, pan aptekarz może na mnie nie patrzeć. Dla mnie dobre jest to, że wy, Tomasz, mnie odwiedzacie, że przychodzi tu stary dziekan. To dla mnie święto. Ale czy to nie ma żadnego znaczenia, że aptekarz mnie nie w-dzi? Może Dembiński też nie widział innych ludzi? Głupstwa pleciciecie, Boruch, odpowiadał Tomasz. Dembiński jest bez skazy. Na to Boruch: W powstaniu był taki Szaniecki. Jego nasza okolica wybrała na posła. Słyszeliście coś o Szanieckim? Nie? To weźcie tę książkę, przeczytajcie. I tam jest coś niecoś o Dembińskim. Co to za Szaniecki? zapytał Tomasz. Powiedziałem

TADEUSZ PAPIER

TOMASZ

wam: poseł. Na sejmie ujmował się za chłopami. Demokracja. Przeczytajcie tutaj (Boruch odwrócił kilka kart, złożył na nos okulary i zaczął czytać): „Potrzeba zainteresować lud rzeczą, a nie słowami; potrzeba stan, w jakim się znajduje, zmienić na lepszy. Nieśmy mu zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, wolność zarobkowania, własność gruntów bezwarunkową, wynagrodzenie niewłaścicielom... Prześtańmy być bracia szlachta, a bądźmy bracia Polakami”. To są słowa Szanieckiego. Święte słowa. Ten, kto zrzeczenie wywija szabelką, to ja jeszcze nie wiem, czy on dobry czy zły. Ale taki Szaniecki, który mówi o sprawiedliwości i bił się o nią, zasługuje na wiarę. Dziekan przysłuchiwał się do tychczas tej rozmowy w milczeniu. Odezwał się: ciebie, Boruch, muszę kiedy ochrzczyć. Pójdźesz prosto do nieba. Dzięki waszej przewielebności, odparł Boruch, kłaniając się. Każdy ma swoją ścieżkę do nieba. To są takie ścieżki, na których żadna protekcja nie pomoże. Cieny masz język, odparł dziekan, ale ja myślę, że ci moja zdrowaśka nie zaszkodzi. Ja także westchnę za waszą przewielebnością, odparł Boruch.

Wtedy Tomasz dowiedział się o „Gwieździe Wyrwałości”. Miał to być „znak zaszczepny” dla tych, którzy wspierając powstanie wyrwają „w szlachetnym postępowaniu aż do stanowczego losów ojczyzny rozstrzygnięcia”. „Odnaka ta będzie drogim upominkiem w familiach, które tym słusnie chlubić się będą mogły, że posiadały w gronie swoim członków, którzy czuli, jak należało, i oddawali się zupełnie, z całym poświęceniem tej sprawie (...) Upominek ten, rozsypany pomiędzy kilkaset do tysięcy ludzi, będzie zawsze drogim dla dzisiejszego pokolenia, przechowywany przez nas, droższy będzie dla późniejszego. W tym celu ma być ten jeden raz rozdany, jako dowód wytrwałości...”

To bardzo ładne, rzeki dziekan. Nie wiecie tylko o tym, że nasi radzili nad tą odznaką, przezuwając ręką kłęskę. Wniośkodawca mówił: „ażby kiedy nasza sprawa do bręsu zbliżyć się będzie...” Mogli się jeszcze bić, a oni o krosie myśleli. Odnaka ostatecznie nie rozdano, ale ci, którzy po powstaniu udawali się na tułaczkę, otrzymywali świadectwa, które między innymi podpisywał także poseł Szaniecki. Odwoływały się te zaświadczenia do „przysięgi powszechnej wolności”, abv żłnie-

rza-powstańca „swem braterskim sercem przyjął chęci. Poświęcił on wszystko, co miał drogę w Ojczyźnie, wielkim celem postępującej Ludzkości. Opieka jego do Ludów należy”.

Tomasz kupił tę książkę od Borucha. Zaniósł ją do nauczyciela. Nosiła tytuł „Joachim Lelewel”. Autorem jej był Artur Siliwiński. Wydana była w 1918 roku w Lublinie w Wydawnictwie Arcta. Była oprawiona na czerwono. To była ostatnia lektura, którą nauczyciel czytał Tomaszowi.

Wiktor, która odziedziczyła po ojcu sporą biblioteczkę. Były tam książki przeważnie o treści historycznej. Wśród nich na pierwszym miejscu znajdowały się „Pamiętniki” Dembińskiego, książka o Lelewelu, „Złota książeczka” Piotra Ściegiennego, „Historia chłopów polskich” Świętochowskiego „Dwie dusze” Jakuba Bojki. Było też sporo powieści, przede wszystkim Sienkiewicza (Tomasz wspomina Wiktor, najchętniej słuchał Trylogii i „Krzyżaków”), Kraszewskiego, Żeromskiego, Prusa. Były poezje Mickiewicza (oczywiście, na pierwszym miejscu „Pan Tadeusz”), Słowackiego, Konopnickiej. Każda książka była obłożona twar-dym papierem. Niektóre Wiktor, która dała do oprawy. Nie była to martwa biblioteka. W czasie wojny Wiktor, która pożyczala książki nauczycielom i uczniom, którzy chodzili na tajne komplety. Korzystała z nich Jurasówna. Wiktor, która mówi, że Tomasz zaopatrzył młodzież we wszystkie potrzebne lektury. Niektórzy złośliwie twierdzili, że Wiktor, która „ukradła” książki nauczycielowi. Skądże by Tomasz, który nie umiał czytać, tak dbał o te sprawy? Wiktor, która nie zrażała się tymi docinkami. Była świadkiem, jak nauczyciel mówił: „Wy, Tomasz, polycalibyscie książki jak kluski”. Tomasz rzeczywiście miał zamiarowanie do druków. Zdobył dla nauczyciela niejedną cenną rzecz. Chodził po jarmarkach i odpustach i skupował książki, które wydawały mu się ciekawe. Tomasz mówił: Nie potrafię czytać, ale czy to po wyglądzie nie pozna, co jest ciekawe i dobre? Tomasz miał swój zwyczaj oglądania książek. Brał książkę do ręki, przyglądał się okładce, wazył ją w rękę, przetrzczał kilka kartek, potem pytał: ile to kosztuje? Płacił i zanosił zdobycz do nauczyciela. Sporo książek nabył Tomasz u Borucha.

Te książki, które odziedziczyła Wiktor, która, znajdowały się istotnie najpierw u nauczyciela. Ale Jasiński, spodziewając się aresztowania, chciał uchronić biblioteczkę przed rabunkiem i zniszczeniem. Okupanci wydali rozporządzenia, aby szkoły przekazały władzom swoje księgozbiory. Pewnego dnia Jasiński i małżonka Wiktor, która przeniesli książki z domu nauczyciela do Wiktor, która. Wiktor, która znalazła suchy schowek na strychu, niedaleko komina, i tam je starannie ułożyła. Andrzej chciał je zakopać, lecz Wiktor, która nie zgodziła się na to. Książki muszą żyć, mówiła.

Na wielu książkach widnieją podpisy Tomasa. Nauczyciel kazał mu podpisywać te książki, które Tomasz zdobył lub kupił. Nauczyciel go „rysować” swoje imię. Tomasz najpierw stawiał kreskę pionową, a nad nią jak daszek umieszczał poziomą. W ten sposób powstawała litera „T”. Kiedy po raz pierwszy skreślił tę literę, nie mógł wyjść z zachwytu. Jakbym swoje odbicie w lustrze zobaczył, mówił. Potem kreślił kilka kresek pionowych (rysując tak, instruował Jasiński, żeby jedna kreska trzymała drugą za ramie) i rodziła się literka „m”. W stosunkowo niedługim czasie mógł się podpisywać pełnym imieniem i nazwiskiem. To jest najlepszy dowód, powiada Wiktor, która, ile jest tu książek Tomasa. A ludzie? Niech gadają, co chcą. Ludzie nieraz są ślepi i głusi, choćby prawda świeciła tak jasno jak słońce. A zresztą (Wiktor, która mówiła „porezecz”), co kogo obchodzi, czy to książki. Ważne jest, jak się z nich korzysta.

Te książki przypominały jej rozmowę Tomasa i nauczyciela o „Gwieździe Wyrwałości”. W czasie wojny nieraz siadwała przy źródle i kamieniu i mówiła do siebie. Jeżeli komu trzeba by dać dzisiaj taką gwiazdę, to najpierw nauczycielowi i jej ojcu. Tomasz wprowadził umiar przed wojną, ale nie to jego sięw żyje po dzień dzisiejszy. Choćby te książki, z których korzystają dzieci we wsi. To przecież wszystko jest dziedzictwo Tomasa. A nauczyciel? Zabrał go pewnego dnia z domu i już nie wrócił. Zabrał, wtedy sekretarza gminy. Ktoś ich musiał wydać. Nie wrócił już z miasteczka, gdzie mieściło się gestapo. Wiadom, że zostali zamordowani. Ale gdzie leżą ich ciała? Nikt nie wie. Mówiono, że zakopano ich na cmentarzu żydowskim. Być może, że na tym miejscu, które było przeznaczone dla Borucha. Ale Borucha nie ma, wywieźli go, książki spalił. Tej ulicy, na której Boruch miał swój sklepik, dzisiaj nie ma. Mur, otaczający dawniej ogród pana aptekarza, rozebrano. Ulicę przebito i nikt, kto nie mieszkał w miasteczku przed wojną, nie wyobrazi sobie, jak dawniej wyglądała ta uliczka. Wyglądał rzeczy się zmieniają, powiada Wiktor, która, a mimo to coś w tym miejscu zostaje.

(DOKONCZENIE
Z POPRZEDNIEGO NUMERU)

Nazwałem go Kalibanem, ponieważ sam coś podobnego powtarzał belkotem niezrozumiałym. Był na poziomie stworu czeloko-kształtnego, nie znał nawet żadnych narzędzi. Wyspa dostarczała mu jedla pod dostatkiem i nie potrzebował wysilać swej wynalazczości. Te nędzne okrutne cywilizacji, które mu mimo woli zadomostrowałyśmy — krzesiwo, a więc sprowadzenie na ziemię ognia, izdehka skłębiona przez niego dla nas, język ludzki, którego z trudem i w prymitywnym zakresie nauczyła go Miranda, pierwsze okrycie, które dla niego zmałstrowała z worka znalezionego w naszej trawie, jak i wiele innych — wszystko to były dla niego czary czyli magia. Tak i my skłonni jesteśmy tłumaczyć magią to, czego nie umiemy wytłumaczyć w naturalny sposób. Dla mnie magia był zawsze los, który prowadzi ślepego człowieka, gubiącego się w domysłach co grozi mu zagładą, a co jest zbawieniem. Wiem, że do tego porządku, a raczej braku wszelkiego porządku rzeczy nigdy nie zdołam się przyzwyczaić. Natomiast zauważyłem wkrótce, że mój Kaliban biorąc wszystkie objawiające mu się zjawiska, jak dziecko, za zastane szybko się do nich przyzwyczajał. Tracił też szacunek do mojej magii, a tym samym i do mnie. Musiałem być stale na baczności i uciekać się do coraz nowych zaskakujących go objawień.

Kiedy, według mojej rachuby czasu, Miranda ujrzała czter nastą wiosnę swego życia i z dziecka zamieniała się w małą kobietę, uszyła sobie na swój dzień suknie. Gdy ukazała się mi w tej niezwyklej szacie, przysmaknąłem na chwilę z wra-

żenia czy. Cała ta jej przewiewna tunika była utkana z piór ptasich, muszelek morskich, gałazek cyprysowych i obsypana iskrzącymi się odpryskami górskich kryształów. Dziecko, moje, powiedziałem do niej, skąd masz w sobie tyle wyczucia umiaru czyli piękna,

LEON GOMOLICKI

SUKNIA MIRANDY

gdzie nabyłaś tyle umiejętności, gdzie też wyczarowałaś igłę i nici, aby złączyć w cudowną całość te wszystkie uroczę drobniadki? W odpowiedzi śmiała się, kokietując mnie: igłę? igłę zrobiłam z kołca tarniny, a nici uwił na moją prośbę pajak. Musiałem udać, że uwierzyłem w piękna bajeczkę, a po chwili powiedziałem poważnie: Kochane dziecko moje, suknia twoja godna jest podziwu, ale sama nie wiesz jaki piękny symbol stworzyłaś to swoje cudne tworzenie. Te pióra, muszle, kryształy i wonne gałazki, z których zostało to utkane, symbolizują cztery żywioły, są materialną szatą życia organicznego okrywającego ziemię. Jeśli ludzkość posiada jeszcze coś stałego z poznawanych przez siebie wartości, to właśnie jest to, czego nie da się określić do końca słowem, a co ujęłaś w symbolu swej sukni. Jesteś je-

dających nas bezsenne noce. Tak wtedy mówiłem nie troszcząc się, czy Miranda rozumie moje słowa. Ścisnąc całowała mnie i obok siedział na ziemi Kaliban, i ludziem się, że coś dociera i do jego zwierzęcej świadomości, że instynktem bierze udział w naszej radości. Tu Prospero zatrzymał się, jakby zgubił nć swego opowiadania. Właściwie, dodał, jest to wszystko, co zasługuje na przekazanie. Reszta to nie nie znaczący epilog. Istotnie podczas burzy w nocy osiadł na mieliznie w pobliżu wyspy pierwszy statek, który zobaczyłem po latach. Był to bryg i ktoś zszedł z jego pokładu? Zszedł w świetle króla Alonsa między innymi mój brat wiarołomny we własnej osobie. Czy nie nowy dowód magii losu! Jakże zdumienie i strach wyczytałem w jego oczach, gdy mnie poznał w jeszcze pełnym sił starcu. Nie

sta wróciłem do swej zamkowej, dawnej pracowni, do swych retort i manuskryptów. A powitały mnie tam sama gorzka i smutek. Za czas mego niebytu, a właściwie intensywnego życia wewnętrznego na bezludnej wyspie, dużo zmieniło się w mojej ojczyźnie. Po osiedlającym wybuchu ludzkiego geniuszu świat wnet pogrążył się w mrok zabobonu. Pozostawało siedzieć po nocach rucho gwiazd i zamknąć się w celi odcyfrowywać w zakazanych księgach aluzję gwałtownej myśli. Na stykach epok wytworzyła się pustka. Mówi się o bezkręglew, czy bezludzie wśród kalibanów nie jest katalizmem straszliwym!

Na tej nuci Prospero zakończył swoje opowiadanie. Szliśmy jeszcze jakiś czas w milczeniu, przynębleni. Aż temat podjął Ciceron. Przedmowa mój, powiedział, przejawskrawia

są dla nas niewymierne i zagadkowe. Mówiłeś, przyjacielu, o geniuszach myśli. A przecież to oni doskonalili narzędzia śmierci, wprzęgając naukę w jarzmo krwawych wojen. To prawda, że na stykach epok wytwarza się próżnia i nie jest to osobliwość tylko tej próżni, na którą przypało twoje życie. Mogę również posłużyć się własnym przykładem. Nie obawiajcie się, moje opowiadanie będzie krótsze. Chociaż wygnania w nim będą i wypaść będą. Właśnie w zaraniu mej kariery, kiedy pełniłem obowiązki kwestora na Sycylii, wędrowny wróżbita postawił mi horoskop. Był to Pers lub Grek z Aleksandrii, miał skórę koloru wypalonej cegły: przeświecała przez siwy zarost na głowie i piersi. Kazalem nakarmić go i przeprowadzić do mnie, do atrium. W wewnętrznym ogrodzie, na wydeptanym kawałku

ziemi zakreślił swoim kosturem kwadrat i podzielił go na trójkąty. To są domy, wyjaśnił, i kreślił dalej w trójkątach jakieś hieroglify. Przypominały swym kształtem rozdeptane dżdżownice. Wskazując je, tłumaczył: gdy Wenus wejdzie do domu Jowisza, Mars grozi nieczem. Słuchaj dobrze, tłumaczył, za trzecim razem będzie źle, głowa spadnie na dno nocy. Zbyt późno zrozumiałem znaczenie tej przepowiedni. Śmiałem się z niej. Wyobrażałem sobie nagą boginię w objęciach starca i zazdroznego kochanka, ukrytego za ich łóżem. Tymczasem jarmarczne symbole były proste. Za każdym razem, gdy wylągnąłem rękę po władzę, groziło mi niebezpieczeństwo. Odrzucono mnie w puste lata wygnania, najemni skrytobójcy ostrzyli na mnie stylety. I kiedyż działałem skutecznie? Czy wówczas gdy urzędowałem, rządziłem i wyglądałem mowy miążdzące przeciwnika? Czy gdy w przerwach, w próżni zapomnienia, z daleka od koflujących się ambicji i namiętności, przypadkowo wałem swoje myśli? Nigdy nie napisałem tyle, co w okresach pustki. Jeśli coś będzie miało dla ludzi znaczenie, to nie wykaz pełnionych urzędów czy zwycięstw retora, lecz napisane przeze mnie dzieła, w których politykę pomieszałem z filozofią poruszając sumienia i umysły. Styk epok. Tak, byłem świadkiem zmierzchu jednej, gdy nieuchronnie zbliżał się czas niewoli. Ale to ja i podobni mi zamknęli ducha wolności w słowie. Mówiłeś o tkance życia narzuconej na świat. Twoja przenosiła wydaje mi się zbyt materiała. Ta suknia utkana została nie z muszelek, lecz z myśli rozświetlających noc, z piękna pokonującego swą idea brzydotę.

LEONID I. BREŻNIEW MAŁA ZIEMIA

Publikujemy następny fragment wspomnień Sekretarza Generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, marszałka Związku Radzieckiego, LEONIDA ILJICZA BREŻNIEWA. Wspomnienia te dotyczą walk toczących się w Zatoce Cemesskiej na Morzu Czarnym w 1943 roku.

Przekładu dokonał Eugeniusz Iwanicki, według tekstu zamieszczonego na łamach „Literaturnoj Gazety”.

6.

Natarcie... Po kwietniowych walkach słowem tym była cała armia — od szeregowca do naczelnego dowódcy. Doznaliśmy wiele goryczy, gdy zostawialiśmy wrogowi rozcinane wsie i miasta, przepierzała nas nieważność do najeźdźcy w ciągu długich miesięcy oblężenia i do granic wytrzymałości rozpałało się w nas święte pragnienie zemsty.

„Kiedyż wreszcie?” — pytali żołnierze, dowódcy, oficerowie polityczni, nie dodając słowa „natarcie”, bowiem i bez tego było jasne, o co chodzi. Na to pytanie można było odpowiedzieć jednym słowem: „wkrótce”. Dzień oraz plan natarcia trzymano w ścisłej tajemnicy. Lecz tego, że jest przygotowywane, nie udawało się ukryć, zresztą nie było po temu potrzeby.

Warunki dla potężnego uderzenia były sprzyjające. Na wszystkich frontach inicjatywa przeszła w ręce Armii Czerwonej. Faszystowskie dowództwo na zawsze utraciło prerogatywy, jakie zdobyło na skutek nagłej napaści i przewagi w sprzeczce bojowej. W 1943 roku bohaterowie zaplecze dostarczyli na front 24 tysiące czołgów i dział samobieżnych, 35 tysięcy samolotów, 130 tysięcy dział. Mielliśmy już dużo lepszą broń niż przeciwnik i było jej więcej. W rezultacie, w 1943 roku, odnieśliśmy szereg poważnych zwycięstw, nasza armia przesunęła się na zachód, w centralnej części frontu o 300 kilometrów, a u nas, na południu, o 600 kilometrów.

W jakich warunkach zrodziła się idea szturmu Noworosijska?

Po bitwie stalingradzkiej Hitler poczuł, że może dostać się w bar-dziej poważny „kocioł”, toteż z niezwykłą siłą wcielił się w poludniowy przyczółek. Rozumował następująco: utrata Tamańska nieuchronnie doprowadzi do utraty Krymu, stworzy zagrożenie dla jego wojsk na Ukrainie. By utrzymać Tamani faszystzi stworzyli silną rubież obronną. Ciągnęła się ona od Morza Czarnego do Azowskiego, składała się z dwóch pasów pokrytych polami minowymi, zaporami przeciwczołgowymi, zawałami, bunkrami, punktami ogniowymi i pancernymi kółkami.

Obok nas walczyła armia A. A. Greckij, który pierwszy odczuł wściekłość faszystowskiego oporu. Zdobędzie jedną górkę — utknie, zdobędzie drugą — znowu utknie. Pamiętam, jak Leselidze, Kofonin, ja oraz pułkownik Zarielua leżeliśmy na burce. Była to chwila wytchnienia, omawialiśmy zaistniałą sytuację i Leselidze powiedział:

— Wściecie co? Klucze do Tamańska i Krymu nie leży w zdobyciu tych górek, a w zdobyciu Noworosijska. Poprośmy Naczelnego Dowództwo o 17 — 20 tysięcy ludzi uzupełnienia. Przygotujemy się i rozpoczniemy szturm.

Tak też zrobiliśmy. Leselidze zadzwonił do Moskwy, Naczelnemu Dowództwu zatwierdziło naszą inicjatywę, dając nam dywizjon Gławkowa. Z tego wszystko się i zaczęło.

Noworosijsk stanowił dla Niemców główny punkt oporu. Oprócz silnych umocnień wzdłuż linii frontu stworzono liczne punkty oporu w samym mieście. Duże domy mieszkalne, fabryki, elewatory, dworce zostały dostojnie naszpikowane środkami ogniowymi, całe dzielnice zostały rowami łączności, ulice zagrodzone barykadami. Szczególnie silnie był umocniony port.

Niemiecko-faszystowskie dowództwo było przekonane, że dobrze zna taktykę wojsk radzieckich. Ogromnych punktów oporu nie zdobywaliśmy w bezpośrednim natarciu, a obchodziliśmy je. Toteż umacniając Noworosijsk, nie spodziewali się szturmu z naszej strony w tym miejscu. I przeliczyli się. Właściwość naszej taktyki leżała w jej elastyczności. Jedną z przyczyn skłaniających nas do dokonania przełamania rubieży obronnych wroga w Noworosijsku był czynnik zaskoczenia.

18 Armia do tego czasu zdobyła duże doświadczenie w operacjach desantowych, toteż liczyliśmy, że uderzenia na miasto można dokonać nie z dwóch stron, jak zakładaliśmy wcześniej, a z trzech — z prawego i



Foto: Archiwum

lewego brzegu Zatoki Cemesskiej, to jest z Małej Ziemi oraz od strony zakładów cementowych, a także dużym desantem z morza, który okazał się całkowitym zaskoczeniem dla przeciwnika. Taki też plan został przyjęty.

Przygotowaliśmy jeszcze jedną niespodziankę. Wielki desant oczywiście powinien być dokonany przez wielkie statki, które wrog bardzo dokładnie obserwował. Zdecydowaliśmy więc, że desant popłynie na małych jednostkach. Oprócz tego postanowiliśmy dokonać uderzenia torpedowego w umocnienia przybrzeżne. Nigdy dotąd nie atakowano torpedami brzegu: są one przeznaczone do walk morskich i do niszczenia statków. Toteż, by torpedy mogły zrobić swoje, załogi kutrów solidnie musiały się napracować.

Rozszyfrowany przez przeciwnika plan jest skazany w polowie na niepowodzenie. Toteż podstawowym zadaniem było ścisłe dochowanie tajemnicy. Zabrakło nam jednak korespondencji na temat przygotowywanej operacji. Do jej opracowania wciągnięto do minimum ograniczoną ilość osób. Przystąpiono do dokładnego rozpoznania. Aby nie odkryć naszych zamiarów prowadzono je na szerokim froncie. Prowadzono także prace dezinformujące przeciwnika, szereg umiejętnie zrealizowanych przedsięwzięć sugerowało mu, że ponownie szykuje się desant w rejonie Południowej Ozie-rejki.

Zabezpieczeniu partyjno-politycznemu operacji nadaliśmy nie mniejsze znaczenie, niż przygotowaniu bojowemu. Postanowiliśmy, że do rozpoczęcia szturmu za wszelką cenę we wszystkich jednostkach będziemy mieli organizację partyjną z prawdziwego zdarzenia. Wychodząc z tego założenia kierowaliśmy komunistów na najbardziej odpowiedzialne odcinki przyszłego natarcia. Szczególnie starannie dobierano ludzi do grup desantowych. Komunistów komсомолcy stanowili w nich 60—70 procent.

Dnie i noce przygotowaliśmy do szturmu wspominać jako czas wytężonej pracy, największego napięcia. Jakże jednak różniło się to od dni i nocy oblężenia na Małej Ziemi! Praca nie męczyła, napięcie cieszyło, każde nowe spotkanie z ludźmi dodawało siły. W awangardzie desantu podjął się pójść samodzielny batalion piechoty pod dowództwem bohaterów pierwszego desantu na Małą Ziemie — W. A. Botylewa i jego zastępcy do

spraw politycznych N. W. Starszina-wa. Temu też batalionowi wręczono sztandar, który zatknięto na pierwszym odebranym wrogowi wysokim budynku Noworosijska. Jako wielki zaszczyt przyjął sztandar bosman, młody komunist Władimir Smor-zewski. Śmiały zwiadowca, bohater walk pierwszego desantu, wzruszony wysokim wyróżnieniem, złożył wobec towarzyszy przysięgę: „Nie splamie honoru marynarza!”.

W końcu dowódca armii, K. N. Leselidze, zebrał dowódców mających poprowadzić wojska do szturmu i podał im czas „G”. — godzinę i minutę szturmu w nocy z 9 na 10 września. Ostatecznie, dla każdego sprecyzowano przydział zadania. Na-

grupe kutrów, wykonujących zadania przełamujące, przemykającą z zawrotną szybkością i niszczącą zapory. Nastąpiło to w sześć minut po rozpoczęciu przygotowania artyleryjskiego. Dostrzegliśmy umowny sygnał — „droga wolna”. Po kilku minutach, na wielkiej prędkości wdarły się do zatoki kutry, uderzając ciężkimi torpedami w zachodnie i wschodnie molo. Ogłuszające uderzenie rozwalilo umocnienia brzegowe. Dym i pył cementowy zasłoniły brzeg. To osłoniło kutry od przeciwnika i równo po piętnastu minutach, to znaczy z chwilą zakończenia przygotowania artyleryjskiego, batalion Botylewa już walczył na przystani. W ciągu pół godziny, pod silnym ogniem przeciwnika, wyładowało 800

ludzi, uzbrojonych w ciężkie karabiny maszynowe, miotacze min i rusznice przeciwpancerne.

W Zatoce Cemesskiej wszystko się wyminęło. Z różnych stron pędziły kutry, wzbijając przy nawrotach wodę i wydawało się, że już, już się zderzą. Ale wszystko było podporządkowane dokładnemu wyliczeniu. Za kutrami torpedowymi szły kanonierki, kutry dozоровые, sejnery — każdy okręt według swej marszruty. Jedną po drugiej były atakowane przystanie: Leśna, Elewatorowa, Naf-towa, Importowa. Ogień wybuchów i pożarów dokładnie oświetlał zatokę w rejonie portu. Woda w niej dosłownie kipiała.

Prawie równocześnie z batalionem Botylewa, który opanował Przystań Leśną, na Przystani Cemesskiej rzucił się 1339 Pułk Piechoty pod dowództwem S. N. Kadanczika i mimo tego, że całemu pułkowi nie udało się wyładować, ale ci, co się chwycili brzegu, w zgodnym porwie rzucili się na umocnienia nieprzyjaciela. Do rana zajęli silny punkt oporu — zakład cementowy „Proletariusz”. Następną nocą dołączyli do nich pozostałe pododdziały pułku.

Na punkcie obserwacyjnym nie milkiły telefony. Ze wszystkich jednostkami utrzymywano niezawodną łączność. Z olbrzymim spokojem i stanowczością kierował walką utalentowany dowódca armii. W trakcie walki operatywnie przegrupowywał jednostki, wprowadzał odwody, rzucał pułki tam, gdzie powstawało zagrożenie.

Oszolomiony w pierwszej minucie wróg przyszedł do siebie. Przemógł ogniem każdy budynek, każdy kwartał. Określiwszy granice zdobytego przez nas przyczółka, hitlerowcy utworzyli nań ogień artyleryjski. Ale i nasza artyleria wspierała atakujące jednostki. Nasi piloci tak zsynchronizowali swoje działania, by bez przerwy bombardować teren zajęty przez przeciwnika. W powietrzu cały czas były szturmowce — dziennie wykonywały one po 6—7 lotów.

Następną nocą, w rejonie elektrowni wyładował 1337 pułk. Razem z nim był również pułkownik W. A. Wrucki, dowódca 313 dywizji piechoty. Ale łączność z nim została przerwana. Z twarzą dowódcy domyśliłem się, że jest zaniepokojony. Nie kompania, nie batalion, ale prawie cała dywizja, do tego wprowadzona na kierunkowo główne uderzenia, nie dawała znać o sobie.

Leselidze rozkazał wysłać odpowiedniego oficera w rejon elektrowni, odnaleźć Wruckiego, zorientować się w sytuacji i natychmiast zameldować. Pomyślałem, zaproponowałem dowódcemu, by to zadanie powierzył memu zastępcy, Pachomowowi. Dowódca dobrze go znał i szybko się zgodził, lecz rozkazał szefowi oddziału operacyjnego wystać razem z nim kapitanu Puszczyckiego.

— Weźcie mego „willysa” — powiedział.

Musieli przedostać się do miasta przez przedni skraj, minąć silnie ostrzelowaną strefę, odnaleźć Wruckiego, doświadczonym okiem ocenić sytuację, nanieść ją na mapę i — jak tylko można najprędzej — powrócić. Na szczęście obaj powrócili cali, choć samochód dowódcy, który pozostawili obok fabryki „Paździenik”, został zbombardowany. Pokonawszy wiele trudności, przebrnąwszy wzdłuż ryny ściekowej, położonej wzdłuż obrzeża, wyszli na jakiś placyk naprzeciwko którego znajdowała się elektrownia, a z prawej strony długiego budynku, skąd faszystzi prowadzili niustanny ogień. Do elektrowni było nie więcej, niż 70 metrów, lecz droga wiodła przez odkryty placyk, lub wzdłuż budynku, poza stertami węgla. Decyzję podjęli szybko. Puszczycki pełnią z tyłu stert węgla, a Pachomow zaś szalonym zrywem przebywa niebezpieczny odcinek. Później, zupełnie poważnie zapewniał, że najlepszy sprinter na świecie nie mogiby go dogonić. Nie zważając na niebezpieczeństwo, obaj powrócili tą samą drogą i nie z jedną, ale z dwoma mapami i meldunkami zapewniającymi Radzie Wojennej Armii — dane o sytuacji. Przynieśli także smutną nowinę: pułkownik Wrucki został ciężko kontuzjowany, stracił oko oraz otrzymał postrzał w rękę. Natychmiast podjęto odpowiednie kroki zapewniające pomoc pododdziałom dywizji, które pomalutka, lecz wytrwale posuwały się naprzód. Tymczasowo obowiązki dowódcy dywizji powierzono szefowi sztabu.

Walki toczyły się na ulicach. Jeden za drugim napływali meldunki: zdobyto dworzec i na nim zatknięto sztandar; zdobyto „szary domek”; zajęto „czerny domek”; nasi wdarli się do szkoły; wyzwolono kwartał 103... Każdemu z tych meldunków towarzyszyły smutne wieści: zabity szef oddziału politycznego 318 Dywizji, podpułkownik A. Tiehostup... zabity instruktor oddziału politycznego armii, major P. Isajew... zabity inspektor oddziału politycznego armii, major A. Cedrik... Nieco wcześniej zginął M. Widow, później, pod Anapą poległ szef oddziału politycznego 83 brygady morskiej, K. Lukin.

Przypominam sobie, jak wraz z nim wyszliśmy do jednego z rumuńskich schronów zbudowanych na piaszczystym brzegu. Było bardzo gorąco i Leselidze, ja, Zarielua, Lukin pragnęliśmy bodaj na chwilę znaleźć się w cieniu. Lecz ze schronu dobiegały jakieś szmery, nieprzerwane cichutkie cykanie. Powiedziałem: — Prawdopodobnie jest to jakiś mechanizm zegarowy. Sądzę, że podłożono bombę. Chodźmy lepiej stąd.

Wyszliśmy na zewnątrz. Odeszliśmy od schronu, rozebraliśmy burki i położyliśmy się. Lukin położył się także tuż obok nas. Gwizdały pojedyncze bomby, cały brzeg był pokryty piaszczystymi „barankami”. Kiedy ucielił grzmot wybuchów, wstaliśmy. Zawołaliśmy:

— Lukin, Lukin!

Milczy. Podchodzimy — nie żyje. Ani jednego zadrapania, nic. Zabiła go fala podmuchu.

O nie, przyjaciel nie umiera, jedynie przestał być obecny. Nie dzieli więcej z tobą dachu z manierki twój się nie napije...

Słusznie powiedział poeta. Rozumem wszystko pojmowałem: trwa walka i ofiary są nieuniknione. Lecz serce nie chciało słuchać, dawało nieznosnym bólem. Sam pisałem listy do wdów. Moja garść ziemi leży w mogiłach towarzyszy, ogień z mojego automatu grzmiał w salwie pogrzebowych salutów. Wierni synowie partii, jej imieniem porwali żołnierzy do walki na śmierć i życie. Wzywali, by w imię ojczyzny nie szczędzić życia. W bitwie dokonali tego, do czego zwykli inni, pociągając za sobą żołnierzy. Do końca spełnili leninowski nakaz — osobistym przykładem dowiedli, że komunistą potrafi nie tylko uczciwie żyć, lecz również godnie umrzeć.

cdn.

DŹWIĘKI KRUSZONYCH OKÓW

Przyznać się muszę, że miałem pewne opory, zanim przystąpiłem do lektury antologii **Dźwięki kruszonych oków**. Niechęć moja nie była spowodowana obawą, że zabraknie tu mo- że wierszy, będących wyrazem pełnego zrozumienia dla najważniejszej wówczas dla nas sprawy — walki o niepodległość, lecz, że znajdą się tu wyłącznie takie teksty, co oczywiście dawałoby fałszywy obraz rosyjsko-polskich stosunków w latach 1795—1917.

Antologia Bazylego Białokozowicza rozwiała na szczęście moje obawy. Co prawda nie znajdujemy w niej wierszy antypolskich, mówi się jednak o nich w obszernym szkicu wstępnym i w rzetelnie zrobionych komentarzach i przypisach.

Zawartość wyboru stanowią utwo- ry pisane na ogół przez polonofilów, ale także niekiedy diametralnie polonofile ci różnieli się w ocenie walki narodu polskiego o samodzielną byt państwowy. Można więc zgodzić się z autorem przedmowy, że antologia ukazuje „funkcjonowanie tematu polskiego” w poezji rosyjskiej lat 1795—1917 w rozmaitych jego przejawach, kształtach i aspektach.

Można by wyodrębnić w antologii wiele kręgów tematycznych i kolejno omawiać np. wiersze poświęcone polskiej kulturze, obyczajom, krajo- obrazowi, Warszawie, wielkim Polakom (Mickiewiczowi: Puszkin Baratyński, Lermontow, Podolski, Rostopczyna, Treflew, Korinfski; Szopenowi: Fet, Miatlew, Palmir Bieketowa; Worcel- lowi: Ozerow, Ogariow; Marii Szymanowskiej: Dmitriew, Gniedicz, Kozłow, Dawydow). Skoncentrujmy jednak uwagę na sprawie najistot- niej — na stosunku Rosjan do niepodległości Polski w okresie zaborów. Cóż bowiem z tego, że Afanasij Fet poświęca piękny wiersz Szopenowi, skoro skądinąd wiemy, że zde- cydowanie potępiał on polski ruch narodowowyzwoleńczy.

Chronologiczny układ antologii umożliwia zapoznanie się ze stano- wiskiem poetów rosyjskich wobec kwestii polskiej w kolejnych przeło- mowych okresach naszej walki o pra- wo do samodzielnego bytu.

Pierwszy zamieszczony w antologii utwór (nawiązujący do radzieczewo- wskiej tradycji, anonimowa **Oda na dzień uroczystego święta ujarznienia** (Polski), to odzew na stłumienie insu- rekcyj kościuszkowskiej. Zawiera pewne akcenty polemiczne z wy- powiedziami antypolskimi. Jest oskar- żeniem samowładztwa, które „prze- lało puchar żółci nieszczęścia” i nie- jako antycypuje przyszłość, kiedy „wszy- stkie trony zadrżą” i „zemsta buch- nie w kształt pożarów”.

Duże zrozumienie znalazła kwestia polska u poetów dekabrystów i pi- sarzy do nich zbliżonych. Zamieszco- ny w antologii wiersz Kondrata Ry- lejewa **Ach gdzie ta wyspa jasna** nie porusza co prawda problemu pol- skiego ruchu narodowowyzwoleńcze- go, wiadomo jednak, że jego autor, silnie związany z kulturą polską, tłu- macz Trembeckiego i Mickiewicza, wyrażał niejednokrotnie swój „podziw i szacunek dla przyszłości Polski”, dla którego Niemcewicz był niedoścignio- nym przykładem orędownika sprawy narodowej. Sympatia i zaintereso- wanie o losy „kryją obmytej Polski” prze- bijają z wiersza Teodora Glinki, sta- wiającego Kościuszkę za wzór boha- tera narodowego i ceniącego Polaków za gorący ich udział „w dziełach ich kraju ojczystego”. Rzeczpospolitą „w swej piękności”, „zaczne” kulturywa- larne tradycje polskie domy, gdzie „krzyż z orężem polskiej sła- wy” opiewa w swych wierszach, utrzymujący związki z dekabrystami, entuzjasta talentu Mickiewicza ksią- że Piotr Wiazemski. Zabierze on rów- nież głos w latach powstania listo- padowego, które odbiło się niezwykle głośnym echem w Rosji, wywołując, obok „współczucia, uznania i za- chwytu” nienawiść i żądę odwetu. Wiazemski zajmie dość specyficzne, choć nie tak osoboblone stanowisko.

Będzie bronił Polaków przed na- pastliwymi wystąpieniami, chociaż sam „nierozsądnego polskiego buntu” nie poprze. Uświadamia sobie jednak, że uśmierzenie powstania sprawy pol- skiej nie rozstrzygnie i korzyści przy- nieśli Rosji i słowiańszczyźnie nie może. Toteż uzna ostatecznie, że Po- lska powinna mieć możliwość wyboru swej własnej drogi.

Różnicowanie poglądów w kwestii polskiej następowało w tym okresie dość szybko. „Dawni przyjaciele” Mickiewicza znajdują się teraz — jak słusznie pisze Białokozowicz we wstę- pie — na różnych, często diametral- nie przeciwnych pozycjach”. I owo spolarzowanie opinii antologia od- zwierciedla. Wielu pisarzy, podobnie, jak Wiazemski, wyraża ubolewanie z powodu waśni między obu bratnimi narodami, choć zabraknie im rozsąd- ku i wspaniałomyślności autora Sta- eji. Aleksey Chomiakow w odcie **Na polski bunt**, wypowie się (już w roku 1830) z pozycji reakcyjnego słowiano- filstwa. Potępi wojnę między obu narodami oraz tych, którzy konflikt podsycał, dając do ręki „zbrodniczy miecz”, nawołując będzie do zgody i jednności, lecz pod krydłami star- szego brata — „Orla północy”. Po- dobnie Tjutczew. Odcina się od ofi- cjalnego stanowiska, ale stwierdza, że zadany „umęczony” Warszawie „cios

fatalny” przyniesie Rosji spokój, a sło- wiańskie plemiona „pod sztandar ru- ski przywołane” kroczyć będą „na wyżyny oświecenia zgodne i skonsoli- dowane”.

Tys, orle, padł, jednoplemienny,
Na wielki stos oczyszczający!
Twe prochy przechowywać
I wspólna wolność naszą znowu,
Jak Feniks, weźmie z nich
poczęcie!

Stanowisko Puszkina i Lermontowa w tej zasadniczej dla nas kwestii określić by można, jako ambiwalentne. Wiadomo, że Puszkina fascynowała zawsze polska historia, literatura i kultura. Znal on i cenil wielu Po- laków i okazywał im, a zwłaszcza Mickiewiczowi, najwyższy szacunek, i co istotne, był zachwycony nie tyle Sonetami Krymskimi, co **Konradem Wallenrodem**, a więc utworem, w którym jako naczelną ideę stawiał Mickiewicz walkę o wyzwolenie naro- du za cenę najwyższych wyrzeczeń. Z drugiej zaś strony wykazuje tak mało zrozumienia dla tego Mickiewicza po- jego opuszczeniu Rosji oraz dla sprawy polskiej i jej obrońców, na Za- chodzie po wybuchu powstania, dając temu wyraz w znanym wierszu, po- święconym polskiemu poecie oraz w utworach **Rocznica pod Borodino** i **Oszczercem Rosji**. Michał Lermontow na wieść o polskim powstaniu pisał:

I znów powstałście wy, dumni,
Za niepodległość się bijcie,
I znów przed wami padły
Samodzierżawia korne dzieci.
I znów wolności sztandar
Zjawił się przed zwycięstwem
Ten sztandar zawsze był
Suworow był jego największym
wrogiem.

Natomiast kilka lat później, podob- nie jak Puszkina, potępił zachodnio- europejskich obrońców Polski.

Znajdą się jednak w Rosji pisarze, którzy „polską rewolucję” uznali, ja- ko walkę sprawiedliwą, którą uwa- żali, że nie ma nic bardziej wzniosłe- go dla szlachetnego narodu „niż wal- czyć o swoją niepodległość”. W ba- ladzie — alegorii **Rudoksa Rostopczy- na** określa ówczesny związek Polski z Rosją, jako „przymusowe małże- stwo” a w innym utworze będzie nawoływała:

Rozstańcie się!... Czas grzech
naprawić!
Bóg nie chce związku błogosławie!

Z entuzjazmem powita „dźwięki kruszonych” w Polsce „oków” deka- brysta Aleksander Odojewski. Jest

przekonany, że walka z caratem leży w interesie obu narodów, że jest to walka „za waszą i naszą wolność”. W obronie niepodległości Polski wy- stąpi znany rosyjski poeta, publicys- ta i działacz polityczny — Mikołaj Ogariow:

Zal mi ofiary. Grzebił jej łamie
Ciezar drapieżny szponów
krywych.
Wice jeśli Polakowi skłamię
I tknę go słowem obelżywym,
Niech raczej uschnie moje
ramię,
Niech przywrze w krtani język
żywy.

Oto twe prawa podeptane,
Wydarie dawne twe zdobycze,
Do obcych skarbow precz
zabrane.

Królow twych zamki i stolice
Satrapom nędznym dziś oddane
Nie! Wrogiem mnie nie nazwij,
proszę!

Jak ty, ja wolność ukochałem,
Jej święte imię w sercu noszę.
Krzywdę narodu ja widziałem,
Dziś bratni uścisk mi przynosi.
Widząc cierpienie twoje cale,
Nie wstydzę się tych łez
u powiek,
Jako Słowianin, jako człowiek.

To o tych właśnie szlachetnych gło- sach Rosjan pisał z uznaniem Mic- kiewicz: „Trzeba przyznać na chwałę pisarzy rosyjskich, że okazali (...) taką stałość duszy i bezinteresowność, jakiej podobny przykład trudno by znaleźć w krajach o większej wolno- ści i większej kulturze”.

Najgłośniejszym chyba echem od- bił się w poezji rosyjskiej kolejny nasz zryw niepodległościowy — pow- stanie styczniowe. I tym razem opinie Rosjan będą bardzo wyraźnie róż- nicowane. Antypolskiej propagandzie, podsycającej nastroje nacjonalistyczne uległ nie tylko stronnik konserwa- tywnego panslawizmu Majkow, ale i wysoko ceniany kulturę polską, tłu- macz Mickiewicza — Fet. Nie zrozu- miał powstania żywo interesujący się przeciw historią Polski, autor wiersza poświęconego polskiemu monarsze, „królówi chłopów” — Kazimierzowi Wielkiemu, **Jakub Polowski**.

Pełne zrozumienie i jednoznaczne poparcie dla sprawy polskiej wyraża w swych wierszach przede wszystkim poeci związani z rosyjskim ruchem rewolucyjno-demokratycznym. Wielu z nich doskonale zdawało sobie spr- awę, że toczona przez Polaków walka, to „nie chwilowy spór”, lecz „święta” wojna o „wielkość praw swobody” (M. Michajłow: **Wieżnia ciska**). Będą oni demaskować dwulicową po- litykę caratu, który „jedną ręką gla- szyce Słowian”, a drugą „dławi pol- skie plemię”. (P. Lawrow: **Wojna**...), nawoływać do wspólnej walki z ciemiężcą, stawiając Polskę, jako wzór nieugiętego narodu. Wyraża wi- arę, że rychło nadejdzie już „dzień zmartwychwstania”. (Michajłow, Szczy- głow, Szczapow, nieznani autorzy wierszy i pieśni początku lat 60-tych).

I wreszcie ostatni cykl „polskich” wierszy zamieszczonych w antologii: utwory z końca XIX i pierwszych dziesięcioleci XX stulecia — wymowny wyraz nowego wybuchu zaintereso- wań Polską. Blok, Briusow, Sologub, Balmont, Asiejew, Jesienin, Gorodec- ki, Korinfski, Sirotin... Uwagę poetów przyciągały zarówno czasy „co w przeszłość dawno uszły”, jak i współ- czesność, zwłaszcza zaś wspólne tra-

dycje walk Rosji („Orla północy”) i Polski (przedniej straż, „strzały Słowian”) z niemieckim **Drang nach Osten**. Niezależnie od intencji auto- rów i okoliczności, w jakich wiersze te powstawały, są one świadectwem, że w świadomości wielu Rosjan, Po- lska „nigdy nie umarła”, istniała zaw- sze, nawet wówczas, gdy dźwigała „cieżar potrójnej obroży”. U najsła- chetniejszych zatem pisarzy rosyj- skich — jak mówią o tym zamieszco- ne w antologii Białokozowicza utwo- ry — Polacy zyskali sobie ogromny szacunek i uznanie. Uznanie to zdo- byli przede wszystkim dzięki temu, że — powtórzmy za Hercenem — „gdziekolwiek by tylko podejmowano sztandar niepodległości, w Kolumbii lub w Hiszpanii, we Włoszech lub na Kaukazie, niezawodnie zjawiał się jasnowłosy syn Polski, stawał w pierwszych szeregach i pierwszy ofiarne przelewał własną krew, prze- kazując swoim braciom i dzieciom ideę wyzwolenia Polski”.

Antologia **Dźwięki kruszonych oków** jest niewątpliwie jednym z cieka- wych wydarzeń literackich ubiegłego roku. Nie dziwi więc fakt wyróżnie- nia jej, obok **Jak unieść wierszem** Twoją chwałę, przez Polską Agencję Prasową. Można by oczywiście wytknąć kilka umownych stron tego utworu. Wymieńmy jedną: niepo- trzebne, moim zdaniem, usiłowanie poszerzenia jego objętości przez zamieszczanie tekstów, w których czytelnik na próżno szukać będzie chociażby wzmianki o Polsce, bądź znajdzie zaledwie jakiś nie zna- czący szczegół.

Jak w każdej obszerniejszej anto- logii przekładów, a tym bardziej w antologii wierszy powstałych w epo- cie minionej, tłumaczami są przedsta- wiciele różnych pokoleń i epok, re- prezentujący różne poglądy na sztukę przekładu (Chodźko, Belmont, Tuwim, Iwaszkiewicz, Ważyk, Jastrun, Lewin, Broniewski, Kamińska, Pollak, A. Szymański, Jędrzejewicz, Chroście- lewski, Cesarz, Buczkówna, Kun- cewicz...), Nie wszystkie przekłady są doskonałe. Uchybienia zdarzają się nawet znanym i uznanym tłumaczom. „Tam pieś Mickiewicz wdochno- wienny i (...) swoją Litwę wspomni- ał”, to nie to samo, co „Mickiewicz śpiewał tu natchniony, marząc o Lit- wie utraconej”. To dość dalekie od- stępstwo od oryginału. Ale, jak po- wiadają niektórzy krytycy i tłumacze (M. Jastrun, S. Pollak), „nawet nie- doskonały przekład może spełnić wa- żną rolę. Może zbliżyć do poety, za- chęcić do czytania go w oryginale; czytelnikowi, który głoło włada ob- cym językiem, ułatwić dostęp do pięk- ności zawartych w pierwowzorze. Ja- kiś odbiór oryginału pada przecież nawet na mniej udany przekład”.

I na zakończenie warto jeszcze pod- kreślić, że autorem kilkunastu prze- kładów w tej „niezwykle ciekawej i pożytecznej antologii jest łódzki poeta, zasłużony popularyzator poe- zji rosyjskiej — Tadeusz Chrościele- wski, oddający w swych przekładach, jakby powiedział o nich zapewne z aprobatą Kornel Czurowski, „nie literę litera, lecz uśmiech — uśmie- chem, muzykę — muzyką, tonację du- chową — tonacją duchową”.

ARTYSTA i MITY

W biografach twórców bardzo chętnie i z prawdziwym upodobaniem autorzy rozpisyją się o mekach i cier- pieniach artystów — o ich głodzie, chłodzi, poniewierce i nieprzekup- ności — i bardzo im na ogół odpo- wiada, kiedy jakiś malarz, kompo- zytor, czy poeta umarł rzeczywiście młodo, bo to jest tak zwany „samo- graj”, czyli dobra trampolina do pro- dukowania legendy. Dzięki takim biografistom, wielu twórców, którym przyszło zejść z tego świata młodo, znanych jest potomnym bardziej z krzepających lub bawnych opowieści o ich życiu, niż z ich twórczości.

Nie ma chyba twórcy na świecie, któremu nie zależałoby na zdobyciu popularności, powodzenia, sławy. Każdy jednak chce to osiągnąć swoi- mi dziełami, pracą, talentem i żaden z nich zapewne nie marzy o wcho- dzeniu do historii za pomocą podar- tych butów, pustej miski na stole i dyskretnie choroby, która zżere je- go organizm. Ile to razy rozmawiając z ludźmi na tak zwany poziomie, słyszy się, jak gładko rozprawiają o tym, że na przykład Modigliani cho- dził obdarty, niedożyłwiony i z su- chością kaszlem. Prus był dzi- wakiem i klastrofohem, Wyspiański umarł na syfilis, a Puszkina zastrze- lone w nierównym pojedynku. Kiedy jednak mowa o ich twórczości — o tym czego dokonali dla światowej, czy narodowej kultury i sztuki — wtedy cała wiedza sprowadza się do powtórzenia kilku najbardziej oczy- wistych i wyświechtanych prawd.

Słysz się więc, że Modigliani, to ma- lowałakty — a był to przecież tylko drobny fragment twórczości tego ma- larza i rzeźbiarza; że Prus napisał „Faraona” i „Lalkę” — bo przerobił- no to na filmy i rzecz jest już po- pularna, więc nie ma co czytać ksią- że, że Wyspiański stworzył „Wesele” — ale o jego innych wielkich sztu- kach, o jego poezji i bogatej spu- ściźnie plastycznej już się na ogół nie usłyszy. Podobne mity okraszane kropką prawdy funkcjonują społecznie w związku z całym legionem arty- stów, których rzeczywista twórczość jest prawie że nie znana, a za całą popularność służą jakiś wyrwany fragment życiorysu.

Taka właśnie przypadkowa i oka- leczona popularnością cieszy się u nas wielu wybitnych, a niejąkających już twórców. Ileż to biografii i tomów powypisywano o Grotgerze — młodo zmarłym dziewiętnastowiecznym piecy patriotycznych tematów — rozbitym patetycznie, bawo i cikiwie — pomijając przeważnie to, co naj- wartościowsze w jego malarstwie — czyli świetne portrety i realistyczne pejzaże. A przecież, skoro starczyło miejsca, żeby rozwozić się nad nie- szczęśliwymi miłośnikami i grzuli- cą malarza, to obowiązkowo byłoby po- kazać, podkreślić, upowszechnić je- go rzeczywiście najlepsze obrazy, a nie te, które on sam — wiedziony sentymentami — starał się wysuwać na pierwszy plan.

Nie lepszy los spotyka i twórców współczesniejszych. O Xawerym Du- nikowskim — artyście, któremu dane było żyć długo — już za jego życia ukuta została legenda o tym, że ma niewyczerpane konto bankowe i wciąż buduje pomniki. I dziś — kilkanaście lat po jego śmierci — Dunikowski funkcjonuje w powszechnej świadomości wyłącznie, jako autor pomni- ków — tego na Górze św. Anny na Śląsku i tych kilku w Warszawie. A jest to tylko kawaleczek, okrawek ledwie wielkości tego rzeźbiarza. Wielkość, która budzi czasem wą- pliwości i jakby cień zdziwienia, bo nie wszystkie pomniki, które pro- jektował Dunikowski — zwłaszcza te u schyłku swego długiego żywota — imponują dzisiejszemu widzowi swo- ją czasem nazbyt ekorną i jakby szablonową formą. Tymczasem zginął prawie całkiem z pola widzenia cały ekspresyjny okres twórczości z lat 1900—1925. Nie mówi się o pięknej i wyrazistej rzeźbie kameralnej tego twórcy, a także o jego osobliwym po- wojennym malarstwie.

Takie przykłady można by mno- żyć w nieskończoność. Im bowiem artysta ma bardziej dramatyczne ko- lej losu, tym łatwiej — za pomocą pio- tek i rzewnych opowieści różnych fał- szowych apologetów — zamiast ar- tystycznej biografii, tworzyć mit. Pod mitem zaś gnie dzieło artysty, albo kształt jego się tak wypacza i znieksz- tałca, że niewiele z tego dla dobra sztuki pozostaje. Owszem, najlepszą i najuczciwszą twórczą biografie ar- tysty daje wystawa, bo wówczas widz znajduje tam to, co mu najlepiej od- powiedzia, lub czego nie znoś i wyro- bi sobie pogląd na wartość dzieła i rzeczywistą pozycję w sztuce kon- kretnego twórcy, a nie ulepionego z kilku zabawnych lub rzewnych dy- dymalek i strzępków prawdy nie- szerszego idola sztuki.

Świadomi tego, że artystę często o wiele bardziej lansuje legenda o nim, niż prawda o jego sztuce, często sami twórcy poddają się mitomań- skim praktykom: fałszując swoją bio- grafie, i podejmując się różnych ka- botyńskich zabiegów. Przykładem kli- nicznym jest tu Salvatore Dali — znakomity malarz o ogromnej fasy-

nującej wyobraźni — który przez kil- kadziesiąt lat część swych sił życio- wych przeznacza na nieustanną zgr- yw i mizdrzenie do znużonego mie- szczanina z wycpanym portfelem. A motyw tych zenujących często i za- lawnych wygłupów jest jeden: dać się zauważyć za jakkąkolwiek cenę. Stąd wypływa uprawianie w środowisku artystycznym tej całej kostiumomanii — osobliwego rytuału wyróżniania się za wszelką cenę strojem, ubiorem, rekwiizytem. Przekonanie, że ekstra- wagancki ubiór, to już połowa sukce- su artystycznego — a hołdując temu pogładowi nieświadomie bardzo mierni twórcy — prowadzą czasem do śmie- sznych choć nie zamierzonych sytu- acji. Przyjechał na przykład kiedyś do Łodzi na wernisaż swojej wystawy pewien znany artysta awangardowy z RFN. Awangardowa sztuka — zwa- szcza ta ze sfery dolarowej — przy- ciąga dużo ciekawskich, snobów i — oczywiście — mówie uważających się za awangardę czeladników sztuki. I oto w tłumie długich swetrów po kolana, przepaściwych nogawek i koturnowych piedestałów, zamiast obuwia, w tłumie drgających gigan- tycznych fryzur „afro” i cyrkowych makijaży — pojawia się nagle szczy- pły na krótkiego jeża ostrzyżony człowiek w czarnym garniturze, ta- kimi krawacie i białej koszuli. To właśnie ów awangardowy artysta — na pewno jeden z wybitniejszych w swojej dziedzinie. Ale konsternacja jest powszechna. W oczach snobów czulej tylko na zgrzyw i mizdrzenie, człowiek wyglądający, jak skromny agent ubezpieczeniowy nie może być wybitnym artystą. Patrzają więc oby- jętnie na wystawione dzieła — z których wiele jest znakomitych, mądrych, humanistycznych — i wy- chodzą pośpiesznie z sali. Nie dowie- rzają, bo dla nich artysta awangar- dowy musi mieć inny kostium; w takim kostiumie na wernisaż swojej wystawy mógłby przyjść jakiś stera- ny wielkiem akwarelistą, ale nie ktoś z awangardy. A, że ten tłum pójsie na wystawę akwarelisty uważa za niemożliwą do przyjęcia niedorzecz- ność, przeto swoją obecność na wy- stawie faceta, który wygląda, jak akwarelista, traktuje, jako nieporo-

zumienie. Upozowany tłum czuje, że coś jest nie w porządku, że zostały złamane reguły gry w awangardę — i odchodzi. Ten w czarnym garniturze z wąskimi spodniami zostaje sam na środku sali: nie garną się do niego z serdecznościami miejscowe tuzy awangardy, nikt nie zadaje żadnych pytań, nie prosi o autograf. W oczach przyuczonego do pozy tłum, dokona- ła się bowiem profanacja, a tłum tego bardzo nie lubi.

Czy zatem ciężko o popularność ar- tysty, który się nie zgrywa, bo nie wlicza zgrzyw do kosztów, jakie mu- si płacić za uprawianie sztuki? W pewnych sytuacjach na pewno tak, bo obserwuje się zanik zainteresowa- nia sztuką wielu dobrych artystów, nie zabiegających zbyttno o własną propagandę i jak to się mówi — „nie bywających”. Dopiero po ich śmierci to zainteresowanie nagłe ożywa i na falę wspomnieniowych przypływów zaczyna budować się właśnie owa osobliwa półprawda-półlegenda, za którą skrywa się z wolna rzeczywista wiedza o sztuce niezjąkającego artysty.

Czy więc można dźwiz się twór- com, że już za życia zaczynają się ustawić do pozy, która ich potom- nym pozwoli potem lepiej kleić sym- patyczną legendę na temat tego zwario- wanego, ale fajnego artysty, który co tam w tej sztuce zrobił, ale prze- de wszystkim życie miał świetne, bo albo krótkie, albo rojące od przygód rzewnych i wesołych? I myśle, że trzeba dać na to odpowiedź pozytyw- ną, bo jeśli dobry twórca się zgrywa i pozuje dla publiczności, to należy mu się dziwić. Trwa przecież i tak cały czas zaciąg snobów i artysty- cznych miernot do tych kostiumowa- nych batalionów zgrzyw. Oni muszą — bo to ich jedyna szansa na brylowanie i marzenia o awangardzie.

Dobry artyści natomiast nie mu- szą tego robić nawet dla chleba, bo dziś nawet podjęty twórca na siebie zarobi i jeszcze na fiata 126 odłoży. Więc niech się nie poddają terrorowi życia z maską. Może w ten sposób przyczyną choć trochę głupie legen- dy i mity o artystycznym losie, a więc będzie się mówiło o sztuce i jej po- trzebnych naprawę ludziom warto- ściach.

W KRĘGU PAMIĘCI

„Obrachunki inteligentkie” kojarzą się nam z pierwszymi latami Polski Ludowej. Są dziś terminem historycznoliterackim dotyczącym krótkiej i zamkniętej karty twórczości powojennej. Można ją wyodrębnić dzięki charakterystycznym obsesjom myślowym i skłonnościom stylu. Przesada byłoby powiedzieć, że dzieło się już o tym uczy w szkole, choć przecie przerabiają wiersze Gałczyńskiego, ale prawda jest, iż na wyższym poziomie kształcenia od tego właśnie zjawiska rozpoczyna się zwykle omawianie dzieł literatury po roku 1945.

„Obrachunki inteligentkie” były doraźna, ale chyba stosunkowo autentyczna reakcja na przełom historii, wymuszający rozstanie z dawnymi i oswajanie się z nowymi formami życia w zdruzgotanym wojną kraju. Były próbą opanowania rozhuśtananych narodowych emocji, lecz zarazem próbą młodej bezbolesnej zmiany skóry. Nastąpiły po wielkich wstrząsach tragedii wrześniowej, okupacji oraz terytorialnej i społeczno-politycznej reorientacji Polski wyzwolonej, ale odnajdywały wzory w niektórych nurtach międzywojnia borykających się z ubiegłowiecznymi obciążeniami kultury polskiej. Nakiwały więc ironia balony rodzimych mitów, preparowały karykatury patetycznych gestów, obnażały bezradność i osamotnienie inteligenta starej daty. Kto wie jednak, ile ta samokrytyka, drwina i neglizmowanie anachronizmów, które zalegały w zbiorowej świadomości, chciało się wówczas zdławić bólu i nieprzezwyciężonych sentymentów. Przyszło się bowiem gorzko rozliczać z epoką odznaczającą się bądź co bądź szczególnym pietysmem dla tradycji patriotycznych i kultem młodej niepodległości. W każdym razie ówczesne dyskusje inteligencji samej z sobą wyrażały rozterki aktualne, wahania i nerwice teraźniejsze. Do ich przeżywania należało także było partnerów o tożsamych kłopotach duchowych, nierazko jeszcze komplikowanych dodatkowo przez życiowe perypetie inteligentów w okresie odbudowy kraju i przebudowy państwa. Ci partnerzy tkwili w środowiskach zdolnych do zalecia bardziej refleksyjnej postawy, pośród powszechnej krztaniny wokół spraw praktycznych i wobec utrzymywania się rozmaitych złudzeń i epigonijskich marzeń, nie mających szans na urzeczywistnienie.

Na jakich prawach jednak treści te pojawiają się obecnie — na to pytanie trzeba odpowiedzieć po lekturze ostatniej powieści Wiesława Jażdżyńskiego „Między brzegami”, następującej w pewnej kolejności analogie z przywołanym epizodem naszej literatury. Zresztą cała proza

autora — naturalnie poza utworami dla młodzieży — zobowiązuje do tego porównania. „Między brzegami”, mimo świeżych pomysłów i przy wszelkich nowych konfiguracjach realiów, jest w istocie repliką materiału znanego z poprzednich książek, a główny bohater, Karol Zesławski, tylko imieniem i nazwiskiem oraz detalami biografii różni się od Justyna Szwosowskiego — sztandarowej postaci literatury Jażdżyńskiego. Wrażliwość twórcy Jażdżyńskiego skupia się na tym zespole podmiotów, jaki wypracowała u nas literatura „obrachunków inteligentkich”, zestrojonych oczywiście z własnymi doświadczeniami autora. „Między brzegami” jest książką niemal bliźniaczą wobec „Między prawdą a chlebem” (1980) i „Świętokrzyskiego poloneza” (1985), zbieżną problemowo z „Pojednaniem” (1974). Łatwo też byłoby odszukać związki z pozostałymi utworami: „Nie ma powrotu” (1963), „Sprawa” (1969) czy „W ostatniej godzinie” (1971). Nawet „Reportaż z pustego pola” (1965) znaleźć się musi w polu skojarzeń ze względu na watek Ani, więźniarki łódzkiego łagru dla dzieci, a także „Okolica starszego kolegi” (1960) — opowieść o kieleckim gimnazjum, do którego uczęszczał Justyn Szwosowski i jego sobowtór Karol Zesławski — syn przedwojennego pułkownika. Wszystkie te powieści łączą jeden główny temat — przełom historii przeżywany w jego różnych fazach. A więc najpierw jako poprzedzające zasadnicze wypadki kryzysy wiary w panującą ideę i obrzędy polityczne u schyłku II Rzeczypospolitej. Następnie jako przełom właściwy, ukazany z perspektywy jednostki, której tak trudno w kłębówisku żywiołów zapamiętać nad swoim losem i nad sensem swych wyborów, odruchów, przyjaźni koleżeńskich, okazjonalnie, nieopatrznie wypowiedzianych słów, a także nad sensem swej przeszłości i swych pokrewieństw, nieoczekiwanie pociągających złośliwego tręścia. I wreszcie jako powolny proces adaptacji do nowej rzeczywistości wraz z jej stabilizowaniem się.

Tytuł omawianej powieści symbolicznie zakreśla horyzonty świata, do którego Jażdżyński wciąż powraca w swej twórczości. Jest to mianowicie ten odcinek życiowej wędrówki, w którym nagle zabrakło gruntu pod nogami, bohater zaś znalazł się w położeniu żeglarskiego drwiałca na łupinie bez steru i busoli (ideologii), pośród często nie dostrzeganych w porze wirów i raf (dowolne podziemie, jego zakamufłowane ekspozytury i klify). Unoszony jest strzeżony mi prądami. Ku staremu brzegowi, który przelazła opieka materialna, nostalgicznymi urokami obywateli domu rodzinnego i wspomnień dzie-

ciństwa, jak również ujmująca postawa arystokraty herbu Nalecz, i jednocześnie odpycha politykierskim intrygantem „ludowców” i zwierzęcą historiozoficzną mitologią sanacji. Ku nowemu brzegowi, który też przyciąga choćby pragnieniem życia normalnego, prawością moralną i godnością robotniczej rodziny Budziszów, ale zarazem odpycha, np. uwielającymi bohaterowi ofertami ze strony aktywistów lewicowej organizacji studenckiej, praktyką nieufności, sankcjonowaną przez teorię „skazy pochodzeniowej” i odpowiedzialności zbiorowej, czyli za grzechy „nieżyjącego ojca, który wybrał się szablą w złym kierunku, nieżyjącego brata, który zdradził i krewnych za granicą”.

Los bohatera realizuje się poprzez przypadki, zbłęgi okoliczności, intuicyjne decyzje. Karol Zesławski raczej ciągle umyka, niż dąży do celu, raczej szczęśliwie omija niebezpieczeństwa, niż coś osiąga. Jest pokazywany na tle uwikłań środowiskowych i przeszłości, która nawet jeśli nie jest jego osobistą przeszłością, lecz zostaje mu przypisana wedle doktrynerskich schematów pseudosocjologicznych, to i tak go warunkuje, obciąża, wlecze się za nim opłatając go siecią podejrzeń i insynuacji. Jest zagubiony, samotny i autentycznie rozkojarzony. Jego duchowość utrzymuje się w stylu ni to ni owego. Staje się więc przedmiotem manipulacji, dusza jego bowiem znajduje się niejako w czystym, walczą o nią emisariusze z obydwu „brzegów”, przy czym młody człowiek nie wie, kto jest anielsko upowierzonym szatanem, kto zaś metafizycznymi metodami zmierza do anielskich celów. Nikt go zresztą nie inspirował do samookreślenia, nikt go nie pyta o przekonania. Każdy z liżących się aktorów tego spektaklu „żąda jedynie usług”: lewica — do nosicielskich, prawica — kurierskich. Zesławski nie działa czynnie i świadomie ani przeciw czemuś, ani za czymś. Nie ma aspiracji do współtworzenia historii, ani do upolitycznienia sensu swego życia. Ma natomiast swoje zwyczajne ludzkie potrzeby: musi gdzieś mieszkać, chce skończyć studia. Każdy krok ku załatwieniu elementarnych, prywatnych spraw nabiera jednak, wbrew jego intencjom, znaczeń politycznych. Musi opuszczać mieszkanie i dorywać prace, musi wyjechać na Ziemie Zachodnie, musi stamtąd umykać. Jest bardzo dobrym studentem, ale jego sytuacja na uczelni, np. łódzkiej, komplikuje się osobliwie: działająca młodzieżowa szantażująca go, uszkuje też nieproszonego. Kłopotliwych protektorów: nawet się nie obejrzał, jak nieświadomie czy półświadomie został kurierem podziemia.

Ta optyka widzenia przełomowego okresu najnowszej historii poprzez realia egzystencji powszedniej, w skali jednostki, bez natrętnego impetuowania jej czynem i dążeniem motywacji ideologicznej wydaje mi się rzetelnym osiągnięciem Wiesława Jażdżyńskiego. Jażdżyński umie pisać o młodym inteligencie tamtych czasów. Widąc, że zna i czuje klimat inteligentki, że to go naprawdę obchodzi, że to jest dla niego żywe i bliskie. Większe oddalenie od sfery proletariackich natomiast osłabia jego pióro, gdy o nich pisze. Nie ustrzeże się więc dydaktycznego schematu w obrazie środowiska robotniczego jako skupiska wszelkich cnót osobistych i obywatelskich.

Pora na dalsze wnioski. Mając na uwadze postawione pytanie o nadzrednie racje podjętego przez autora tematu powieści, że owa sytuacja młodego inteligenta ulega mumiifikacji, została przywołana na prawach wspomnienia o młodości, pamiętnej dreszczem przeżyć czyniących jednostkę — wbrew jej woli, ale jednak — wsobolucznikiem spraw narodowych, ogólnych. Próżno by tu szukać jakiejś próby przedyskutowania od nowa intencji i sensu poczynając ścierających się po wojnie stron, czy oświeślenia zapożyczonych z trzaskami Jażdżyńskiego preferencji naracjonalizacji konfliktów w miarę przybliżania się fabuły do czasów współczesnych, preferuje rozwiązanie rozkładające napięcie, rozwiązania irealistyczne. To nie jest przypadkowe. Metoda ta służy naczelnym celom literatury — pokazywaniu, mianowicie, procesu pojednania, zgody, osiągnięcia czy to przez dojrzenie ludzi rozkojarzonych i wątplących do ideowej aprobaty socjalizmu, czy to przez krystalizowanie się postawy swoistego neopozytywizmu (jak powiadał mecenas kielecki w „Między brzegami”), notabene w pierwszych latach po wojnie faktycznie montowanego w publicystyce historycznej, czy to wreszcie przez realną pracę „starej” inteligencji na ważnych odcinkach życia społeczno-gospodarczego, oświatowego i kulturalnego. Tendencja ta doszła do głosu nawet w „Okolicy starszego kolegi”, gdzie widzimy dwa zwalczające się obozy uczniowskie — „arystokratów” i „demokratów” — w okresie pokojowej współpracy i wzajemnej tolerancji.

Ta dyalektyka załamuje się w końcu i ma to swoje konsekwencje literackie. Odcierającemu się o groźne afery Zesławskiemu włos z głowy nie spada, hrabia Nalecz też ładuje na cztery łapy i bardzo pozytywnie sytuuje się w świecie, który go wysadził z siódmego nieba. W ten sposób Jażdżyński, który w „Między brzegami” zabrał się do kłopotliwego opisywania sytuacji drastycznych i pozwala na zajęcie się dyskretnymi urokami uczuć i satysfakcjonującymi meczem, z pokolenia Kolumbów, przewagami w rywalizacji o kobiecie, poślubił przez niegodziwca. Współczesność jest wywołana ze strzępów, miejsce dawnych sporów zajmują teraz melancholie pana w średnim wieku, czulego na wdzięki nastolatki i nieleżającego w swej wobraźni młodości erotycznej wza-

jemności ze strony swej dawnej „wychowanki”, niedyszałka dziecka zmaltretowanego przez wojnę, dziś — śmiegły sportsmenki, obdarzającej swego „wujka” jedynie przelotnym błyskiem pięknych oczu. Poza tym intymnym akwariem widzimy w czasie bieżącym jedynie małe intrzygi i gry środowiskowe, świadczące dodatkowo o dewaluacji dawniejszych konfliktów i perypetii oraz ich optymistycznym finale. Oto bowiem okazuje się, że pała na panewce próby wywołania cieniów przeszłości przez ludzi podłych, starających się zerwać dla poklasku gawiedzi i zaspokojenia własnych ambicji na pogrzebanej już zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. Nawet więc mali intrygantki, jak ów „dość sprytny i nie pozbawiony talentu pisarz, dziennikarz, trochę filmowiec i fotografik, a przede wszystkim doskonały meteorolog”, który „zawsze wyczuwa nieomylnie, skąd powieja i jakie wiatry”, i który wciąż z zapalem Savonaroli oskarża Karola Zesławskiego za przeszłość jego rodziny — przegrywają i to nie tylko w planie społecznym, lecz również osobistym. Tu zresztą autor każe nieco chyba przesadną przeżyć satysfakcję swemu bohaterowi: nie dość, że swym pisarskim werdyktem wniewieczoraca kłopotliwego owego wszechstronnego twórcy i meteorologa, nie dość, że czyni go mizerotą moralną, ale jeszcze kwestionuje jego „mekskość” (w rozumieniu potocznym), za karę odbiera mu żonę i daje ją w nagrodę niezadowolonym szkolanemu bohaterowi, aby ten mógł w łóżku dokonać odwetu na swym prześladowcy. Przepraszam, jeśli strześciłem ten fragment trywialnie, chciałem jednak pokazać, jak problem moralny, dający szansę głębokiego rozwiązania, sprowadzony został na mieliznę obyczajowego unicestwienia.

Takie zatem powściągliwe i skromne penetrowanie współczesności i jej mało znacząca pozycja wobec przeszłości zepchnęły typowo obrachunkowy temat do lamusa małej przywatnej historii, z której czerpać można dowolnie materiał do wspomnień, z której jednak nie dochodzą nas impulsy liczące się dziś niepokojów czy refleksji. Jest to, powtarzam, proza rzetelna w rysunku psychicznym młodego inteligenta lat powojennych, głęboko rozumna w realistycznej motywacji przeobrażeń i czynów jednostki, wierna realiom środowiska już pogrzebanym przez historię, już nie znanym młodym pokoleniom, i to stanowi o jej wartości, o jej cyflicznym pożytku i uroku. Wprowadzanie planu współczesnego, opisy sytuacji, w których narrator inicjuje retrospekcje, przeszkodził do czasów dzisiejszych, zwiastując, że „Między brzegami” — do czasu akcji „na sile” i „w zwykłych skokach, bez należytnej analizy, do teraźniejszości nieotrębną zakładać harmonię. Wydało mi się — uważa ta dotyczy całej twórczości Jażdżyńskiego — że plan współczesny jest zbudowany nie tak dobrze, jak plan przeszłości.

Wiesław Jażdżyński. Między brzegami. Łódź 1977, ss. 204, cena 20 zł.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

O MAZURSKICH STAROBRZĘDOWCACH

W czasach, kiedy na Polskę spadały klęski Potopu, Carat, wzmocniony zwycięskimi wojnami i akcesem Chmielnickiego, ustalał plany polityczne, które będą odziedziczyły walczyć kolejnych władców Imperium Wszechkraj. W tym planie zepchnięcia Porty Turckiej z powrotem za Dardanele i wyzwolenia ziem dawnego Bizancjum. Rysuje się, mgławicowa jeszcze, koncepcja „Trzeciego Rzymu”, czyli kolejnej stolicy całego świata chrześcijańskiego. Po Wiecznym Mieście i Konstantynopolu charyzmat na nią miałaby otrzymać Moskwa. Realny cel polityczny tej mistycznej z pozoru koncepcji stanie się jaśniejszy, gdy uprzytomnimy sobie, że główną cerkwie rosyjskiej był sam car, a zatem była ona z natury rzeczy jedną z agend władzy państwowej. Dla zapewnienia przyszłej dominacji kościoła rosyjskiego nad całym prawosławiem nieodzowne było zdobycie pełnego zaufania wschodnich kościołów, uznania go w pełni za ortodoksyjny. W tym celu postanowiono usunąć z liturgii i zewnętrznych form kultu jak najwięcej elementów lokalnych, nie znanych innym bratnim cerkwiom. Oto, z gruba biorąc, przyczyna wielkiej reformy liturgii, obowiązującej symboliki itp. przeprowadzonej pod patronatem cara Aleksandra Michajłowicza, potem carówny Zofii, przez patriarchę Nikona i jego współpracowników. I dzisiaj, w dobie silnego bądź co bądź zlaicyzowania życia i mentalności ludzkiej wiemy, z jak bardzo mieszanymi uczuciami przyjął świat katolicki niedawne reformy liturgiczne Vaticanum II. Jak silny za-

tem szok musiała przeżyć wówczas prawosławna Ruś muzyka! Znaczną część wiernych i niższego duchowieństwa nie podporządkowała się reformie, mimo najsurowszych represji (wtedy to ścigany został m. in. znakomity wódz Chowański — ten sam, którego w „Potopie” „podchodził” Kmicic). I tak powstał „raskol”, czyli rozłam. Nieprzejednani, zwani od starobrzędowcami, chronili się przed prześladowaniami na dalekie peryferie Rusi, ale że i tam ich dosięgały, udali się na teren Rzeczypospolitej (m. in. do dóbr Czartoryskich, Chodkiewiczów i Lubomirskich), do Kurlandii i Elektoratu Pruskiego (częściowo obszar dzisiejszych Mazur). Przyjmowano ich z otwartymi rękami, odznaczali się bowiem zbożną pracowitością, przy obojętności dla świeckich spraw tego świata. Praca nie była dla nich środkiem gromadzenia dóbr doczesnych, lecz cnota ewangeliczna. Jako najwytrwalszych w przywiązywaniu do wyznawanej wiary, cechowała ich świątobliwość życia bliska w bogobojności pierwszych chrześcijan. Rozbił na szereg odłamów (jak czarnoobyt, nowokadzicki, fiodosiejewski, no i najliczniejsi osiedli na ziemiach Rzeczypospolitej i północnych księstwach saskich — filipowcy), odgródził od sąsiadów odmiennością obyczajów, mowy, surowymi nakazami religijnymi, asymilowali się przez dziesiątki i setki lat. Pielegnowali archaizm siedemnastowieczną ruszczyznę, oddawali jedynie rzadkie ikonom przywiezionym ze sobą, modlili się z przastarych modlitewników, klękali przed krzyżem jedynie „ośmiokółczastym” — jako że inne misze były szatanowi niż Bogu; żegnali się przy pomocy dwóch, a nie trzech, jak zreformowani prawosławni, zwartych palców, podczas nabożeństw śpiewali „aliluja” dwa, a nie trzy razy; nie strzygli włosów, respektowali dziesiątki najróżniejszych postów, praktykowali daleko posuniętą wstrzemięźliwość seksualną. Gdy zabrakło przedrozmowych duchownych, niektóre grupy mianowały swym bezpośrednim duszpasterzem — Chrystusa... Tak żyli, nie niepokojeni aż do ustanowienia przez rząd przymusowej służby wojskowej (choć i wtedy patrzone często przez palce na ich wyniki z nakazów religijnych uchylenia się od poboru)... Świat się zmienił. Mknęły już teraz po nim maszyny parą rzygające, przewożące ludzi oraz marności tego świata. Po niebie zaczęły latać nie tylko sami aniołowie, ale i ludzie, i nawet grzeszni. Śladem proroka Eliasza wzięli na wozach ognistych w niebo empijskie astronauty. Zbierały krwawe żniwa coraz rozleglejsze i okrutniejsze wojny, a starobrzędowcy na ziemiach Rzeczypospolitej i „za północnym kordonem” trwali... choć było już ich coraz mniej, a po „żniwach” hitlerowskich już tylko bardzo mało. Dziś nikt im nie zatrzuwa życia, ale sama istota współczesności (powszechność nauczania, ruchy migracyjne, różnorodność oczekujących młodzieży zawodów, wszechobylność massmediów, kin, teatrów objazdowych, w ogóle uniformizacja życia) sprawia, że liczba filipowców praktykujących zmalała w Białostockiem i Augustowskiem do dziesiątków, zaś na Mazu-

rach, w tym w głównym ośrodku, w Wojnowie (w którym znajduje się ostatni bodaj w świecie klasztor żeński starobrzędowców) do kilkuset starych i bardzo starych ludzi. Nikt nie zatrzuwa im życia? Niezupełnie tak jest. Nie zapomnijmy, że filipowcy są posiadaczami „przed-raskolnych” ikon i innych bezcennych staroci, zaś panuje obecnie ogólnieświatowa moda na „desę” i nawet najprzemysłniej strzeżone muzea padają ofiarą wyspecjalizowanych szalek i niemniej bezwzględnych amatorów. Nim na naszych oczach „podziali się prawdziwi Cyganie”, Fenikowski uratował w swych amatorskich monografiach wszystko, co tylko dało się ocalić od zapomnienia z ich folkloru, obyczajowości, wierzeń, ba, autentycznego pieśniarsko-poetyckiego (odkrywcę twórczości Papuszy). Naukowcy Pomorza Zachodniego, w tym Stupsk, uratowali na minutę przed dwunastą to wszystko, co było jeszcze do ocalenia z wiedzy o odchodzących bezpowrotnie z życia Słowianach. Podobnego właśnie trudu, jeśli chodzi o uratowanie dla przyszłości wiedzy o kulturze, obyczajach, zjawiskach sztuki sakralnej ostatnich w Polsce skupisk starobrzędowców — głównie mazurskich filipowców — a także uporządkowanie i monograficzne ujęcie dzieł nie tylko polskich „roskolników” dokonał w wydanej ostatniej książce rusycysta łódzki dr Eugeniusz Iwaniec (dawny mój uczeń, co jest dla mnie źródłem zrozumiałej satysfakcji). W studiach swych oparł się nie tylko o kilkunastą literaturę przedmiotu, ale dobrał do mnóstwa nieznanych archiwaliów, przeprowadził drobne badania w terenie. Powstała książka obejmująca wbrew konwencjonalnie skromnemu (jak każda nieznośny obyczaj w pracach naukowych) tytułowi właśnie całość zagadnienia, od genezy reformy po dziś. Napisana jest w sposób przejrzysty

i bardzo zwarty, z troską, by każdy przytoczony szczegół rzeczywiście ilustrował zagadnienie, a nie istniał sam dla siebie. Dodajmy, że napisana dobrą, potoczystą polszczyzną i nie epatująca erudycją na pokaz. Jakby powiedział „Przekrój” — „czyta się”.

Należy pochwalić też autora za takt, który kazał mu dzień dzisiejszy tej tak anachronicznie odeń dalekiej grupy wyznaniowej zawrzeć w kilku ledwie zdaniach. Powodowała nim zapewne i troska o niefrustrujące potencjalnych czytelników tej monografii „stamtąd”, i ten nakaz kultury, który każe ściszać bądź zawieszać głos, gdy stajemy się świadkami agonii — czy człowieka, czy kręgu kulturowego.

Dodajmy, że książka została wydana bardzo ładnie, z wieloma ilustracjami i ciekawymi przerywnikami z druków mazurskich starobrzędowców. Wyposażył ją Iwaniec w staranny, acz nie rozdyt aparat.

Mam tylko dwie drobne uwagi do rozdziału wstępnego. Przy wzmiankach o etnograficznych zainteresowaniach Marcina Giersza należałoby poinformować czytelnika, że zbieracz ów był renegetem, działaczem prokaiserowskim i jak najbardziej antypolskim. Informacja, że Jędrzej Gierzych, autor najlepszego, do bestselleru Wankowicza tomu reportaży z b. Prus Wschodnich pt. „Za północnym kordonem” w okresie prac nad książką nie mógł być pracownikiem konsulatu w Olsztynie, ponieważ sanacja nie tolerowała na urzędach państwowych członków zwalczającego ją Stronnictwa Narodowego. Tym bardziej jego czołowych działaczy.

Eugeniusz Iwaniec „Z dzieł starobrzędowców na ziemiach polskich XVII—XX w.”, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1977, cena 25 zł.

7

1.

Tego ranka Kąkol robił wrażenie człowieka, który łączył chwałę oszalego albo pederasty. Do szaleństwa i bezdusznej rozpacz doprowadził go hodowanie w lecznicy ponad sto sztuk stadzie piękne, no i dziwne, lecz przewrotne norki.

W sposób dla hodowcy niezrozumiały zwierzęta poprzecinały siatkę i zabrawszy się w kupę, urządziły krwiożerczą orgię seksualną. Samice walczły z samicami, najsilniejsze samice zapładniały bezprawnie co pokorniejsze samice, natomiast samce bez przydziału pozostawały się wzajemnie męskości, żeby chętnych do kopulacji było jak najmniej.

Kąkol z obiedem w oczach i pianą na ustach rozdawał osobnikom według pici, wrzucał do klatek i urutował siatkę. Nim położył kres zbiorowemu gwałtowi, całkiem opadł z siły; kompletnie bez chęci do życia pograżył się w ponurych domysłach, czy przypadkiem te poprzecinane siatki nie są wredną robotą ze strony konkurencji.

Przyszykował sobie śniadanie, postawił na stole pół litra, nalal do szklanki soplej.

— No, to za straty w pogłowiu — mruknął do lustra.

Ale nie wypił. Ręka mu opadła, bo przypomniał sobie, że o dziesiątej ma się stawić w urzędzie finansowym. Sprawa była zbyt poważna, żeby się przed jej rozstrzygnięciem zaprawić; Kąkolowi zabierali pod budownictwo przemysłowe działki i dom, chciał więc, aby wywłaszczenie wypadło dla niego jak najkorzystniej.

Z przykrością zabrał się do jedzenia, gdy u drzwi zaterkotał dzwonek. Do kuchni wtoczyła się jak armata Cyganka wzrostu metr osiemdziesiąt, ze wzdętym jak balon brzuchem.

— Panie — jęknęła — daj pan wody chorej, biednej Cygance...

Kąkol rzucił jej wściekłe spojrzenie, lecz ujrawszy, że kładzie na dłoń dwie białe pastylki, z niechęcią napełnił szklankę. Kobieta włożyła do ust pastylki, popiła i jakby zbladła; przewracając okropnie czarnymi ślepiami runęła na podłogę. Kąkolowi włos się zjeżył na głowie, bo był pewien, że mu się baba w mieszkaniu otruła. Jednakże pchnięty do działania poczuciem humanitaryzmu i strachem zawłóki zesztywniała Cyganka na stojącą pod oknem kozetkę.

Przez kilka sekund przewracała jeszcze ślepiami, toteż miał nadzieję, że żyje. Ale po chwili kobieta postawiła oczy w ścian, wyszczerzyła zęby i pojękując rozgłośnie, zaczęła nalezyciecznie przęć. Kąkol wbił błękitne spojrzenie w rozdyty pod szeroka apodyktą balonisty brzuch i poczuł w nogach dziwną niekończącość. Bo chociaż był zatwardziałym czterdziestoletnim kawalerem, jasno dotarło doń, co się święci. Ale nie miał absolutnie pojęcia, jak się w danej sytuacji zachować.

— Lekarka — wycharczała Cyganka — albo jakąś kobietę...

Przerażony Kąkol jak wicher wypadł z izby i po dziesięciu minutach sprowadził przygluchą sąsiadkę, która w jego prośbie wietrzyła podstęp, gdyż nie mogło jej się pomieścić w głowie, że u Kąkole ktoś rodzi.

W progu przygluchą sąsiadka potknęła się o coś miękkiego... Był to czerwony, z wylazłym pierzem pękaty jasek. Sąsiadka popatrzyła na Kąkole jak na wariata i klnąc na czym świat stoi, splunęła mu pod nogi. Bo na kozetce nie było żadnej Cyganki...

Kąkol pobladł. Uświadomiwszy sobie, że jasek zagrał rolę ciężarnego brzucha, rzucił się do lustracji pomieszczeń. Odetchnął z ulgą, ponieważ drzwi do pokoju były zamknięte na klucz, a z kuchennego kredensu zginęło tylko trzysta złotych...

2.

Wydawało się, że dla Bogusia wtorek okazał się dniem szczęśliwym, spokojnym. Bogus był bowiem na zwolnieniu lekarskim, gdyż przed tygodniem z rozległym łbem trafił do szpitala. We wtorek o dwunastej w południe opuścił szpital, toteż miał prawo czuć się człowiekiem wolnym. Szokował jednak w tym, że nie miał do kogo wracać. Matka krzywo patrzyła na jego postępek, a z żoną żył w separacji, sporadycznie łącząc na utrzymanie siedmioletniej córki. Ponadto cierpiał na ból głowy, przed laty był nawet na obserwacji psychiatrycznej w Kochanówce, ale leczenia nie kontynuował.

Siedział przeto na ławce w parku i rozważał ponuro, czy rozbić głowę, którego doznał przed tygodniem, nie pogłębi choroby i nie doprowadzi go do szaleństwa. Trzeba przyznać, iż Bogus miał ważne powody, żeby wyciągać tak ostateczne wnioski. Otóż przed trzema tygodniami złapano go na włamaniu do ambulatorium fabrycznego. Tłumaczył się przytomnie, że bóle głowy powodują u niego zaniki pamięci i z tego powodu nie mógł trafić do domu, chciał skorzystać z pomocy medycznej, ale że lekarza i pielęgniarki już nie było, postanowił sam zaaplikować sobie jakiś środek wzmacniający na rozjaśnienie umysłu.

Milicja wyjaśniłom tym nie dała wiary, zainteresowała się natomiast meldunkami składanymi przez teści-

wą Bogusia. Teściowa skarżyła się, że ktoś się jej permanentnie włamuje do komórki kradnąc kwaszone ogórki, śmietanę, narzędzia, suchą kiełbasę i przetwory owocowe. Okazało się, że to właśnie zięć ograbiał ją z produktów żywnościowych.

Okazując dobrą wolę teściowa nie podała Bogusia do sądu, lecz na podstawie własnego wyroku rozdzieliła mu leń talerzem. Aby nie być posądzonym o małoduszność, Bogus, choć miał dobrą obdukcję, również nie ta skarżył teściowej. Ale nie chciał wcale myśleć, co będzie, jak pójdzie się

i zadrapaniami w tali od metalowej klamerki.

Zachowując wszelkie środki ostrożności włożył do lewej kieszeni banknot tysiącłotowy oraz dolary USA: dwie dziesiątki i piątkę; do skarpetki na prawej nodze wsunął banknot stu-dolarowy. Dolary, które, powiedzmy, dał mu w prezencie urlopujący wujek z Teksasu, zabrał w celu otworzenia w banku konta dolarowego, a w domyśle — żeby pozytywnie rozwiązać problem wywłaszczenia.

Ale zamiary jego okazały się pienne. W urzędzie finansowym oświad-

kawiarń, w krótkim czasie przestał pamiętać o czymkolwiek...

4.

Tego samego dnia nielegalny zięć Tośka-Kolibra, wspomniany wyżej Owieczko, w samotności przeżywał własne zgryzoty. Było tego sporo, ponieważ jako nielegalny zięć musiał być na tzw. przymusowej ucieczce. Ale po kolei.

5.

Kąkol wypił jeszcze jedną butelkę wina za 97, częstował kelnerkę, pokazywał dolary, leżał w szatni, pil ze szklanek przy bufecie kolejną butelkę z niejakim Goczalskim; bufetową chciała dzwonić na milicję, bo nie miał pieniędzy, ale dał jej w zastaw pięć złotych.

Potem był na komendzie ze skargą, że skradziono mu sto dolarów. Z tą samą pretensją wrócił do „Staromiejskiej”, ale wytłumaczono mu, że jest w błędzie.

Udał się do „Mokki”, pokazywał bufetowej dolary, ale ta oświadczyła, że na takich pieniądzech się nie zna. Chodził więc od stolika do stolika, lecz nikt nie chciał z nim pić, bo za bardzo był zaprawkowy. W końcu ktoś mu wymienił dolary na złote i postawił komuś dwa razy po pięć złotych.

Potem długo kiwał się w szatni. Dopadł go Bogus z Owieczką. Szatniarka wrzeszczała, że go z nimi nie puści, bo ma forę i oni mogą go oskubać, lepiej więc, jak wezwie taksówkę. Owieczko ujął się honorem i oświadczył, że zna osobiście Kąkole, a jak ktoś nie wierzy, to on może się wylegitymować.

I podał szatniarce przestarzałą książeczkę przeszkolenia bhp, z której skrzętnie wynotowała dane.

Ale Kąkol nie z tego wszystkiego nie pamiętał. Dopiero, gdy poczuł, że ktoś go prowadzi, w jego przeżartym alkoholem mózgu zaświtała mglista myśl, że to milicja. Zaczął się szarpać, walił dokoła bykiem, aż naradził się na taką kontre, że mu w łbie pojaśniało. I w tym ułamku sekundy ujrzał wyraźnie człowieka w turbanie, czyli zabandażowanego Bogusia. Zaraz po widzeniu Araba ponownie stracił przytomność...

Tymczasem Bogus z Owieczką wciągnęli go do bramy, skopali do wiatu, przetrzasnęli kieszenie i ściągali płaszcz. Podeszli do opuszczających pobliski bar Miszy i Kowalskiego. Misza chciał nabyć płaszcz, ale musiał udać się po forę do domu. Pojechali taksówką. W drodze takszkarz oświadczył, że on by chętnie nabył, ale ma wątpliwość, czy płaszcz nie pochodzi z lewizny. Owieczko przysięgł, że jest jego własnością, ale musi zbyć, ponieważ jest potrzebujący.

Takszkarz wysiadł, z przodu zatrzymała się druga taksówka i obaj kierowcy obejrżeli płaszcz w świetle reflektorów. Kierowca, który ich wioził, wziął go za tuzenda. Owieczko wziął sobie trzysta, drugie tyle dał Bogusowi; dwie stowy poszło na taksówkę, reszta na litr gody, którą wypili w mieszkaniu Kowalskiego.

Usczęśliwieni i z czystym sumieniem rozeszli się na kwatery. Owieczko zanoćował na stacji.

6.

O godzinie pierwszej w nocy ocknął się w bramie półprzytomny i obolały Kąkol. Tocząc mełnym okiem w półmroku, stwierdził z radosnym zdumieniem, że leży w pobliżu mieszkania kuzyna. Otworzyła mu „kleroty-czna” 80-letnia ciotka, która go nie poznała. Kuzyn stwierdziwszy, że Kąkol, bez płaszcza, pokrawiony i zabłocony, musiał mieć ciężkie przeżycia, chociaż nie nie można z niego wyciągnąć, położył go na leżance, żeby przez noc jako tako przyszedł do siebie.

Kąkol obudził się około siódmej. Poruszył zesztywniałym językiem w gębę i stwierdził z zerażeniem, że zaraz wypłuje zęby. Nic dziwnego; miał rozcięte wargi, lipo pod okiem oraz rozchwyane trzy siekaczki szczęki górnej i dwa siekaczki żuchwy.

Dokonawszy bilansu, upewnił się, że sumując wartość płaszcza, polskiego tuzenda i złotych, jest stratny jedenaście tysięcy. W porównie bólu i wściekłości mignęła mu przed oczyma twarz człowieka w turbanie. Tak, znał Bogusia! Z nadzieją, iż choć w części odzyska zagrabione dobro, udał się na milicję.

Ale taksówkarza z płaszczem jak dotąd nie odnaleziono. Kąkol po dziesięć dniach przeklina rozwydrzone seksualnie norki, chytły poród cygańskie, biurokrację i Bogusia, który będąc na zwolnieniu lekarskim dokonał rozbój.

Ale przede wszystkim winien mieć pretensje do siebie samego oraz do personelu agencji kawiarni, który to oporu upiła nietrzeźwych już klientów, byle tylko rosły obroty, premie i procenty dla szefa. Gdyby tajne inspekcje zlustrowały sprytne kawiarnie, miałyby sporo roboty.

RYSZARD BINKOWSKI

FERALNY WTOREK



Foto: W. Parys

dzień za włamanie do ambulatorium i przestanie płacić na ukończoną babcią wnuczkę...

Wstał z ławki i z obandażowaną głową powłócił się smętnie na rynek, gdzie jak co wtorek wrzał targowy rejwach. W handlujecej ciżbie znalazł matkę, która sprzedawała kartofle na wagę i warzywa na pęczki.

— Poszol won! — warknęła na jego widok.

— Mama — jęknął — chory jestem i głodny.

— To przyjdź do mnie na obiad — rzekła nieco łagodniej.

— Po szpitalu jestem na diecie.

Matka z bólem serca wetknęła mu w łapę banknot. Mną z tajoną radością stuzłotowy banknot, Bogus pomyślał, że wrąbie w „Powszechną” obiad, reszta zaś starczy do wieczora na piwo.

3.

Zanim Kąkol wytłumaczył przygluchą sąsiadkę, iż Cyganka — widmo faktycznie usiłowała powić na kozetce, ale się zmżyła i on nie zamierza ścigać ją za głupie trzy stowy, było wpió do dziesiąt...

Odprawivszy sąsiadkę, jął się czykować do drogi. Ubrał się w garnitur, brązowa skórzana czapkę i taki sam płaszcz, tylko bardziej sfatygowany, z poplamioną prawą dolną połą

czono, że nie z tego: aby sprawę załatwić, musi udać się do województwa. Kąkol skłił biurokrację i wnerwiony wyszedł na ulicę. Dawno nie pił wódki, ale w tych nerwach zaraz mu się przypomniały rozwścieczone seksualnie norki, armatnia Cyganka — widmo z wydalonym zamiast płodu pękającym jaskiem i nie napoczęta butelka soplej. I wtedy podeszł do niego dorywczy murarz Tośiek, zwany Kolibrem.

— Ty — rzekł przymilnie do Kąkole — pamiętasz, jak żem ci z moim nielegalnym zięciem Owieczką stawał chłodnie na dudy dla norek?

— Dobra robota — odrzekł machinalnie Kąkol.

— Nie będziesz miał czego do stawiania?

Kąkol skonstatował, że jak go wywłaszcza, to trzeba będzie coś postawić, i potakując skinął głową.

— To postaw na zaliczkę piwo — rzucił Koliber.

Kąkol postawił, tamten wypił, ale że pod kioskiem było nieporęczne, zaproponował taktownie lokal.

Udał się do „Staromiejskiej”, gdzie Kąkol kupił Kolibrowi wino za 45 zł, sobie zaś jako hodowcy prywatnemu za 97 zł. Koliber złapał cug, wypił jeszcze jedno bło to za 45 zł i upił się. Kąkol wyprowadził go na ulicę i puścił samopas. Wyprowadzony Koliber vel Tośiek zapamiętał, że Kąkol poili przy stoliku kelnerki i bufetową oraz rzucił czekoladami.

Natomiast Kąkol, który wrócił do

PRACA NA KONKURS

Dalszy ciąg ze str. 1

ni chirurgicznej. Zmieniła mu opatrunki. Chodził tam z dwa tygodnie. Umówili się na kawę w „Rarytasie”. Po dwóch latach byli już małżeństwem.

Na początku nawet lubiła jak mówił o swojej pracy. Później przyszedł dzieci, kłopoty. Ona miała swoje zdanie, on swoje. Miała też pretensje, że praca zabiera mu zbyt dużo czasu.

Teraz była na bezpłatnym urlopie. Zajmowała się dziećmi. Trochę nawet zdziwił się, że wróciła do pracy Fabryki.

Adela była uparta. Jak już coś umyśliła, to robiła wszystko, aby sprawę doprowadzić do końca. Przyniosła zeszyt, długopis i duży album, aby miał na czym pisać.

— Spróbuj! — powiedziała. — Może coś z tego wyjdzie. Ja idę do dzieci.

Długo leżał patrzeć w sufit. Wspomnienia. Co on może mieć za wspomnienia. Inną, owszem. Byli na wojnie, walczyli z bandami. Mieli różne przygody. A on? Trochę się tymi rozmowy zadenewował. Dobrze, Napisze. Niech się przekonają, że nie ma o czym pisać.

„Nazywam się Bogdan S. W 1975 roku ukończyłem studia na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej. W Zakładach Przemysłu Bawełnianego pracuję od 1961 roku. Prace zacząłem jako uczeń zakładowej szkoły zawodowej. Najpierw byłem zsywakczem taśm. Uczyłem się w Technikum Włókienniczym dla pracujących. Technikum skończyłem w roku 1967 i zostałem mistrzem. Odbiłem też służbę wojskową. Po wojsku wróciłem do Fabryki. Byłem mistrzem, a później instruktorem szkolenia zawodowego. Teraz jestem kierownikiem zmiany w Zakładzie „Z”. Wszystko”.

— Tak się wspomnień nie pisze — powiedziała Adela. — Tak się pisze życiorys. Ale i to niekompletny, bo zapominałeś napisać, że jesteś członkiem partii i pełnił partyjną funkcję. Zaczni od początku.

— To znaczy od czego? — Od daty urodzenia.

Tym razem już nie wytrzymał.

Niech będzie, co ma być. Powie jej co myśli.

— Ja nie mam o czym wspominać. Nie miałem ciekawego życia. Taki Rybak na przykład to miał. W gazetach o nim pisał.

— I co o nim pisał?

— Jak się żegnał z Fabryką.

— No widzisz.

— Nic nie widzę. On był w wojsku. Ze złodziejami w Fabryce walczył, ratował ją przed pożarem. A ja co?

— A ty się uczyłeś.

— Też mi bohaterstwo. Każdy powinien się uczyć.

— Ale nie wszyscy uczą się. Twój brat na przykład...

Rzuciła zeszyt na koidrę i poszła do kuchni.

Miała trochę racji. Jak tak spojrzeć wstecz, to sporo już osiągnął. Ojciec mu tego nigdy nie powiedział, ale dumny jest, że ma w rodzinie inżyniera. Andrzej — młodszy brat — skończył tylko Technikum Mechaniczne pracuje w Kombinacie i nie chce się dalej uczyć. — Po co mi to — tak odpowiada na wszelkie próby nakłonienia go do studiów. Mariola skończyła Technikum Łączności i pracuje na poczcie. Ma dopiero 22 lata i wszystko przed nią.

Urodził się w 1947 roku w małej wsi pod Wola Krzysztoporską. Rodzice starym zwyczajem biednych chłopów pociągali do miasta. W Łodzi potrzeba było ludzi do pracy. Znaleźli ją w Zakładach Przemysłu Bawełnianego. Można więc powiedzieć, że pochodzi z rodziny włókienniczej. Kiedy poszedł do szkoły przyzakładowej, to mówiło się, że poszedł w ślady ojca.

Nie miał zamiaru być włókienniczym. Marzył mu się, że zostanie elektrykiem. Zdawał nawet do Technikum Energetycznego, ale nie dostał się. Wtedy zadziałał wpływ rodziców. Nie żeby nalegali na wybór zawodu. Ale tyle mówiło się w domu o Fabryce, że wydawała mu się bliska i postanowił spróbować szczęścia we włókiennictwie. Uczył się dobrze. Bez trudu wytypowano go do Technikum Włókienniczego dla Pracujących.

— Spisz? Kolacje przyniosłam.

— Nie. Zamyśliłem się.

— O czym?

— O życiu.

— No widzisz. Jest o czym.

— Nic nie widzę. Nawet przyzwoitej przygody w życiu nie miałem.

— A w wojsku kolegę wyratowałeś.

— Co to za przygoda?

W wojsku mieli basen. Wszyscy chodzili się kąpać, tylko jeden taki baczyl się. I końcu przyznał się, że nie umie pływać. Poszli nad jezioro i tam uczył go pływać. Już wydawało się, że chłopak pojął o co chodzi. Zostawił go trochę na głębszej wodzie. Odpłynął. A kiedy obejrzał się, zobaczył tylko rękę tonącego. Zawrócił i wyciągnął chłopaka na brzeg. Długo musiał się namęczyć, żeby topleć oczy otworzył. Ale pływać go nie nauczył.

— Wiesz, co dziś Marcin powiedział?

— Nie. Skąd mam wiedzieć?

— Powiedział, że chciałby zostać rencistą.

— Co mu przyszło do głowy?

— Bo by tobie, tak jak babcia Jemu, bajki opowiadał. Nawet teraz wybierał się ze mną do domu.

— Skończyłoby się na tym, że ja musiałbym mu bajki czytać.

— Jak byłem z nim niedawno w przechodni, to później powiedział, że chciałby tam ze mną pracować.

— Dlaczego?

— Bardzo mu się tam podoba, bo wszyscy ciągle sobie tylko herbatkę robią i pija.

— Ma chłopak cięgoty do lekkiego życia.

— Ty zawsze szukałeś trudności w życiu.

— Znowu zaczynasz!

Nie. Przypomnij sobie jednak. Jak byłeś na studiach. Ile nocy nie przespałeś. Nigdy nie mieliśmy czasu, aby pójść do teatru, czy do kina. Ciągłe tylko praca i nauka. Czasem taka mnie złość brała. Złote góry mi obiecywałeś. To dobrze jeszcze, że rodzice mieli telewizor, bo przynajmniej coś mogłam sobie obejrzeć, jak u nich mieszkaliśmy.

— Teraz mamy własny.

— I co z tego? Znowu nie mamy kiedy wyjść z domu, bo z Retkini daleko, a i dzieci nie ma z kim zostawić.

— Dzieci podrosną. Będzie nam łatwiej.

— Nie narzekam. Ale denerwuje mnie, kiedy mówisz, że nie w życiu nie zrobiłeś, nie masz czym się pochwalić. Mógłbyś jednak te wspomnienia napisać. Kiedyś takie ładne listy do mnie pisywałeś.

— Znowu zaczynasz?

— Włączyć telewizor?

— A co będzie?

— Ty byś pewnie chciał, żeby jakiś mecz dawali.

— Dlaczego nie? Lubię popatrzeć. — Sam też sport uprawiałeś. A mówisz, że nie masz o czym wspominać.

To prawda. Próbowałem kiedyś w EKS grać w piłkę nożną. W wojsku trochę podnosił ciężary. Nigdy nie myślał o sporcie wyczynowym. Ot, tak jak wszyscy młodzi otarli się o sport, ale żeby coś z tego wynikało? Później nauka i praca tak mu czas zajęły, że przestał nawet myśleć o sporcie. Teraz czasem tylko z dziećmi na spacer idzie, żeby trochę czystym powietrzem odetchnąć.

Adela nie ustępowała.

— A Fabryka — powiedziała następnego dnia. — O Fabryce nie masz nic do powiedzenia. Siedemnaście lat w niej już pracujesz. Większą część swego życia tam zostawiłeś.

— Fabryka, to już stary trup.

Trzeba byłoby nową wybudować.

— Ten stary trup daje jeszcze chleba tobie i innym ludziom.

Najgorsze było to, że ona ciągle miała rację.

Fabryka była stara i miała swoją historię. Powstała przed 150 latami. Pałła się, niszczyła ją wojny. Ogłoszone nawet jej upadłość. Później powstało Towarzystwo Akcyjne. Robotnicy Fabryki brali udział w strajkach włókienniczych, walczyli razem z innymi o robotnicze prawa. On wszakże do tej historii dopisał się dopiero przed 17 latami. Kiedy przyszedł wiele tu było starych maszyn. Niektóre z nich pamiętały początek XX wieku, a może i jeszcze XIX wiek. Wiele się jednak od tego czasu zmieniło. Fabryka modernizuje się.

Mówiło się swego czasu, że na Smulsku powstanie wielki kombinat przemysłu lekkiego i wtedy załoga Fabryki przeszłaby tam pracować. Jakoś te plany odsuwa się w coraz dalszą przyszłość. Ludzie z Fabryki przyzwyczaili się do swojej starej „budy”, choć niektórzy mówią o niej, że to muzeum.

Nigdy nie myślał o odejściu z Fabryki. Przyzwyczaił się, awansował. Myślał raczej, żeby się dalej uczyć.

— Wiesz — powiedział do Adeli — coś ci powiem, ale nie będziesz zadowolona.

— Dlaczego? Czy to coś złego.

— Nie, ale nie po twojej myśli.

— Powiedz. Trudno, niech się już dowiem.

— Tak sobie pomyślałem, że za rok znowu się wezmę do nauki.

— Znowu na politechnikę?

— Nie. Tym razem na uniwersytet.

— Zwalowałeś!

— Dlaczego zaraz miałem zwalować. Jest na Wydziale Ekonomicznym studium podyplomowe. Mam zamiar studiować ekonomię. Bardzo by mi się to orzydało.

— Masz zamiar zrobić karierę?

— Kariera to tak brzydko brzmi. Mogę przecież awansować. Mógłbym zostać kierownikiem przedziału. Znamość ekonomii bardzo by mi się przydała.

— Akurat ciebie awansują. Tylko na to czekają.

— Nawet jak nie, to przecież ekonomia i tak mi się przyda.

— Znowu przez trzy lata nie będziesz miał na nic czasu. A dzieci rosną.

— Damy sobie radę. Nie denerwuj się. Jeszcze przecież decyzji nie podjąłem. Ot, tak ci mówię, bo po prostu o tym myślę.

— Jak już o tym myślisz, to zrobisz. Znam chyba ciebie. Ale nie będę się sprzeciwiała.

Kiedy był jeszcze małym chłopcem widział, jak rodzice często męczyli się pracując na trzy zmiany. Bywało tak, że ojciec pracował na rannej, a matka na popołudniowej. Niby w domu zawsze ktoś był, aby przypilnować dzieci. Ale dla rodziców było to bardzo męczące. Całymi tygodniami nie widzieli się, tyle co w niedzielę. Pisyli do siebie kartki, kładli je na kredensie. Informowali się w ten sposób o tym, co w domu wydarzyło się, co trzeba zrobić, kupić, załatwić. Wtedy powiedział sobie, że nie będzie pracował na trzy zmiany. Stało się inaczej. Wybrał taki zawód. Półki przemysł lekki nie zmodernizuje się na tyle, aby jego wydajność mogła zniwelować pracę na zmiany, będzie musiał wstawać wcześniej rano, pracować po południu i w nocy. A jak będzie więcej umiał, może w fabryce być bardziej przydatny. Ma nawet pewien pomysł. Wynalazek to duże słowo. Jakiego usprawnienie. Ale na to jeszcze jest czas. Wszystko trzeba dokładnie przemyśleć.

Adela zabrała dzieci od babci. Marcin i Rafał bardzo ucieszyli się z powrotu do domu. Marcin zaraz zażądał bajek, ale Adela stanowczo się sprzeciwiała.

— Nie przeszkadzajcie tatusiowi — powiedziała. — On będzie teraz pisał.

— Bajkę? — zapytał Marcin.

— Taką bajkę dla dużych ludzi.

— A mnie przeczyta?

— Jak będziesz grzeczny.

— Będę — obiecał i dotrzymał słowa przez godzinę.

I inżynier Bogdan S. nie miał innego wyjścia. Wziął do reki długopis i zaczął pisać w zeszytce: „Urodziłem się w małej wsi pod Wola Krzysztoporską...”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZBIGNIEW S. NOWAK

SAMOCHÓD DOCENTA

Był późny wieczór, na dodatek sobota — to tłumaczyło brak jakiegokolwiek ożywienia w zwykłym gwarminym o innych porach Institute. Studenti mieli zajęcia w innych terminach, a i „kadra” spędzała sobotnie wieczory raczej gdzie indziej. W sobotnie wieczory zawsze było tu pusto i ciemno.

Pomimo niezwykłej pory pracował tu jeszcze docent Pluskwa, jak go nazywali studenci ze względu na przysadzistą, korpulentną i oświata barwę polyskiwej lityny. Pluskwa właśnie „dobijał niedobitków”, czyli egzaminował poprawkowiczów — a właściwie tylko jednego, już ostatniego. Jak na egzamin, pora była rzeczywiście niezwykła, ale Pluskwa w taki właśnie sposób zwykł często „uprzyjemniać” życie poprawkowiczom.

Przed drzwiami „gabinetu tortur”, skulona w kaciuku na t. ardyn krzesło, siedziała I. ona. Czekala na Marka, który był właśnie owym ostatnim „na mekach”. Czekala, pełna niepokoju o wynik egzaminu. Marek powtarzał rok, właśnie przez Pluskwę. Owa powtórka zaś także nie układała się najlepiej. Marek „położył” pierwszy poprawkowy egzamin. Teraz zaliczał drugi. Gdyby i tym razem nie zdał, pozostałoby mu tylko jeszcze jedno podejście, najprawdopodobniej „komis”, czego Pluskwa z pewnością by zażądał, aby osobiście „umyć ręce” od sprawy. A „komisu” Marek by nie zdał, o tym Iwona dobrze wiedziała.

Skrępnymi drzwiami wyszedł Marek. Ciekło oparł się o ścianę.

— Papierosa!

Iwona wyciągnęła ku niemu paczkę „marlboro”. Drżącymi rękami podała ogień. Nie pytała o nic, wiedziała, że nie udało się jeszcze raz.

NARADA

Siedzieli przy stole we trójce: Iwona, Marek i jego stryj Izidor, u którego Marek mieszkał w czasie

studiów. Stryj, po wysłuchaniu opowieści młodego o kolejnym niepowodzeniu i ewentualnych tego następstwach, popadł w zamyślenie. Ze też taki drań czepił się jak wesz! Nie mógłby wreszcie postawić chłopakowi tej trójczyny? Dla niego to drobniaczek, a chłopak może mieć życie zlamane przez takie głupstwo.

— Jak się nazywa ten wasz cały Pluskwa? — ocknął się nagle.

— Mówiłem już przecież, że to ten sam, co w zeszłym roku — rozdrażniony Marek wymienił nazwisko docenta.

— Skąd ja znam to nazwisko? — dumal pan Izidor. — Zaraz, zaraz, czy ja mu niedawno nie sztykowałem wozu na wyjazd? Czy ten goś nie może takiego pomarańczowego „malucha”?

Marek poruszył się.

— Ma! Do lityny sobie dobrał, taki bardziej losoś niż pomarańcz. Rzadki kolor...

— O, to, to! Rzadki kolor. Ja mu robiłem ten wóz na wyjazd. Spieszyło się gościowi. Kiedy on właściwie wyjeżdża?

Marek przypomniał sobie, że właśnie Pluskwa ma niebawem wyjechać, najpierw do Niemiec, potem do Francji i jeszcze gdzieś. Dlatego też terminy ostatnich poprawek wyznaczył za parę dni, pomimo protestów „niedobitków”.

— Wyjeżdża za kilkanaście dni. A na co to stryjowi?

— Mało czasu zostało.

— Pewnie, że mało! Sam nie wiem, jak „podkuje” się do tego pode.

Pan Izidor podniósł się zza stołu, oparł dłoń na ramieniu chłopaka.

— Ja tak myślę, że jak on wyjeżdża na dłużej, to wreszcie trójce ci postawi.

— To się tylko tak mówi. W zeszłym roku było tak samo i wsadził mi „bombę”.

— Ja tam jestem dobrej myśli. Weźmiesz się za książki i zdasz. Mi martw się!

Pan Izidor zakręcił się na pięcie i wyszedł.

SIĘ ROBI, SZEPIE...

Pan Izidor podniósł kieliszek.

— No, Boguś, wypijmy za pomyślności! Boguś wzruszył potężnymi barkami.

— Wypić można, czemu nie? Ale ja muszę jeszcze się zastanowić. To nie jest taka prosta robota. Przewózka, znaczy się, to inasza rzecz, ale to...

— Ja ci mówię, Boguś, że załatwisz to spokojnie. Raz, dwa gazy do dechy i po krzyku.

— Pomyślisz trza...

Pan Izidor ochłodził nagle.

— Ja ci, B—uś, niczego nie wymawiam, ale żeby nie ja, to dotąd byś był popychłem, jak kiedyś. A tak to masz wózek i jesteś pan na swoim. Taksówka to jest taksówka, bagażowa też. Dobry interes. A wóz masz ode mnie prawie darmo. Ty, co mi czasem coś przewieziesz. Prawo jazdy też ja ci załatwiam, nie? To mi się chyba za to jakaś przysługa należy...

— Ja nie mówię, że się cofam. Tylko trza pomyśleć jak to zrobić. Lepiej przedtem pomyśleć niż potem.

— No to, jak?

— Się robi, szefie?

— W porządku, Boguś! Masz „kopernika”, a potem dostaniesz resztę.

KRALSA

Noc była chłodna, mokra. Porywisty wiatr buszował hulaśliwie po małym osiedlu. Siek! deszczem, szarpał na mierzwe galezie drzew, łomotał po oknach; czasem strzelił gromko niedomkniętymi drzwiami klatki schodowej. Któś z kolei głośno trzasnęło zbudziło docenta Pluskwę. Usiadł w rozgrzebanej pościeli, nadsłuchiwał chwilę.

— Cholera by wzięła te pluche! Podniósł się z betonu, porzucił okna. Przez zamazane deszczem szyby spojrzął w dół. Przed blokiem, na skraju

wąziutkiej uliczki stał jego „maluch”, ledwie widoczny poprzez szarugę, bo światło dalekiej ulicznej latarni prawie tu nie sięgało.

— Trzeba będzie stawiać wóz gdzie indziej — pomyślał docent i posłał „malucha” ciepłe spojrzenie. Powrócił do łóżka i po chwili zasnął.

Wiatr hulał dalej. Poprzez świzające łopotanie wichury dał się słyszeć daleki buczeć syreny, potem coraz donośniejsze stukotanie. Nadjeżdżał pociąg; co noc o tej porze pospieszny przelatywał z hukem przez pobliski wiadukt. Ów hałas, jakby si — mogło wydawać — dokuczał, wcale jakoś nie przeszkadzał mieszkańcom osiedla. Przyzwyczaili się do niego, żyli jak ze wszystkimi znajomymi głosami swego wielkomiejskiego środowiska.

Hałas ten zagłuszył prawie zupełnie cichy warok samochodowy „no silnika. W uliczkę przed blokami po woli wjechał „star”. Poruszał się trochę dziwnie, tyłem. Jego kierowca jakby nie widział zaparkowanego u krawężnika pomarańczowego „malucha”, jechał prosto na niego. Huk przelatującego akurat przez wiadukt pociągu zmieszał się z trzaskiem gnionej karoserii, jazgotem dartej blachy, drobnymi brzękami hartowanego szkła. W jednej chwili cały tył „malucha” zmienił się w złom. „Star” przyhamował gwałtownie, potem ostro ruszył do przodu i odjechał w ciemność.

ZALATWIĆ SPRAWĘ...

Pan Izidor szybko zamknął szeroką bramę, zaciągnął rygle. Ubłocony „Star” przejechał podwórko, stanął w kacie pod szopa. Z szoferki wyskoczył barczysty mężczyzna w watowanej kurtce. Izidor podbiegł do niego.

— No i jak?

— W porządku, szefie!

— Może za mocno? — zatrokał się pan Izidor.

— Gdzie tam, uwagałem przecież.

— No, to teraz do roboty? Oplucz to bloko i na kanał.

Pan Izidor pobiegł do domu. Pomimo mocno późnej pory przypisał się do telefonu, zadzwonił do znajomego pana Olka, właściciela samochodowego warsztatu. Kiedy tamten wreszcie podniósł słuchawkę, pan Izidor odetchnął jakby z ulgą. Zażądał coś tłumaczyć długo, dokładnie.

— I załatw to, stary, jak najszybciej.

ciej, bo rano gość zacznie latać. Ja nie mogę tego sam, bo wiesz. No więc działaj. Załatw sprawę, za to gwarantuję ci te części. Tak, masz u mnie pewne jak w banku. No, to działaj, bo ten facet musi na pewno trafić do mnie, rozumiesz.

TRANSAKCJA

— Panie inżynierze — docent Pluskwa prawie płakał — byłem już wszędzie i na nic. Za długie terminy, co najmniej dwa tygodnie, albo dłużej, jak znam życie. A mnie do wyjazdu zostało jeszcze tylko parę dni. Ratuj mnie pan jakoś! Muszę jechać samochodem...

— Hm — pan Izidor z powagą i jakby satysfakcją obejrzał nieszczęśliwego „malucha”. — Ładnie to nie wygląda. Silnik też stuknięty. To będzie kupa roboty!

— Ja wiem, panie inżynierze, ale pan da radę. Tak mi powiedzieli, że tylko u pana...

— Jasne! Takie cuda to tylko ja mogę. — No więc jak, panie inżynierze, zrobi pan? Dobrze zapłacę. Oczywiście z dodatkami za ekspres...

— Hm, pan myśli, że za forse wszystko można? To się pan myśli! Wiesz pan, ile tu trzeba będzie zdrowia naszarpać? A zdrowia za forse pan nie kupi.

Pluskwa poczuł, że robi mu się niedobrze. Szlag trafił wyjazd. Pracę za granicą, koneksje, układy. Jeżeli nie wykorzystza tej okazji, to nie wiadomo, kiedy nadarzy się druga taka. Skulił się, podszedł blisko do mecha.ika.

— Panie inżynierze, jak nie pieniądze, to może by co innego? — zaszeptal. — Może mógłbym coś dla pana załatwić?

— A co pan możesz mnie załatwić?

— No, ma się te trochę znajomych tu i tam...

— Pomyśl — pan Izidor zastanawiał się przez chwilę, potem spojrzał uważnie na docenta. — Może i miałbym coś do pana, akurat u pana na uczelni. Ale to delikatna rzecz, nie wiem, czy pan będzie mógł...

— Docent Pluskwa uśmiechnął się szeroko.

— Akurat dobrze pan trafił, panie inżynierze! Ja tam jestem przecież dziekanem. Dużo mogę! A o co chodzi?

— Zaraz, coś pan taki przedzi? To nie jest sprawa na lapu-canu — chrząknął pan Izidor. Jeszcze takby się namyślał, wreszcie podniósł głowę, uśmiechnął się, wziął docenta pod ramię.

— Chodź pan do mnie do domu! Usiadzemy przy jakimś koniacku, pogadamy...

TRANSATLANTYK

Dalszy ciąg ze str. 1

w Kanadzie jak po grudzie. W takim wielkim i obcym kraju człowiek czuje się całkiem zagubiony. W końcu dostałem robotę w wielkiej firmie Szweda Andersona w Manitobie. Tyrałem jak wół, do siódmego potu. Po nocach śniły mi się amerykańskie dolary, miliony mi chodziły po głowie. Co za głupota. Nie z tych marzeń się wyszło, zawsze jednak od brzegu oddzielił mnie ocean. W końcu jednak udało mi się dostać do tego świata. Pamiętam, że na „Rewie” wyłapano kilkunastu blajndów.

Spojrzałem z pytaniem w oczach. — Blajnd to ślepy pasażer — wyjaśnił Kowalewski. — Ludzie nie mieli w kraju wyjścia, szwarcowali się na statek bez biletu, żeby tylko gdzieś przysnąć w szeroki świat. Mówiło się wtedy: Gdynia, okno na świat, ale mało kto dostał się do tego okna. Nosiłem się z myślą, żeby wstąpić do marynarki. Wymyśliłem sobie, że dużo było chętnych do tego miodu, a za mało wolnych miejsc. Marynarze chodzili na „Rewie” w buksach, ceratowych spodniach, które nakładali jak tylko pokazywały się deszczowe chmury. Podeszły do mnie w kabinie, gdzie stał radar, takie kapelusze, też z ceraty. Wszyscy spali razem w kabinach, ciężkie mieli życie, to nie to co dzisiaj. Co do Ameryki, to powiem panu jedno, w Ameryce wierzycie w socjalizm, a nas w Ameryce wierzycie w dolar. Los do tego się uśmiecha, kto siedzi na pieniądzu. Jak się ma dużo dolarów, to jest się tam wyzyskiwaczem, a gdy się ich nie ma, to jest się wyzyskiwanym. Jak tu się dziwić, że każdy się stara na wszystkie sposoby, żeby na to dno nie spaść.

2.

Dostałem się na mostek kapitała, którego rozróżnia się niezapomniany widok na bezkres morza. To jest ten punkt na „Stefanie Batorem” skąd widzi się lepiej i widzi się dalej. Na miejscu znalazło się kilku marynarzy w oficerskim stopniu. Przy kole pełnił służbę szeroko rozkraczony sternik w czapce z fantazją przekreconej na boki. Dzień był mroczny, mglisty i deszczowy. Zimny wiat zaczął w twarz Niebom sunąć zwały ciemnych chmur. Po morzu przelewały się z głośnym loskotem fale o zielonkawo marmurowym kolorze. Doświadczony marynarz powiedział, że gdy wokoło księżyc tworzą się białe kołeczka, nagle już będzie przyróżek. Gdy przed południem wiatr zawałił się z północą, a po południu dmuchał w odwrotnym kierunku, zaczęły się pogody. Gdy obłoki przybierały kształt postrzępionych gór, nadejście ulewa. Wszyscy marynarze mocno są na aurę uczuleni. Na morzu nieustannie przecież czai się niebezpieczeństwo. To żywioł ślepy i nieobliczalny.

„Stefan Batory” podał na dużej szybkości wodami Bałtyku. W po-

równaniu do głębin oceanów Bałtyk jest płytki. Jego największa głębokość u brama Sztokholmu z trudem przekracza 400 metrów. Średnio nie schodzi niżej stu metrów. To morze chłodne, nie tyle słońce co słońce. Jest siedliskiem dorszy, flader, szrot, makreli, trafiają się w nim lososie i węgorze. Bywa, że nieoczekiwanie do brzegów Bałtyku przybliżą się morewin, bliski krewniak jakiegoś inteligentnego delfina, lub jakaś foką pobiądz w okolicy Przylądka Rozewie.

Kapitan Żegludki Wielkiej — Zbigniew Wacowski podszedł do relingu i wsparł się rękami o żelazną poręcz. Poniżej, za murami, które szybały wielką chmurą w kierunku Bornholmu, aż zniknęły w puszystych obłokach gęstawa mgły. I nagle morze stało się dziwnie puste i smutne. Zima nadlatująca tu czasem z północy kaczki, trawce, perkozy, alki i nurzyki. Zatrzymała się na południowych brzegach Bałtyku. To wszystko. Poza tym niczego na niebie się nie dostrzeżę.

Kapitan kieruje statkiem z kabiny nawigacyjnej. Starczy wejrzeć na kolorowe światła i wiadomo gdzie statek się znajduje i dokąd pędzi. Jeszcze jest radar. Kągle rozświetlone lustro radaru pokazuje jak na dłoni, gdzie rysują się brzegi lądu, gdzie zaś wolne morskie przestrzenie. Najmniejsza łódka rybacka bije z radaru w oczy ostrzegawczą białą smugą. To nie, że mgła gęstnieje i wachtowni oficerowie z trudem wielkim samych siebie odróżniają na mostku kapitańskim. Radar zajeżdża wszystko. Pobiądz dziś na morzu trudno. Po prostu niemożliwe.

Kapitan Wacowski zaprosił mnie do swego pokoju. Na dobrą sprawę to apartament, który ma w sobie coś sympatycznie staroświeckiego. Urządzony jest wygodnie, powiedziałbym komfortowo i z dużym też smakiem. Solidne duże biurko, stół, miękkie fotel, szafka i lustra. W ogóle ma się wrażenie, że to salon w luksusowym hotelu. Popijamy kawę. Kapitan jest człowiekiem w kwiecie wieku, o nieco siwawych skroniach i zdecydowanych ruchach. Z jego oczu promieniuje spokój i pewność siebie.

— „Stefanem Batorem” — mówi kapitan Zbigniew Wacowski — kieruje od 1975 roku. Przedtem pełniłem obowiązki jednego z oficerów na „Batorem”. Co powinno cechować kapitana? Moim zdaniem wiedza i doświadczenie. Także rzeczowość. Wyobraźnia jest też potrzebna i zdolność przewidywania. Na morzu każdej chwili może się zdarzyć coś najmniej oczekiwanego.

— Ile osób liczy załoga?

— Łącznie z personelem hotelowym 323 osoby. Samych marynarzy jest 230.

— Czy tego rodzaju statek pasażerski jest całkowicie bezpieczny?

— To statek całkowicie bezpieczny. Ale wypadki zdarzają się wszędzie. Powiada się — morze przepłynał, na brzegu utonął. Swego czasu wpłynęliśmy z Port-Saidu na Morze Śród-

ziemne. Wyglądało nie najgorzej. Słońce, ciepły powiew wiatru. Raptem zupełnie niespodziewanie morze pokazało pazury. W kleszcze chwyciły nas ogromne fale. Statek wpadł w reżonans, to jest właśnie najgroźniejsze. Zanurzył się nagle dziobem głęboko w wodę. I wtedy chlusnęła na pokład potężna fala. W oka mgnieniu zmiołło trzech ludzi za burtę. Nawet nie zdążyli krzyknąć. Po cichu marzymy już o następcy „Stefana Batorego”. Najlepiej gdyby to był wielki, luksusowy atlantycki prom do przewozu zarówno pasażerów, jak około dwustu samochodów. Bardzo by się nam przydał taki prom.

3.

Pełną napięcia ciszę przerywa głos Eryka Kulma.

— Uwaga zaczynamy!

W wielkim salonie „Stefana Batorego” zgromadziło się chyba ze dwustu pasażerów. Prawie wszyscy trzymają w ręku małe tabliczki oznaczone liczbami i literami alfabetu. Gra się tu w „bingo”. To rodzaj błyskawicznej loteryjki nieprawdopodobnie popularnej w krajach anglosaskich.

Londyńskie gospodynie już wczesnym rankiem, gdy udają się do zakupy, wstępują po drodze do „bingo-klubów”. W królestwie małego hazardu przesiadują godzinami z gorątką w oczach i z wypiekami na twarzy. Amerykanie na „bingo” mówią „God damn it”, niech to szlag trafi. Z ust każdego kto przegrywa, taki okrzyk wyrzyna się przecież namiętnie.

Z Erykiem Kulmem, jednym z oficerów na „Stefanie Batorem”, spotkałem się później w małym saloniku.

— Przed laty — mówi — zaproszono mnie do studia telewizyjnego w Halifax. To ważny port oceaniczny, tęczy kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Zadawano mi w studiu podchwytliwe pytania o kanadyjskiej historii, zahaczano o Cartiera i Champlaina. W pewnej chwili dziennikarz, który mnie indagował, wykrzyknął — słuchaj no, Eryk, co się dzieje, przecież ty lepiej znasz historię Kanady ode mnie.

W 1535 roku Jacques Cartier, bretański żeglarz, wziął kurs na zachód, aby z rozkazu króla francuskiego Franciszka I odszukać północną przeście do legendarnych Indii. W sierpniu tegoż roku Cartier wpłynął na Nową Fundlandię do nieznanego i przegromy zatoki. Cartier rzucił okiem na kalendarz i wpisał na odczucie robione mapie „Święty Wawrzyniec”. Tak nazwał zatokę i ta nazwa się przyjęła. Widok jaki wokoło się rozciągał, przejmował serca żeglarzy z tamtych czasów. Na obu brzegach zatoki stała bezludna, zbita ścianą ciemnego i mroźnego bory. Cartier wpisał do okrutnego dziennika:

„To jest ziemia, która Bóg oddał we władanie Kanowi. Nie godzi się wzywając flagi Jego Królewskiej Wysokości nad tym przekleśnym krajem”.

Indianie nazywali tę zatokę „Środkiem nieczemu”. Rzekę Świętego Wawrzyńca zwał „Rzeką bez początku”. Bo też wile się ona na długości 3 tysięcy kilometrów. Wcale jednak nie wpływa z jakiegokolwiek źródła, tylko bie-

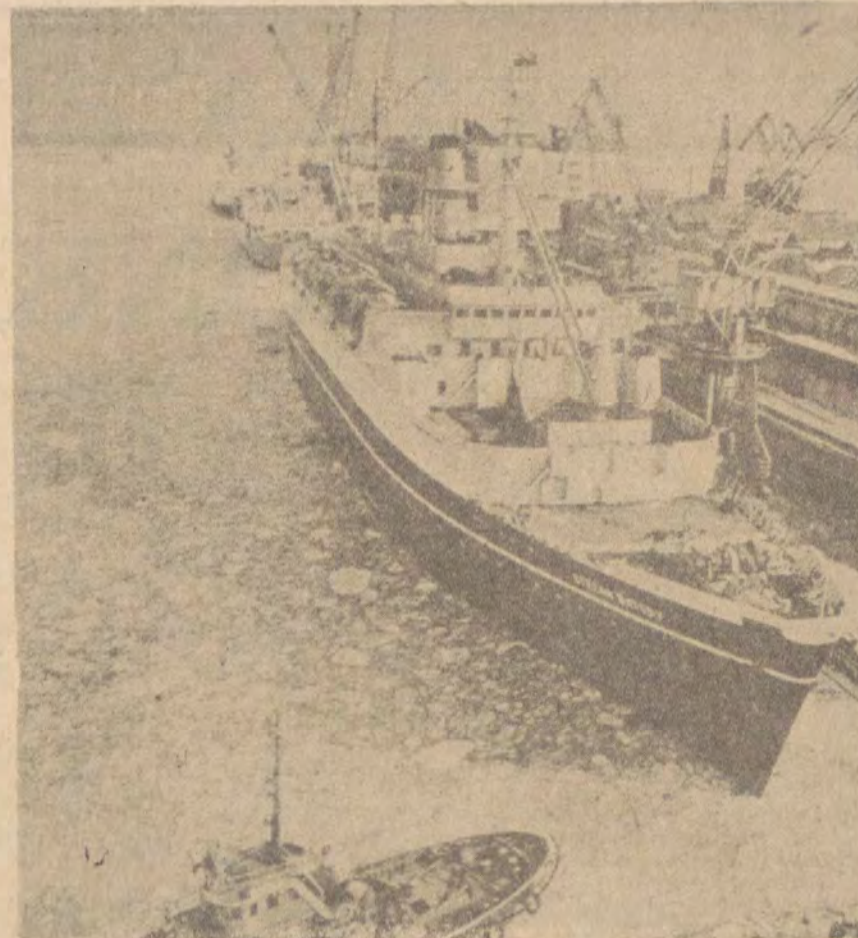


Foto: Archiwum

rze swój początek z głębin wielkich jezior, rozlanych pośrodku amerykańskiego kontynentu. Tymi jeziorami, biegnie dziś granica między Kanadą i Stanami Zjednoczonymi. Cartier wpłynął w głąb lądu tą węższą i wielką rzeką na odległość tysiąca siedmiuset kilometrów od atlantyckich brzegów zatoki. Wreszcie dotarł do miejsca, w którym rozłożył się dziś 2,5-milionowy Montreal.

— Zatoka Świętego Wawrzyńca — ciągnął Eryk — swą dzikością i pierwotnością natury wciąż jeszcze rości na wszystkich niezapomniane wrażenie, uderza jak obuchem. Nic się nie widzi całymi dniami tylko lasy na brzegach, lasy i lasy, i szare pustkowie. I tak przez setki kilometrów.

— A kanadyjczy Polacy? — spytałem.

— Polacy mieszkają w Quebecu, w Montrealu, są rozrzucony po całej Kanadzie. Polacy są dziś wszędzie. Jeszcze nie zetknąłem się z takim miejscem na tym globie, gdzie by nie było choć jednego Polaka.

Kanada... Kraj przegromy, drugo co do wielkości po Związku Radzieckim. Kraj nieprzebranych puszczy, ośnieżonych górskich łańcuchów, rwących rzek, potężnych wodospadów. Polacy osiedlali się na wielkich preriach. Pozakładali farmy. I od razu poczuł się swojsko. Z pół załatały tymiankiem, przy drogach stały topole, nad lasami unosił się silny zapach żywicy. Zapełniał jak w rodzinnym kraju. Gdy zapadała noc, nad prącią pobyskała miliardy gwiazd. Pod Gwiazdą Polarną niebo żółcił się i zie-

leni wielkimi smugami. Wyglądało to jakby kto rozwiesił nad firmamentem gigantyczną i barwną zasłonę.

Pierwsi Polacy żyli w bezkresnych preriach Kanady w warunkach straszliwych. Mroź, śnieg, bezdroża, wroga natura, obcość języka, środowiska i obcość kultury. Kanada faworyzowała Anglików, Francuzów i Skandy-nawów. Zawsze istniały tu nierówności społeczne. I nadal istnieją. Syn bankiera czy też przemysłowca, siła faktu dziedziczy po ojcu konto i dobre stosunki towarzyskie. Wchodzi niejako automatycznie do finansowej i politycznej elity kraju. Syn robotnika, wyjątkowo jedynie, kosztem nie ludzkich wysiłków i tylko przy niepospolitych zdolnościach, może się wybrać do wyższych szczebli społecznej hierarchii. To się zdarza. Ale niezmiennie rzadko.

Polacy zaczęli na samym dnie. Co dziś mają ulepił własnym potem. Są w natarciu. Nie ma dziś w Kanadzie uniwersytetu, na którym by nie wykładał choć jeden profesor polskiego pochodzenia.

„Stefan Batory” w swych rejsach z Gdyni do Montrealu działa niezym ruchomy pomost przerzucony nad Atlantykiem. Łączy Polskę z kanadyjską i amerykańską Polonią. Dlatego o następcy tego transatlantyku, który już kończy swoją misję, ponysić warto naprawdę. Czas po temu wielki, bo jak slychać — „Stefan Batory” już niedługo przejdzie na zasłużoną emeryturę.

JAN BABIŃSKI

ZDZISŁAW STRZĘPEK

Kariera dżinsów

W połowie ubiegłego wieku ruszył za ocean syn ubożego krawca z małego niemieckiego miasteczka. Był to Zyd Levi Strauss. W Nowym Świecie poszukiwał sposobu zarobienia na życie. Wydało mu się, że biznesem będzie dostarczanie poszukiwaczom złota na Dzikim Zachodzie grubego płótna na namioty. Z wyładowanym towarem wozem ruszył śladami osad kusielieli fortuny.

Okazało się, że z dachem nad głową nie było sobie oni radzą, budują rozmaite szałas, natomiast duże kłopoty mają z... portkami. Te, które sami sobie szyl, szybko się w ich robocie rozlatywały. Poza tym potrzebne były spodnie z odpowiednią ilością kieszeni na różne przybory i narzędzia. Z posiadanej tkaniny Levi zaczął szyc takie spodnie.

LEVISY I RIFLE

I tak zrodziły się pierwsze dżinsy, taki początek miała firma słynnych dziś w świecie „Levisów”. Strauss zrobił miliony. Podobnie jak i jego naśladowcy, wytwórcy rifli i wranglerów.

Moda poszła w świat, a prawdziwa furorę robił właśnie obecnie. Ponoć co drugi Francuz nosi niebieskie spodnie z grubej, ścieralnej tkaniny, ozdobione okuciami, naszywkami, błyskawicznymi zamkami. Do tego szeroki pas z dużą dekoracyjną klamrą, np. z głową bawołu. To prawdziwy szat mody. Dżinsy uznane zostały niemal za strój na każdą okazję, podobny nawet wybredną, jeśli idzie o ubiór, pieć piękna.

Naukowcy badają całe to zjawisko z pogranicza mody, psychologii i stosunków społecznych i wysuwają róż-

ne wnioski — „fetysz wolność”, „bię-kitny cud”, „erotyczny fenomen”. Dżinsy oryginalne podrobione są przez innych wytwórców, stanowią przedmiot kontrabandy. Niedawno na belgijskiej granicy celnicy zatrzymali partię 150 tys. fałszywych wranglerów. Na Zachodzie dużym powodzeniem cieszył się telewizyjny serial „Rifleman”.

A w ogóle to warto przypomnieć, że spodnie, jako część męskiego ubioru, zjawily się bardzo późno. Chłopi nosili sukmany, szlachta podobne „sukniowate” stroje o różnych wy-szukanych nazwach, ale bez spodni.

W pałacach zjawily się w pewnym okresie obcisłe spodnie do kolan, pludry, zastąpiły je culoty, a następnie rajtuzy, używane najpierw do konnej jazdy. Spodnie długie pojawiły się dopiero na początku XIX wieku, jako ubiór sportowy. Na niebieskie dżinsy nie trzeba już było długo czekać.

„NAGRODZONY GENIUSZ...”

Do połowy ubiegłego wieku wszelkie przyodzieki szły ręcznie, do dyspozycji była tylko igła z nitką. Następnie zaczęto konstruować rozmaite mechanizmy. Jednym z pierwszych była maszyna Isaca Howa z 1846 r. z maszynowym kołem zamachowym i igłą ustawioną poziomo. W rok później igła znalazła się już w usytuowaniu pionowym. Konstrukcja maszyn do szycia była spontanicznie doskonała. Do końca XIX wieku urząd patentowy USA zarejestrował ok. 8.000 pomysłów i udoskonaleń, w tym szereg urządzeń dodatkowych,

jak do stębnowania, obrabiania dziurek, haftowania.

Stale doskonalona maszyna ruszyła na podbój świata, w czym wielką rolę odegrała najstarsza firma amerykańska I. M. Singer Company. W 1871 r. wyprodukowano już 700 tys. maszyn do szycia, przy czym 75 proc. z nich pochodziło z wymienionej wyżej firmy. W wydanej przez nią broszurze pt. „Nagroczony geniusz, czyli historia maszyn do szycia” producenci chętnie się:

„Maszyny Singera płyną przez wszystkie morza, docierają wszędzie tam, gdzie stanęła stopa cywilizowanego człowieka, nadsiedziąc z pomocą kobietom całego świata. Wesoly głos tego niestrudzonego sprzymierzeńca rozumie zarówno krepka niemiecka gospodyni, jak i wiotka japońska dziewczyna. Przemawia on równie wyraźnie do łhlanowłosej wieśniaczki rosyjskiej jak i ciemnowłosej meksykańskiej seniority. Maszyna do szycia nie potrzebuje tłumacza ani w śniegach Kanady, ani w pampasach Paragwaju. Hinduska matka i dziewczyna z Chicago szycją tym samym ścięgiem, a pracownice stopy irlandzkiej dziewczyny o mlecznej cerze, naciskają taki sam pedał, jak drobne stópkę niemieckiej, żółtoskórej Chinki...”

Reklama doskonała. Wprawdzie maszyna krawiecka spowodowała prawdziwą rewolucję w konfekcjonowaniu odzieży, stworzyła szansę masowej, taniej produkcji i... demokratyzację stroju. W 1890 roku już 90 proc. mężczyzn w USA nosiło ubrania „hand-me-down” — gotowe, z wieszaka. Tylko nieliczni, bogatsi, zamawiali ubrania na miarę u krawca. Pierwsze gotowe ubrania nie były zbyt eleganckie — proste, luźne spodnie, bluza. Nazywano je odzieżą marynarską. Nie stosowano jeszcze rozmiarów-wzrostów, trudno było ubranie dopasować, by leżało „jak u-lal”.

Nie dziwny się. Jeszcze w połowie ubiegłego wieku nie rozróżniano buta prawego i lewego. Oba by-

ły jednakowe, proste. W takich butach maszerowała i kłęła armia napoleońska. Później dopiero wprowadzono do masowej produkcji buty krzywe.

Podobnie jak w odzieży rewolucję w ich wytwarzaniu spowodowała maszyna. W 1862 roku Gordon McKay skonstruował urządzenie do przyszywania spodu do wierzchu obuwia.

Ale to na marginesie, my wracamy do dżinsów i maszyn krawieckich.

TEKSAŚ Z ŁODZI

Dżinsy poszły masowo w świat, oczywiście dopiero po zmechanizowaniu krawiectwa, a zwłaszcza po zastosowaniu dwunitekowego ścięgu stębnowanego. Pierwsze maszyny wykonywały tylko pojedynczy ścięg łańcuskowy. Kiedy pękła nitka cały szew się rozlatywał. Takie levisy mogły — łatwo ośmieszyc nawet chłopca od krów czyli kowboja. Długo więc jeszcze szło je ręcznie. Przeszło to w modę — dżinsy mają szeroki, rozstawny ścięg. I choć szycie są mocno jak dawniej mają metalowe nitki. Teraz tylko dla parady.

Obok kożuchów i złotych sygnetów oglądaliśmy ostatnio na sobotnim „pchlim targu” (Wodny Rynek w Łodzi) „oryginalne levisy” za jedyne 4000 zł. Importowane dżinsy można kupić w Juventusie za 1400 zł. No i w Pewexie, za walutę.

W tej sytuacji w przemyśle lekkim ktoś poruszał głowę. W roku zeszłym w oparciu o zakupioną technologię ruszyła produkcja teksasu w Częstochowie. Wszystko wyszło, poza barwą indygo, tkanina trochę szpetnie się ścierała. Trzeba było temu zaradzić. Już ponoć jest dobrze.

Ostatnio inicjatywa, a nawet własna technologia w tym zakresie pochwalił się „Harnam”. Jest gotów jeszcze w br. rzucić na rynek 5 mln ścieralnego teksasu i to w różnych kolorach, w tym specjalną tkaninę na... koszule. Odzieżowcy wzięli się już za szycie modelowych partii, które zaprezentowane zostaną na wiosennej giełdzie towarowej w Po-



Foto: Archiwum

znaniu. Reszta jest w ręku handlowców...

A SINGER Z RADOMIA

Będzie więc tkanina, do niej potrzebna maszyna. Produkcję wprawdzie nieźle maszyny krawieckie „Lucznik” — nożne, elektryczne, stołkowe i walizkowe, wykonujące kilkanaście rozmaitych ścięgow. W zeszłym roku fabryka w Radomiu dostarczyła ich niemało — 227 tys. sztuk, z czego 48 tys. pojechało do wielu krajów.

Tę wszystką, jak się okazuje, za mało. Przypomniała się więc nam stara marka — Singer. Zakupiliśmy licencję, w Radomiu na ukończeniu jest nowa fabryka maszyn. Ruszy w lipcu br., by jeszcze w tym roku dostarczyć 50 tys. tych maszyn. Warto dodać, że już od trzech lat w oparciu o importowane części montuje się u nas „S'ngery”. W przyszłości będziemy wytwarzać 600 tys. maszyn krawieckich rocznie! Zapewne i dżinsów wtedy nie zabraknie.

LOT NAD KUKULCZYM GNIAZDEM

Jan Łomnicki, jeszcze przed kilkoma laty znakomity reżyser-dokumentalista, bez mała klasyk polskiej szkoły filmu dokumentalnego lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, autor takich pamiętnych utworów jak „Dom starych kobiet”, „Narodziny miasta”, „Stal” czy „Sulta polska” wędrownym i pokusami zajął się na dobre filmem fabularnym i robi to ze zmiennym szczęściem. Jego twórczość w tym rodzaju oscyluje wokół spraw wojny i okupacji. Obecnie po „Kontrybucji” oraz „Nagrodach i odznaczeniach” dopisał nową wersję tego tematu: „Akcję pod Arsenalem”.

Obserwując rozwój fabularnej twórczości Łomnickiego można odnotować zastanawiający paradoks. Jego filmy, mimo iż dramaturgicznie i tematycznie zakorzenione w historycznym fakcie zdają się coraz bardziej odrywać od autentyczności i dokumentalnej wiarygodności w stronę błędnego pozoru rzeczywistości „odgrywanej”, która bynajmniej nie nasycy się bujnym żywiołem fikcji, lecz budzi nieufność, zniechęcenie i rozczarowanie, czyli, niestety, nudę. Jeszcze „Nagrody i odznaczenia” według powieści Wacława Bilickiego nosły ślad ostrego i przejmującego dramaturgizmu, który zdołał się przedostać na ekran z kart świetnego oryginału, natomiast „Akcja pod Arsenalem” mimo wspaniałego, porwijącego tematu co chwila osiada na mieliznie banału. Reżyser zaś, na odwrót, zdaje się tracić grunt pod nogami, jakim były dla niego zalety rasowego dokumentalisty: zmysł nieschematycznej obserwacji, umiejętność dramatycznej organizacji materiału, dar wnikań w istotę zdarzenia.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej „Akcji pod Arsenalem”. Film podejmuje temat, który należał do repertuaru problemowego „polskiej szkoły filmowej”. Zresztą firmuje go jako autor scenariusza Jerzy Stefan Stawiński, pisarz którego rolę w historii tej formacji artystycznej można chyba porównać z rolą Cesare Zavattiniego w historii włoskiego neorealizmu. Na podstawie scenariuszy i opowiadań Stawińskiego powstały klasyczne filmy „polskiej szkoły”: „Kanal”, „Eroica”, „Zamach”, „Zezwarte szczęście”, „Miłość dwudziestolatków”. Jak wynika z tego wyliczenia na podstawie tekstów tego scenarzysty powstawały filmy różne, pozostające do siebie w układzie polemicznym, różnie interpretujące historię i powinności ludzkiego losu. Literatura, którą pisał Stawiński była jak gdyby otwartą na każdy wariant interpretacyjny, dostarczała bowiem — i to było jej siłą podstawową — bogaty zestaw sytuacji dramatycznych. W nawiasie: dalszy los Stawińskiego jako filmowego autora jest również pouczający — zaprzagnął sam reżyserować filmy i robi kino przeciętne, nijakie, nie mające nic wspólnego ze znakomitą przeszłością scenarjopisarską.

„Akcja pod Arsenalem” jawi się zatem jako pogłos tamtej świetlanej epoki kina polskiego, pogłos słaby i stłumiony, mimo iż podjęty temat zapowiadał się bardzo obiecująco. Autorzy filmu oparli się na głośnej akcji Szarych Szeregów, pełnego poświęcenia i ofiar uwolnienia jednego z członków organizacji.

„AKCJA” BEZ AKCJI

Historia Szarych Szeregów jest historią, która nie znalazła jeszcze do tej pory swojego odzwierciedlenia w polskim filmie. Dzieje tej organizacji zapisały jedną z najtragiczniejszych kart II wojny światowej zakończoną krwawą hekatombą powstania warszawskiego. Jest to historia sprostania skautowskiemu ideałom, które zostały skonfrontowane z okrutną rzeczywistością. Trudno tu o słowa, które by w niewielkiej choćby części oddały bezprzykładny heroizm, poświęcenie i patos walki, w której wzięła udział warszawska młodzież, w wielu wypadkach warszawskie dzieci.

Nie sposób Janowi Łomnickiemu odmówić świadomości problemowej wagi tego tematu i jego tragicznego wymiaru. Świadczy o tym naiwne intencje reżysera, które niekiedy przeleżają spoza realizacji. Twórca filmu postawił przede wszystkim na możliwie jak najbardziej precyzyjną rekonstrukcję samego zdarzenia, jego „scenariusz”, topografię i przebieg. Akcja pod Arsenalem ma stanowić punkt kulminacyjny w dramaturgii filmu. Jednakże ten dramatyczny wierzchołek utworu stanowi zbyt wąską oporę dla podtrzymania całych kwadransów akcji, w których dosłownie „nic się nie dzieje” poza dretym, rezonerskim dialogiem. Potok scen „ilustrujących” życie konspiracyjne Szarych Szeregów, mimo aresztowań, akcji z bronią w ręku i śmiertelnie nuzących, bowiem reżyserowi w przedziwny sposób udało się pozabawić je jakiegokolwiek intensywniejszej emocji. Nie jesteśmy w stanie wczuć się w dramaturgię bohaterów, kontaktując się z aktorami, którzy wygłaszają swoje kwestie w taki sposób, że opadają ręce. Chwilami „Akcja pod Arsenalem” przypomina francuskie filmy „chodzone” Nowej Fali sprzed lat z tą różnicą, że tam egzystencjalna nuda była wpisana w program i stanowiła światopogląd. Innym osobliwym zjawiskiem tego filmu jest to, że wszystko w nim tkwi osobno: działania, myśli, przeżycia i uczucia bohaterów i nie chce się ścieleć w wiarygodną całość. Zbyt wiele w nim scen, w których w ogóle nie wiadomo o co chodzi, a jeśli się trafi scena sensowna po długim wyczekiwaniu, to wtedy jej znaczenie leży tak natrętnie na wierzchu, że mówi tylko o nieudolności realizacyjnej reżysera. Wreszcie sama akcja, na którą przyszedł widz do kina zostaje pokazana mimo tej precyzyjnej rekonstrukcji, a może właśnie dzięki niej (?) w sposób mało wiarygodny, bez wyczuwania wagi dramatycznego efektu (np. podobno autentyczne pytanie przechodnia „Czy to już powstanie?”, rozbija skutecznie atmosferę tego fragmentu akcji) i mimo strzelaniny i biegania — flegmatycznie. Pozostali reżyserowi łatwe efekty polegające na epatowaniu widza sadystycznym hitlerowskich oprawców w scenach tortur.

„Akcja pod Arsenalem” jest zaprzepaszczonej szansą polskiej kinematografii, która zmarlowała wielki temat.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Wydana przeszło piętnaście lat temu powieść Kena Keseya „One flew over the cuckoo's nest” oczekwała się w roku 1975 adaptacji filmowej w reżyserii Milosa Formana — pamiętnego twórcy „Miłości blondynki”. — Film, zatytułowany „Lot nad kukulczym gniazdem”, zdobył pięć Oscarów; nie był jednak wyświetlany jeszcze na ekranach polskich. Powieść została przyswojona czytelnikowi polskiemu — poza fragmentami drukowanymi w „Literaturze na Świecie” — w postaci adaptacji teatralnej, dokonanej przez Dale'a Wassermana.

Po Teatrze Powszechnym w Warszawie, w którym spektakl ten został wyreżyserowany przez Zygmunta Hübnera, Lidia Zamkow wyszła „Lot” na scenę łódzkiego Teatru Powszechnego. W filmie Formana główną rolę Mac Murphy'ego grał Jack Nicholson, w Warszawie — Wojciech Pszoniak, w spektaklu łódzkim — Ryszard Mróz. Lidia Zamkow mówiła, że Mróz stworzył to, co sobie zamierzała, czyli „absolutne wcielenie przeciwności amerykańskiej, takiej ze stacji benzynowych”. Sądzę, że pokrzywdziła młodego aktora, który z kreowanej przez siebie postaci wydobyl wiele więcej niż przedstawienie mentalności chłopca ze stacji benzynowej. Zagrał młodego człowieka, który pociąga kłosek dlatego, że chce być autentyczny i szczerzy w społeczności, która wyznaczała takie normy „normalności”, w jakich autentyczność i szczerze bywały traktowane jako coś anormalnego. Szpital psychiatryczny w którym toczy się akcja sztuki, może być traktowany jako metafora współczesnego społeczeństwa. Trudno się ustrzec przed pokusą takiej interpretacji. Lidia Zamkow wytknęła sobie inny cel. Zaprzagnęła odczytać tekst w sposób dosłowny, mając nadzieję, że jego metaforyczne treści winny być zrozumiałe same przez się, przynajmniej przez tych, którzy — przyzwyczajeni do uogólniających tendencji współczesnej literatury — pragną takich sensów się doszukiwać. Ale to ma być zadaniem odbiorcy, niekoniecznie zresztą do wypełnienia.

Bowiem spektakl w Teatrze Powszechnym stara się przede wszystkim dać obraz ludzi, którzy — traktowani zwykle jako anormalni — reprezentują swym postępowaniem najbardziej istotne dążenie człowieka

ka jako indywiduum: dążenie do wolności. Za motto do przedstawienia można by uznać myśl Antoniego Kepińskiego: „Indywidualność jest zasadniczą cechą przyrody człowieka, a z nią wiąże się integralnie poczucie wolności”. Każda kwalifikacja człowieka jako nienormalnego powoduje ograniczenie tego poczucia, a tym samym stanowi zagrożenie dla jednostki. Dzieje się to nawet wtedy (a może nawet szczególnie wtedy) gdy jakaś grupa społeczna uzurpuje sobie prawo do rozstrzygnięcia o tym, co jest lub winno być słuszne, albo o tym, co jest normalne i co powinno być poczytywane za nienormalne. Szermowanie w tym wypadku hasłami demokracji wskazuje na to, jak daleko odeszliśmy już od rozumienia tego pojęcia lub jak mało w dzisiejszych społeczeństwach znaczy dla nas jego istotna treść.

Spektakl Lidii Zamkow w swojej dosłowności jest wielce przewrotny. Ukazując świat „chizofreników” przedstawia go w ten sposób, jakby to był świat ludzi normalnych. W tej perspektywie personel szpitala, opiekujący się „chorymi”, staje się obrazem doskonale funkcjonującej organizacji społecznej, której zadaniem jest przystosować do wszystkiego, co wykracza poza normy określone przez tę organizację, za „zdrowe”, do stanu, który mógłby być przez doktrynę organizacyjną zaakceptowany. Doktryna ta — nazywana w sztuce „polityką oddziały” — bazuje na równości między lekarzem i pacjentem, przynajmniej w założeniu. Słuszność jej dyktów została zakwestionowana wówczas, gdy osiągnięcie tej równości zostaje dokonane za cenę przeprowadzenia lobotomii na pacjentach, którzy reprezentują „zasadniczą cechę przyrody ożywionej” według sformułowania prof. Kepińskiego. Lobotomia oznacza kastrację mózgu... Pacjenci szpitala, kierowanego przez Siostrę Rauched, nie sprawiają wrażenia ludzi nienormalnych. Ich nienormalność polega chyba tylko na tym, iż „więcej czują i widzą” niż pozwalają na to zasady narzucone przez organizację społeczną. Przestrzeganie regulaminu szpitalnego ma za cel przywrócenie ich do życia społecznego. Kto się nie podda tego rodzaju terapii przeznaczony jest do zabiegu lobotomii. Szczególnego rodzaju wymowę posiada fakt, że najbardziej chorym staje się ten, który taktemu zabiegowi zostaje poddany. Najmniej szkodliwymi dla polityki oddziały są b-

wiem ci chorzy, którzy przestają być niebezpieczni.

Taka jest „dosłowna” wymowa przedstawienia w Teatrze Powszechnym. Odczytywanie w nim sensów przenośnych nie jest zadaniem koniecznym dla odbiorcy przerażonego perspektywą lobotomii.

Lidia Zamkow dobrała dla swojego spektaklu w większości młody zespół aktorski. Znakomicie dał sobie radę z niełatwą rolą Mac Murphy'ego Ryszard Mróz. W drugiej wiodącej roli wystąpiła w przedstawieniu Halina Miller. Jako siostra Rauched jest ona antagonistką postaci kreowanej przez Mroza. Chyba jednak nie potrafiła ona ująć roli w taki sposób, by powiało rzeczywistością grozą ze sceny. A oglądając przedstawienie „Lotu nad kukulczym gniazdem”, przywołują się nieodparcie groza, jaką potrafiły wytworzyć Wanda Łurczyńska i Ewa Zdzienicka, występujące w podobnej roli przełożonych szpitala dla psychicznie chorych w „Fizykalu” Dürrenmatta. Tymczasem w przedstawieniu „Lotu” bunt Mac Murphy'ego wyda się w pewnych momentach niezbyt uzasadniony, ponieważ skierowany jest przeciwko siłom, które nie są na tyle groźne, by na bunt zasługiwały. Dotyczy to również aktorów grających rolę pielęgniarzy, z wyjątkiem może Tadeusza Sabary, który jednak bardziej związany jest ze światem pacjentów niż z personelem szpitalnym. Wyrównany natomiast poziom reprezentują aktorzy kreujący rolę „chorych”, jak również Barbara Sześcińska i Zofia Kopacz, stwarzające charakterystyczne postacie dziewcząt ulicznych. Konsekwentnie, choć może nadbyt pasywnie, zagrał rolę Wodza Bromdena Włodzimierz Saar; choć przecież Bromden jest w sztuce następnym kandydatem do lobotomii.

SLAWOMIR ŚWIONTEK

Ken Kesey, „Lot nad kukulczym gniazdem”. Adaptacja: Dale Wasserman. Przekład: Bronisław Zieliński. Reżyseria: Lidia Zamkow. Scenografia: Jerzy Moskal. Premiera na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi, 26.II.1978.

KONFRONTACJI CZĘŚĆ II

Choć i w tegorocznych Konfrontacjach można dopatrzyć się repertuarowych niedostatków, ogólna ich ocena wypada pozytywnie. Dotyczy ona skali tematów, form i stylów oraz światowej reprezentacji. Konfrontacyjne spotkania nie były czasem zmarnowanym, oczywiście jedynie dla tych, którzy są w stanie nie zagubić się w owej różnorodności, jaką nieuchronnie nieść musi taka ich kumulacja. W Konfrontacjach zawsze niepokoi mnie ów chybły tylko psychologiczny aspekt sprawy. Czy jesteśmy w stanie zachować jakąś hierarchię wartości, gdy dzień po dniu oglądamy „Opatrzność”, „Wzwyj mnie w świetlistą dal” i „Wszystkich ludzi prezydenta”, a po bułgarskim „Basenie”, włoskiego „Casanova”? Łatwo chyba wówczas coś zagubić, nie dostrzec, łatwo też coś w kontrastach tych przecieci. Z drugiej zaś strony one to właśnie umysłowość cenną różnorodność tematów i postaw twórczych, które są jakąś reprezentacją tego, czym kino współczesne jest.

Dla większości widzów Konfrontacji 1977, o czym świadczy też seanse dodatkowe (6 godzina rano i 1 godzina w nocy), sensacją numer jeden był „Casanova” Federica Felliniego. Mniemam należy, że nie ze względu na nazwisko autora filmu, lecz jego bohatera. Dziwić się temu nie można, wiele bym jednak dała za to, by móc poznać ocenę tych tysięcy amatorów obyczajowej sensacji. Był nią „Casanova” niewątpliwie, choć nie sensacyjność była motywacją autorską. Federico Fellini zrealizował film, który tłumaczy się poprzez całą jego dotychczasową twórczość i który potwierdza wyjątkowe miejsce włoskiego reżysera w sztuce naszego wieku.

Wielki mag ekranu nie ukrywa tradycji, która jest mu najbliższa, nie ukrywa też swych niepokojów i strachów. Można przyjąć „Casanova” jedynie, jako film będący wielką demitologizacją jednej z największych legend europejskiej kultury. Gdy pamięta się jednak, że autor „Casanova” zrealizował przed laty „Osem i pół”, gdy pamięta się inne jego

dzieła, film ten staje się znów pisany kamerą osobistym wyznaniem. Konstatacja ta wydać się może w kontekście fabuły nieco szokująca, ale Casanova to nie tylko kohekanek, to także esteta, twórca, mag, czarodziej. Człowiek, który tworzył własną legendę i sprawiał tym radość sobie i innym. Z pamiętników Casanovy wybrał Fellini niektóre tylko wątki. Dominują w nich, co charakterystyczne, te, które przypadają na mniej bohaterski okres żywota „wielkiego kochanka”. „Casanova” jest filmem przejmującym smutnym, jego tematem głównym jest nasza wielkość i nasze przemijanie. Barokowy styl dzieła Felliniego jest adekwatny wobec epoki i wobec tematu.

„Casanova” był jedynym w drugim tygodniu Konfrontacji filmem, który przynosił widzów w rejon sztuki wysublimowanej. Pozostałe osadzały nas w obrazach współczesności, w jej światach jednak tak różnych, że trudno w ową współczesność wprost wierzyć. Nasi współcześni, to bohaterowie obu radzieckich filmów —

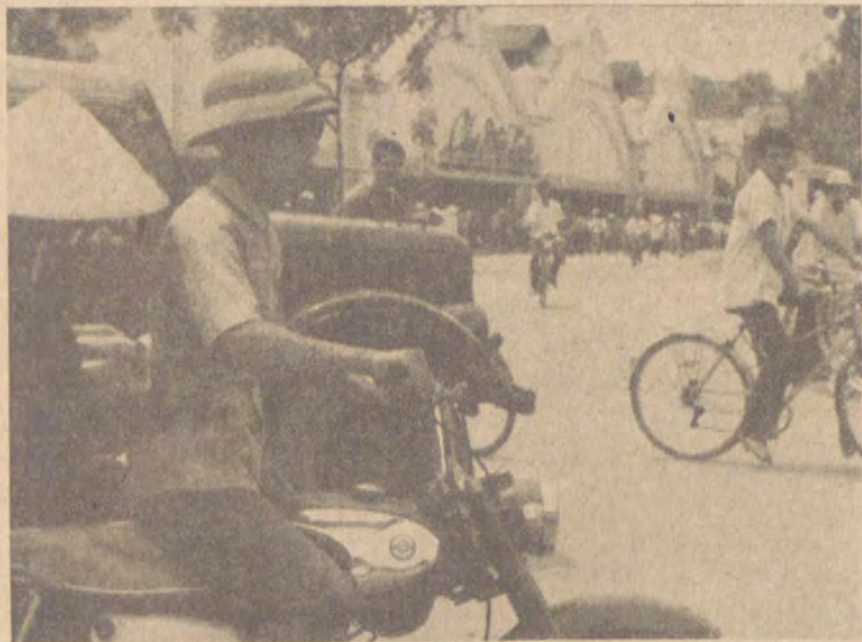
mieszkańcy rosyjskich i gruzińskich wiosek, to dziennikarze z filmu „Wszyscy ludzie prezydenta”, to tureccy wieśniacy i niszczący ich życie turyści z całego świata, to także Murzyni z Wybrzeża Kości Słoniowej u progu cywilizacji i wojen XX wieku. Każdemu z tych filmów należy się osobna chwila refleksji, na co tu pozwolić sobie trudno. Nie tylko dlatego, że brak miejsca, także dlatego, że znakomita, sensacyjna publicystyka polityczna Alana Pakuli, czy zjadliwa, także polityczna satyra, jaką jest film „Czarne i białe w kolorze” trudno zestawiać z Szukszynowskim widzeniem człowieka w filmie „Wzwyj mnie w świetlistą dal”. Jakkolwiek próba porównań i wartościowania nie ma tu sensu.

Jest w światowym kinie miejsce na aktualność dnia, która prowadzi do szerszych konstatacji natury społeczno-politycznej, tak jak to miało miejsce z aferą Watergate. Satyra polityczna mówiąca o odległej już przeszłości wcale nie zamyka tego rozdziału w historii XX wieku, ja-

kim są dzieje krajów Trzeciego Świata — lepiej pozwala zrozumieć to, co jest ich dniem dzisiejszym i to, co rzadziło historią tego wieku. Filmy typu „Wszyscy ludzie prezydenta” i „Czarne i białe w kolorze” pełnią swą określoną społeczną funkcję, w której słowa: polityka i moralność łączą się ze sobą silnie.

Film Lawrowa i Lubszyna, kontynuujący dzieło Wasyl Szukszyna, czy nawet skromna komedia „Mimino” Danieli, są inną propozycją realizacji kategorii humanizmu. Wkraczając w sferę prywatności i intymności ludzkiego życia, każą je jednak także rozumieć w szerszych kontekstach społecznych. Była to cecha generalna bez mała wszystkich filmów tegorocznych Konfrontacji. Przebiegały one pod znakiem tematu wspólczesnego, refleksji o ludzkim losie jednostkowym i zbiorowym i o jego uwarunkowaniach. A Bunuel, Fellini i Resnais? — oni wcześniej powiedzieli nam już bardzo wiele.

EWA NURCZYŃSKA



ULICE HANOI

Dalszy ciąg ze str. 1

w tej mierze ostatniego słowa. Wietnam nie jest krajem o rozbudowanej sieci kolejowej, praktycznie liczy się ta najdłuższa linia zbudowana przez Francuzów, przecinająca cały kraj od granicy chińskiej po samo ujście Mekongu. Linia zniszczona w czasie obu ostatnich wojen: francuskiej i amerykańskiej, zdezastrowana, pożarta miejscami przez dżunglę, rozmyta tropikalnymi deszczami — została odbudowana, działa, spełnia ogromną rolę gospodarczą i polityczną łącząc, obok słynnej a biegnącej często do niej równolegle w terenie Drogi Nr 1, łączącej Północ z Południem. Potrzeby, gdy idzie o tabor: wagony i lokomotywy węglowe, są olbrzymie. Już je tutaj remontowali, teraz zaczynają budować przy pomocy polskich specjalistów.

Samo lotnisko okrutnie zniszczone przez amerykańskie bombowce nadal nie może przyjąć do siebie. Poznałe sterzące resztki żelbetowego szkieletu dawnego budynku portu lotniczego, ale gdy IL-18 już siadnie na polatanym pasie startowym, podwożą nas pod niewysoki prawdzicie, nieduży ale elegancko odświeżony, tonący w kwiatkach budynek portu. O wiele szybciej niż rok temu dokonuje się teraz przyjęcia pasażerów, ich bagażu, odprawy celno-deklaracyjnej. Niespodzianką jest energiczne działanie ekipy sanitarniej dokonującej szczepień przeciw chorze, której wypadki podobno się tu zdarzyły. Kto więc odpowiednio szybko nie okaże Międzynarodowej książeczki zdrowia, już rozciera nakłutą jakimś super-automaatem rękę powyżej łokcia. A że wszystko dzieje się błyskawicznie i wśród życzliwych uśmiechów, dopiero kilka godzin później odczuć można iż cholera, to jest jednak cholera...

MOST NAD CZERWONĄ RZEKĄ

No więc Hanoi po roku. Tak samo jak wtedy czeka się w kolejce seiek

samochodów na przejazd przez Rzekę Czerwoną. Ten most, tak skrupulatnie niszczonego za dnia przez samoloty amerykańskie a odbudowywanego nocą przez Wietnamczyków, nadal ma charakter i wszystkie cechy prowizorki, przynajmniej w niektórych jeszcze elementach. Trwa oczywiście odbudowa prześel, ale tak by nie przerywać ruchu drogowego i kolejowego. Można sobie wyobrazić jakiego wysiłku i zniszczenia organizacyjnego wymaga takie przedsięwzięcie tym bardziej, że płynąca tuż obok Rzeki Czerwona należy do typowych rzek tropiku i typowo lubi robić niespodzianki: raz znika, to znowu pojawia się w kształcie niemal wzburzonego oceanu.

Tocząc się wolno samochodem po chybionych deskach mostu związanych linami stalowymi, a nawet konopnymi, myślę, że być może już niedługo danym mi będzie „przelecieć” po nim bez kłopotów. Będzie to wówczas, gdy spod tego „dachy”, po którym jedziemy wynurzy się nowy, montowany niżej most.

Ulice miasta, które zapamiętałem sprzed roku, noszące niejako mundur wojenny: panowie w drelichowych spodniach i bluzach khaki i takichże hełmach, panie w czarnych satynowych spodniach, białych bluzkach, kapeluszach ze złotych bambusowych trzaski, a nawet eleganckich auzai, czyli długich sukien z kokieteryjnymi, małymi rozcięciami nad biodrami. Atmosfera wojny i związanych z nią wyrzeczeń, troski o losy najbliższych, czy wreszcie żaloby, jaka dotknęła tu tyle rodzin, powoli zda się ustępować. Znacznie lepiej wyglądają sklepowe wystawy, więcej artykułów codziennego użytku, gospodarstwa domowego, choć wiele z nich nadal rozprowadzanych jest systemem talonów, a i to nie znaczy, że są tanie. Do najbardziej poszukiwanych należą oczywiście lodówki, wentylatory (zrozumiałe ze względu na klimat), rowery, daleki tkaniny

bawełniane, lekkie obuwie, na dalszych miejscach wymienić można zegarki, nieduże odbiorniki tranzystorowe. Pasjonują się Wietnamczycy fotografią, ale zarówno aparaty — głównie produkcyjne radzieckiej i NRD są bardzo drogie, podobnie jak błony i chemikalia. Więcej jest już nie tylko targowisk, czy kramików ale sklepów z artykułami żywnościowymi, do których tu obok nałaj dystrybuowanego ryżu zaliczają się przede wszystkim owoce, jarzyny, drób, ryby i inne fructa del mare.

OBIAŁ PO WIETNAMSKU

W tym klimacie rzadko myśli się o schaboszczaku. Wspaniałe bukiet owoców LE-CZI, podobnych do naszych truskawek, tyle że okrytych twardą skorupką, może wystarczyć za obiad. Choć... znakomicie zrobione ryby w sosie pomidorowym, czy królewskich krewetek, faszerowanego kraba, czy, w wypadkach szczególnie uroczystych, nawet langusty nikt sobie przecież nie odmówi. Dalej o sklepach: są pełne kolorowych makatek, dywanów, kapeluszy plecionych z włókien drewnianych, są sklepy ze skórą i dzikich zwierząt i węży, w tym i takich których długość dochodzi do 5 metrów, podobno i więcej. Jest sporo (bardzo drogie!) wyrobów biżuteryjnych ze srebra, w którego obróbkę Wietnamczycy są mistrzami nie lada, aliiści narzekają tu na kłopoty surowcowe, no i z kości słoniowej, którą biorą nie wiedząc skąd, skoro tyle słoni zginęło w dżunglach w czasie wojennych działań. Robią także prawdziwe cuda z różnych gatunków drewna, w tym twardego jak kamień drzewa żelaznego, które podobno rośnie tylko w tym kraju, barwą przypominając mahoń a lekkim zapachem drewno sandałowe. O koszykach i matach pięknie zdobionych nie wspominać, bo docierają one i do naszego nand-lu.

ROWERZYŚCI

Ruch na hanojskiej ulicy, a wiele z nich przebudowanych i poszerzonych, otrzymało asfaltowe nawierzchnie, jest jakby większy i bardziej nerwowy. Po połączeniu się z Południem, zniszczona Północ otrzymała poważny zastrzyk samochodów, motocykli i motorowarów. Jeśli pierwsze nadal należą do instytucji, nie widziałem i nie słyszałem o posiadaczach prywatnego samochodu, to już mechaniczne pojazdy dwukółowe są w powszechnym użyciu. Jest ich tak dużo, że zaczynają stanowić problem dla bezpieczeństwa ruchu ulicznego. Wiadomo bowiem, iż gros tego ruchu stanowią rowerzyści. Rowerów jest w Hanoi blisko 400 tysięcy i władze miasta długo zastanawiają się nad wydaniem każdego następnego dowodu rejestracji roweru.

Ten rowerowy tłum swą optymalną gęstość osiąga rano i po południu, więc szczyty są podobne do naszych, kiedy jedzie i wraca się z pracy. Tyle, że tutaj mamy do czynienia ze zwaną masą pedałowanych dwukółowców sunącą z jednakową predkością, w atmosferze wzajemnej życzliwości, zrozumienia, przyjaźni, pogody. Wszelkie drobne potracenia, wywrotki, traktowane były dotąd, jak pamiętam, wzajemnymi przeprosinami, uśmiechami. Odkąd jednak w tę rowerową rzekę wtargnęli na „wycych „Honda”, „Toyota” i „Suzu-

kach” motorzyści, kiedy sygnali w oczy dymem, huknęli z wydechowych rur, stało się tak jakby szcypaki wtargnęły w spokojne igrzyska w słońcu stadko ukleli. Milicjanci wyposażeni są już w kółkowe aparaty do pomiarów miejsca wypadków. Już częściej stały się poćkiwania syren karetka pogotowia, częstsze ostre wymiany zdań i słów nad rozbitymi rowerami, które wobec faktu słabego, wciąż niedostatecznego rozwoju komunikacji miejskiej stanowią podstawowy środek poruszania się dla każdej tutejszej rodziny.

Barwę ulicy zmieniły także kolorowe samochody ciężarowe i autobusy przyjeżdżające tu z Południa. Dotąd bowiem każdy hanojski pojazd ścisłej każdy pojazd Północy był pojazdem dobrze kolorystycznie maskowanym. Wojenną zieloność zastępuje coraz częściej kolor znamionujący pokój. Choć... relikty wojny długo każą o niej pamiętać. Zarówno o tej francuskiej jak i o statniej amerykańskiej. Nisazono najbardziej niewrażliwe obiekty życia hanojskiej aglomeracji: wodociągi.

WODA I ELEKTRYCZNOŚĆ

Wiadomo, co znaczy woda w klimacie, gdzie temperatura w cieniu dochodzi do 40 paru stopni. Trzeba się myć, trzeba pić. Aliści wody do mycia zwykło brakować zawsze rano i po południu. Kto nie schwyta

jej w wiadra, kotły, kanistry nocą — może stanąć przed ledwo kaplącym kranem, bez możliwości łmycia się po pracy. No więc trzeba być na to przygotowanym i odpowiednio działać. Na przerwy w dopływie wody wpływa również i fakt zniszczenia i ciągłej niemożności dojścia do pełnych mocy hanojskiej a i innych elektrowni wietnamskiego systemu energetycznego. Jeżeli stacje pomp nie otrzymają odpowiedniej mocy — nie dostarczą wody...

Trwają prace nad maksymalnym usprawnieniem obu systemów, do pełni szczęścia jeszcze chyba jednak nie blisko. Trzeba uć. Ale nie ma przecież mowy o odcie wody nieprzetworzonej. Gotować zaś można głównie na maszynkach elektrycznych, z orądem zaś bywa jak bywał. Taką przetworzoną wodę dobrze jest ochłodzić w lodówce zastlanej znowu prądem... Najlepiej pije się ją w strumieniu chłodnego powietrza płynącego z air-conditionera pracującego na prąd... Chwilowe, bo na ogół nie trwające zbyt długo, przerwy w dopływie energii elektrycznej, potrafią w daleki sposób dać się we znaki szczególnie europejskiej społeczności zamieszkującej Hanoi, działającej tu na rzecz odbudowy z wojennych zniszczeń miasta i całego kraju.

WIESŁAW MACHEIKO
Zdjęcia autora



ANDRZEJ F. GRABSKI

FALSZOWANIE DOKUMENTÓW

Stare jak ludzka cywilizacja zjawisko fałszowania dokumentów interesuje w równym stopniu dwie dość odległe od siebie dyscypliny naukowe: kryminalistykę i historię. Jest więc zrozumiałe, że nieraz obie te nauki spotykają się ze sobą przy badaniu tych samych zagadnień. Głośno dziś o tym, jak wyspecjalizowane metody badań kryminalistycznych pomagają historykom rozstrzygać doniosłe sprawy badania autentyczności wykorzystywanych przez nich źródeł. O wiele mniej mówi się natomiast o innej współpracy: o wykorzystaniu istniejącego dorobku nauki historycznej w zakresie badania fałszerstw dla celów kryminalistycznych. Dzieje się tak z pewnością dlatego, że najczęściej o obie nauki interesują się zgola innymi fałszerstwami, choćby były one dokonane w ten sam sposób. Historię interesują przede wszystkim fałszerstwa dokonane w przeszłości, kryminalistyka zaś, jako wyspecjalizowana dziedzina wiedzy, służy przede wszystkim rozwiązywaniu zagadek fałszerstw współczesnych.

Nie znaczy to jednak, aby miała tronić od pomocy historii i jej metod. Jak bowiem zakwalifikować — to spraw dawnych, czy też nie — opisany niedawno w radzieckiej literaturze historycznej fakt fałszowania przez kogoś własnego życiorysu, polegający na wkomponowaniu własnej biografii w ciąg ważkich wydarzeń z czasów rewolucji, w c...

otrzymania odpowiedniej renty itd.? Fałszerstwo dokonane zostało niezmiennie precyzyjnie i skomplikowanie: jego autor zapoznał się gruntownie ze źródłami i literaturą dotyczącymi spraw i sytuacji, w które zamierzał się „wkomponować”, napisał fałszywy pamiętnik, ogłosił go drukiem, a potem już wszystko poszło by mu, jak po maśle, gdyby nie

skrętni historyczni szperacze, którzy znając opisywane przez rzekomego uczestnika wydarzenia szczegóły lepiej niż on, udowodnili mu w druku fałszerstwo. W tym momencie do tego, co zdawało się dotąd być jedynie historią, wkroczyło prawo.

Epoka rozwoju praktyki fałszowania dokumentów było jak wiadomo europejskie średniowiecze. W XIV wieku hrabia Beaumont Robert d'Artois roszczać pretensje do posiadania jednego z hrabstw, polecił wyprodukować fałszywe dokumenty: kontrakt małżeński swego ojca oraz jego potwierdzenie przez króla Filipa Pięknego. Dokumenty te zostały jednak zakwestionowane przez prawników: po długim procesie, który odbył się szerokim echem w całym kraju, parlament ogłosił bezpodstawną roszczeń hrabiego. W rezultacie ambity feudalista został skazany na banicję i konfiskatę dóbr, zaś kobieta, która namówiła go do całej tej machinacji, jak również fałszerze oraz ich pomocnicy, doczekali innej kary: zostali spaleni na jednym z miejskich placów, oczywiście żywcem. Do tak surowych kar uciekano się wówczas dość często, gdy sprawa była znacznej wagi.

Ale fałszowanie dokumentów miało na celu nie tylko zaspokojenie pretensji majątkowych: nieraz chodziło po prostu o pretensje prestiżowe. Wiek XVII obfitował na europejskim zachodzie w fałszerstwa genealogii, mające dorobek zamożnym mieszczańskim genealogie szlacheckie. Wówczas też powstały wyspecjalizowane pracownie fałszerskie, wykonujące — oczywiście za odpowiednią opłatą —

dokumenty, świadczące że jakiś tam pan Dupont czy Durand może się wylegitymować praprzodkami, noszącymi wiele dłuższe nazwisko, którzy walczyli razem z królami Francji w wyprawach krzyżowych i tym podobnych. Kiedy Ludwik Filip — już przecież w XIX stuleciu — postanowił przekształcić pałac wersalski w sanktuarium, poświęcone chwale Francji, zdecydowano umieścić w nim galerię poświęconą pamiątkom krucjat i zwrócono się do ludzi po odpowiednie eksponaty. Skoro postanowiono, że każda rodzina, mogąca się wykazać przodkiem — krzyżowcem, ma prawo do uwiecznienia swego nazwiska w owej chlubnej galerii, majątni mieszczaństwo szybko jeli dostarczać tego rodzaju świadectw, tyle że fałszywych. Zapotrzebowanie na dokumenty z czasów wypraw krzyżowych było tak ogromne, że powstały wyspecjalizowane pracownie, gdzie je produkowano setkami. Jakoś wyrobów była ponoć znakomita, skoro najwybitniejszy francuski paleograf epoki Leopold Delisle narzekał, że produkty panów Letellier, Courtois i innych podobnych fachowców są aż tak doskonałe.

Każda epoka historyczna, każda sytuacja dziejowa, w każdym kraju, ma swoje fałszerstwa; skoro historyk nie może uchylić się od ich rozpoznania, ucieka się nie tylko do pomocy własnych, specyficznych metod swojej dyscypliny, ale także metod kryminalistycznych. Dlatego winna go zainteresować ciekawa książka Tomasza Karwowskiego „Badania przerobionych doku-

mentów”, opublikowana przez PWN (1977) w serii Monografii Instytutu Problematyki Przestępczości, redagowanej przez Brunona Holysta. Historyk wie, że i książki nauczyci; sądzę jednak, że i specjaliści z kryminalistyki mogliby nauczyć się wcale nie mało, gdyby bardziej, aniżeli uczynił to T. Karwowski, sięgnął do dorobku historii. Uwzględniony w tej monografii katalog „współczesnych” metod przerabiania dokumentów, nie jest znowu ani tak współczesny, jak się autorowi zdaje, ani tym bardziej pełny, nawet kiedy mowa o sprawach współczesności. Dla przykładu: brakuje w nim fałszerstw, polegających na opuszczeniu pewnych fragmentów dokumentu autentycznego, z którymi historyk spotyka się aż nazbyt często. To zaś, co T. Karwowski napisał o „problematyce fałszerstwa dokumentu w ujęciu historycznym”, dla czytającego tę książkę historyka, nie specjalizującego się bynajmniej w problematyce fałszerstw, jest czymś więcej niż nudne, skoro autor nie wykorzystał nawet w drobnej części istniejącej już, ogromnej, nie tylko światowej, ale i polskiej literatury historycznej na ten temat. Szkoda, że się tak stało, bowiem dokładniejsze zapoznanie się z tym, co pisali i pisała na ten temat historycy, miałooby z pewnością znaczenie — wobec oczywistego dla czytelnika tej książki faktu, iż autor jest znakomitym specjalistą w zakresie metod i technik dzisiejszej kryminalistyki dotyczących wykrywania fałszerstw — zarówno dla reprezentowanej przez T. Karwowskiego dyscypliny naukowej, jak i dla historii.

U PRZYJACIÓŁ

ZSR. W Związku Radzieckim stale poświęca się wiele uwagi racjonalnemu wykorzystywaniu zasobów paliwowo-energetycznych. Kolejnym przykładem takiego stanu rzeczy jest ostatnia uchwała KC KPZR, która na przykładzie obwodu kemerowskiego podejmuje te ważne problemy, z którymi aktualnie boryka się cały świat. Działania podejmowane w tym zakresie są szerokie i skomplikowane. Ich pełne wdrożenie jest gwarantem zwiększenia efektywności produkcji oraz przyspieszenia społeczno-gospodarczego rozwoju kraju. Wymieniony w uchwale KC obwód jest przykładem pozytywnym. W ostatnich latach zaoszczędzono tu znaczne ilości paliwa oraz energii elektrycznej i ciepłej. Z szerokim poparciem spotkała się inicjatywa skrócenia terminów osiagania projektowanych norm zużycia paliwa i energii we wszystkich procesach produkcyjnych. Określono także zasadnicze metody oszczędzania zasobów paliwowo-energetycznych zarówno przy ich wydobyciu, produkcji jak i wykorzystaniu. W kopalniach podejmuje się wysiłki na rzecz pełniejszej eksploatacji złóż, doskonalenia technologii wzbogacania — co pozwoliło na zmniejszenie strat węgla z jednoczesnym wzrostem jakości dostarczanego paliwa. W zakresie zużycia paliwa i energii podejmują się prace mające na celu zastosowanie wydajnych, efektywnych urządzeń i agregatów o dużej mocy jednostkowej; przeprowadza się również zakrojone na szeroką skalę modernizację urządzeń energetycznych.

WRL. Na Węgrzech od kilku lat obserwuje się intensywne procesy koncentracji w rolnictwie. Liczba państwowych gospodarstw rolnych — w ciągu ubiegłych 10 lat — zmniejszyła się trzykrotnie, lecz średni obszar gospodarstwa zwiększył się z 3,8 tys. ha do ok. 7 tys. na powierzchni uprawnej. Obecnie istnieje 134 PGR gospodarujących na ogółem jednym milionie hektarów, co stanowi 10,7 proc. użytków rolnych WRL. Największym PGR jest gospodarstwo w Babilnie, które w ub. roku osiągnęło produkcję wartości 3 miliardów forintów.

Proces tworzenia spółdzielni produkcyjnych zakończył się w WRL w roku 1961. Było ich wówczas 4200. W następnych latach wiele spółdzielni, zwłaszcza mniejszych, połączyło się. Obecnie działa 1425 spółdzielni produkcyjnych o znacznie większym areale, o średniej produkcji ok. 100 milionów forintów.

CSRS. Okres od XIV Zjazdu KPCz w 1971 roku należy do najpomyślniejszych w całej historii budownictwa socjalistycznego w CSRS — stwierdził m. in. w wywiadzie dla zachodniemieckiej USERE ZEIT członek Prezydium, sekretarz KC KPCz, Vasil Bilak. — Nie ma u nas kryzysów, inflacji, bezrobocia. Wręcz przeciwnie, możemy zatrudnić w przemyśle 100 tys. nowych pracowników... W bilansie minionych lat na pierwsze miejsce wysunąłby zasadniczą zmianę w sytuacji i sposobie życia mas pracujących. Spożyte zwiększyło się trzykrotnie, tygodnię pracy skrócono do 5 dni, przyspieszono płacę urlopy. Nasz system świadczeń socjalnych, a szczególnie troska o rodzinę, matki z dziećmi, emerytów i osoby chore, zaliczany jest do przodujących w świecie. W ciągu 30 lat produkcja przemysłowa zwiększyła się 12-krotnie. Na całym świecie znane i cenione są wysokie kwalifikacje czechosłowackich robotników i techników, osiągnięcia naszego socjalistycznego rolnictwa.

NRD. Niemiecka Republika Demokratyczna jest krajem mającym najwyższy na świecie odsetek kobiet pracujących. Obecnie w NRD pracuje 86 proc. kobiet w wieku produkcyjnym. Ponad połowa z nich posiada wykształcenie wyższe, średnie lub zawodowe. 75 proc. pracuje w różnych działach gospodarki, pozostałe w usługach. W rezultacie decyzji podjętych na VIII Zjeździe SED sytuacja kobiet w ostatnich latach uległa znacznej poprawie. Kobiętom pracującym i wychowującym dzieci przysługują dłuższe urlopy. Skrócono im też czas pracy bez zmniejszania poborów. Podstawowa zapłata z tytułu urodzenia dziecka urosła do 1000 marek. Dość znaczne dodatki przysługują matkom pracującym, dla których dzieci brakuje miejsc w żłobkach i przedszkolach.

Rola kobiet w życiu społecznym i politycznym kraju jest znaczna. Wyraża się ona choćby tym, że co trzeci radny (wszystkich szczebli) i deputowany do Izby Ludowej NRD — to kobieta. Z ogólnej liczby 9 tys. miast i gmin, aż w ponad 1600 funkcje burmistrzów sprawują kobiety. We Froncie Narodowym działa ponad 100 tys. aktywistek. Kobiety zasiadają również w Radzie Państwa. Związek Kobiet Demokratycznych skupia 1,3-milionową rzeszę członkin, a stołeczna NRD jest siedzibą SFKD.

Jednym z najważniejszych problemów współczesności jest zabezpieczenie żywności, surowców i źródeł energii ogromnej masie ludzi. Konieczność rozumnego eksploatowania naturalnych bogactw naszej planety jest oczywista, lecz nie dlatego, że światu grozi rzekomo szybka „katastrofa surowcowa” i „krach cywilizacji”. Te katastroficzne prognozy pojawiały się już w 1972 roku, w związku z kryzysem energetycznym w Stanach Zjednoczonych, ale ich przyczyny nie upatrywano w wyczerpaniu źródeł surowców.

W prasie burżuazyjnej pisano wówczas m.in.: „Groźny nam kryzys energetyczny, o którym mówi się teraz tak dużo i który może trwać do końca lat siedemdziesiątych, został wywołany raczej określonymi przyczynami politycznymi i problemami ludzkimi, niż wyczerpaniem źródeł surowców”. Jeśli słowa: „problemami ludzkimi” zastąpimy słowami: „problemami socjalnymi”, to wówczas kwestia wyjaśnia się sama. Mechanizm kapitalistycznego rynku surowcowego kontynuuje bowiem w swoich podstawowych założeniach kolonialny model. Dopóki gigantyczne koncerny trzymały w swoich rękach niemal wszystkie cenne i poszukiwane surowce, dopóty nie miały żadnych trudności z oprowadzaniem złóż surowcowych i zgarnianiem ogromnych zysków. Wtedy nie wylęwały one krokodyli z jeziora „kryzysu surowcowego”, a bez przeszkód i w sposób rabunkowy eksploatowały źródła surowców, nie troszcząc się o wyrządzone szkody.

To prawda, iż zasoby wielu rodzajów surowca są ograniczone, a zapotrzebowanie na nie stale rośnie. Ale nie ma wątpliwości, że nie spełniają się te ponure przewidywania neomaltuzjanistów. Katastrofizm futurologów wynika z błędów metodologicznych, który polega na tym, że zmienia wielkość (wzrostu zatrudnienia) porównuje się ze stałą wielkością (ilością źródeł surowcowych). Jeśli zaś wyjść z założenia możliwości zwiększenia potencjału surowcowego, to rysuje się zupełnie inny obraz, mniej pesymistyczny i o wiele bardziej realistyczny.

Weźmy na przykład takie dwa najważniejsze metale dla dalszego wzrostu przemysłu, jak cynk i miedź. Cynk zaczęto używać w przemyśle stosunkowo późno. Dziś jego roczne wydobycie wynosi prawie 6 milionów ton, podczas gdy sto lat temu wydobywano go zaledwie 100 tysięcy ton. Trzecia część światowego wydobycia cynku używa się do antykorozyjnej ochrony rur metalowych, elementów maszyn, konstrukcji blaszanych itd. Drugą ważną sferą jego zastosowania są przeróżne stopy metalu. Stop cynku i miedzi daje mosiądz, cieszący się wielkim popytem w mechanice precyzyjnej i elektronice. Jeszcze większe znaczenie ma miedź. Burzliwie rozwijające się gałęzie elektrotechniki i elektroniki zużywają ponad połowę ilości tego metalu, idące na rynek światowy. Jest ona niezbędna do produkcji kabli, przewodów, przekładników, generatorów, transformatorów. Ważnym użytkownikiem miedzi jest cała technika słabych prądów,

poza tym znajduje ona szerokie zastosowanie w przemyśle zbrojeniowym, jak również w budownictwie, transporcie, budowie maszyn, wytwarzaniu monet (idzie na nie 7 proc. o-trzymywanego metalu), w produkcji towarów masowego spożycia, mechanice precyzyjnej i optyce. Tak wielostronne zapotrzebowanie na miedź wynika z jeszcze jednej osobliwości tego metalu: miedź jest wystarczająco odporna na korozję i łatwo poddaje się obróbce.

Tak więc sugestie, że zasoby cynku zostaną wyczerpane w przeciągu 20 lat, a miedzi — 30 lat powinny wzbudzić poważne zaniepokojenie. W dodatku, jeśli chodzi o miedź, to należy jeszcze dodać, iż zawartość tego metalu w rudach eksploatowanych o-

przemysłu, które do niedawna były głównym użytkownikiem ołowiu.

Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja w dziedzinie źródeł surowcowych nie jest aż tak ponura, jak to częstokroć próbuje zasugerować prasa zachodnia. Konieczność eksploatowania posiadanych źródeł surowcowych w sposób rozumny i oszczędny, biorąc pod uwagę perspektywiczne interesy ludzkości, jest zupełnie zrozumiała i nie może być uważana za objaw kryzysu surowcowego. Tę panikarską kampanię prowadzi się na zamówienie monopolu, które próbują w ten sposób rozkręcać zwyżkę cen na swoją o-dukację i urabiać opinię publiczną przeciwko krajom rozwijającym się, które dążą do ustanowienia równoprawnych stosunków ekonomicznych

CZY ŚWIATU GROZI „KRACH CYWILIZACJI”?

W świecie, nacjonalizując własność zagranicznych koncernów lub tworząc organizacje na podobieństwo OPEC, ograniczające absolutną władzę monopolu.

Na sytuację na rynku surowców wywiera wpływ jeszcze jeden czynnik: wahania koniunktury. Ostatnio na przykład wyraża się opinie, iż na rynku światowym występuje ostry brak węgla. Rzeczywiście w 1970 roku pogłowio owiec w Australii zmniejszyło się prawie o 35-40 mln głów. Miało to oczywiście poważne następstwa na rynku światowym węgla, ponieważ Australia odgrywa w nim wiodącą rolę i zaspokaja blisko połowę światowego zapotrzebowania na ten surowiec. Przyczyna spadku pogłowia owiec był rozpoczynający się w 1973 roku kryzys w krajach kapitalistycznych i ogromne zapasy węgla w Japonii, którą skupowały ona w okresie wysokiej koniunktury. Kiedy Japończycy zaczęli ją rzucać na rynek światowy, cena węgla spadła i w konsekwencji w Australii zbankrutowało 9 tysięcy ferm hodowlanych owiec. Wszystko to nie ma nic wspólnego z prawdziwym zapotrzebowaniem na węgiel.

Tak więc, chociaż zasoby naszej planety nie są niewyczerpane, główny problem polega na ustanowieniu demokratycznej kontroli nad wydobyciem i użytkowaniem surowców. Na przykład publicysta „Deutsche Volkszeitung” uważa, iż pierwszym krokiem na tej drodze jest przyłączenie do VI specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ deklaracji i programu działania w sprawie ustanowienia nowego międzynarodowegoładu ekonomicznego, jak również karty ekonomicznych praw i obowiązków państw. Tym samym założono podwaliny pod przebudowę systemu międzynarodowych stosunków ekonomicznych na zasadach „tak mówi się w deklaracji, „sprawiedliwości, suwerennej równości, współzależności, wspólnoty interesów i współpracy wszystkich państw, niezależnie od ich systemów społeczno-ekonomicznych”.

Może się to wydać absurdalne, ale znaczenie wykorzystywania surowca maleje, mimo ogólnego wzrostu jego zastosowania. Techniczne, technologiczne, konstrukcyjne udogodnienia powodują, iż na taki czy inny sposób zużywa się coraz mniej materiału. I dotyczy to nie tylko miedzi. Znajdując zastosowanie nowe materiały naturalnego i sztucznego pochodzenia, a z drugiej strony rośnie użyteczny wskaźnik wydobywa metalu z rud o niskiej zawartości. Nie należy też zapominać, iż wiele materiałów można z powodzeniem zastępować innymi. Na przykład dwadzieścia lat temu cynk kojarzył się z wiadomym i rynną, dziś wykonuje się z niego plastikowe. Miedź zastępuje się tańszymi materiałami: aluminium, stalą nierdzewną, masami plastycznymi. Eksperci uważają, że już dziś 50 procent miedzi można zastąpić innymi materiałami.

Jak trudno dziś prognozować konsumpcję tego lub innego surowca świadczy ołów. Uważano już, że odchodzi w przeszłość, kiedy nagle okazał się prawie niezastąpiony jako osłona antyradiacyjna. Wielkie ilości ołowiu są potrzebne do budowy elektrowni atomowych, do produkcji pojemników w których przechowywać odpady radioaktywne. A mimo wszystko, według danych ONZ, wydobycie ołowiu w krajach kapitalistycznych i rozwijających się spadło w okresie od 1970 do 1975 roku o ponad 100 tys. ton. Jest to następstwem stosowania nowych technologii w tych gałęziach

przemysłu, które do niedawna były głównym użytkownikiem ołowiu. Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja w dziedzinie źródeł surowcowych nie jest aż tak ponura, jak to częstokroć próbuje zasugerować prasa zachodnia. Konieczność eksploatowania posiadanych źródeł surowcowych w sposób rozumny i oszczędny, biorąc pod uwagę perspektywiczne interesy ludzkości, jest zupełnie zrozumiała i nie może być uważana za objaw kryzysu surowcowego. Tę panikarską kampanię prowadzi się na zamówienie monopolu, które próbują w ten sposób rozkręcać zwyżkę cen na swoją o-dukację i urabiać opinię publiczną przeciwko krajom rozwijającym się, które dążą do ustanowienia równoprawnych stosunków ekonomicznych

JERZY CZECH

AGENCI CIA W ZAIRZE

Centralna Agencja Wywiadowcza USA wykorzystuje terytorium Zairu na prowadzenie działalności dywersyjnej, skierowanej przeciwko postępowym siłom tego kraju. Jak również działa na szkodę niepodległym państwom Afryki — powiedział na konferencji prasowej w Brukseli przewodniczący Komitetu Obrony Zairu, Yves Verard. Ambasador USA w Kinshasie przekazał de facto w wywiadzie CIA, a zasieg jego działalności obejmuje cały ogromny rejon na południe od Sahary — 60 proc. składu personalnego ambasady pozostałe na służbie amerykańskiego wywiadu. Ogólnie, na terytorium Zairu „zainstalowało się” około 400 agentów CIA. Poza ambasadą, agenci CIA znaleźli w Zairze kilka przystań w Biurze Międzynarodowego Rozwoju, amerykańskiej służbie informacyjnej — USIS, misji wojskowej USA utrzymującej kontakty z armią zairską i kierującej jej szkoleniem, i wreszcie w zairskiej służbie bezpieczeństwa.

Ponadto CIA szeroko korzysta z usług licznych katolickich i protestanckich misji rozrzuconych na ogromnym terytorium tego kraju i dysponujących stacjami radionadawczymi. Występujący na tej samej konferencji prasowej Julien Lumumba, syn zamordowanego 17 lat temu premiera pierwszego niepodległego rządu Kongo (obecnie Zair) Patrice Lumumby, powiedział, iż zabójstwo jego ojca było dziełem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Obecny na konferencji prasowej doręczono jako dokument potwierdzający działalność CIA w Zairze, spis nazwisk i adresów wiodących amerykańskich agentów wywiadu w tym kraju.

SAMOBÓJSTWO Z OPÓŹNIONYM DZIAŁANIEM

Min. zdrowia, oświaty i opieki społecznej USA J. Callifano poinformował, że palenie tytoniu jest samobójstwem z opóźnionym działaniem i przedstawił program rządowy, który ma pomóc 54 milionom palaczy w USA w zerwaniu z tym niebezpiecznym nałogiem. Program przewiduje m. in. wprowadzenie ograniczeń w paleniu tytoniu we wszystkich gmachach rządowych i miastach publicznych. Gdy w 1974 roku opublikowano oficjalne sprawozdanie o zdrowotności palenia tytoniu, a przede wszystkim paleniskach, około 30 milionów Amerykanów przestało palić.

Sprawozdanie i 9 uzupełniających je suplementów potwierdziło, iż palenie papierosów jest przyczyną przedwczesnej śmierci ok. 325 tysięcy osób rocznie, w tym około 100 tys. osób umierających na raka płuc. Przedstawiciele organów służb zdrowia przestrzegają, że palenie tytoniu może doprowadzić do chorób wieńcowych, chronicznego brzochnicy i innych poważnych schorzeń.

Callifano już wcześniej powiedział w wywiadzie, iż z powodu palenia papierosów 37 milionów obecnie żyjących Amerykanów umrze przedwcześnie. W 1964 roku palaczy było 42 proc. całej dorosłej ludności Stanów Zjednoczonych. Obecnie liczba palaczy zmniejszyła się do 34 proc. Z 32, a wśród kobiet z 32 do 29 procent. W 1977 roku wyprodukowano w USA 616 miliardów sztuk papierosów, z czego wynika, iż jeden palacz Amerykanin wywołał dzień palenisk. Według danych, badania i wykazywały, że 9 na 10 palaczy przagnęło rzucić palenie, gdyby nie było to takie trudne.

(C)

ŻEROMSKI — BIBLIOTEKARZ

Dobre wiadomo o tym, że autor „Ludzi bezdomnych” pracował jako bibliotekarz najpierw w Muzeum Narodowym w Warszawie, a potem w Rapperswilu, a następnie w Zamojskiej Bibliotece Ordynacji Zamojskiej. Napisano już na ten temat wiele, szczególnie o działalności pisarza w Rapperswilu, a to w związku z głosnymi niegłównymi kontrowersjami wokół porządków, a raczej nieporządków panujących w tej placówce. Tak się złożyło, że ostatecznie lata przyniosły szczególny rodzaj publikacji, rzucających nowe światło na bibliotekarskie przygodę pisarza. Władysław Wasilewski wydał bowiem przed trzema laty (1975) niezmiernie wartościowy zespół listów pisarza do zasłużonego antykwarusza sztokholmskiego, mecena-sa wielu polskich placówek kulturalnych Henryka Bukowskiego, które znacznie wzbogaciły wiedzę o pobycie S. Żeromskiego w Szwajcarii. Sprawy te znalazły też swoje wszechstronne omówienie w znakomitej monografii Jerzego Kadzieli „Młodość Stefana Żeromskiego” (1976), o partej o bogaty, nie wyszyskany dotąd w pełni materiał źródłowy. Powrócił do nich raz jeszcze Bartłomiej Szyndler w zgrabnej książeczce pt.: „Bibliotekarska służba Stefana Żeromskiego”, opublikowanej w serii

„Książka o książce” przez wrocławskie Ossolineum w 1977 r. Mówię, że to zgrabna książka, bo też i tak jest. Dobrze napisana, umiejętnie skonstruowana, z pewnością jest pożytecznym zbiorem informacji o traktowanych w niej sprawach.

Alie nie chwaliłbym jej zbyt. Po pierwsze dlatego, że jeszcze przed ukazaniem się, dziełko to było już w jakiejś mierze zdezaktualizowane. Rozumiem, że cykl wydawniczy trwa u nas długo, jak nigdzie na świecie i nie jest jedynie winą autora, że nie zdążył wykorzystać w swej książce materiałów, opublikowanych przez W. Wasilewską ledwie rok wcześniej. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy, że skoro znane są źródła, dostarczające nowych informacji o omawianych w tej książce zagadnieniach, a nie zostają one przez autora wykorzystane, aktualność jego opracowania wielce na tym traci. Po drugie: nie mogą być entuzjastą po-wszecznego dziś u nas zwyczajem pisanie nowych książek na z dawna znane tematy, kiedy nie dysponuje się większą ilością nowego materiału, który by uzasadniał ponowne wrzucenie tematu na warsztat. Co się tyczy działalności S. Żeromskiego w Rapperswilu publikacji jest już wcale sporo, operujących wciąż tymi samymi

źródłami, niewiele tylko rozszerzając ich krąg. Czy nie lepiej byłoby, gdyby autor sięgnął po opracowane czegoś rzeczywiście nie znanego, np. poświęcił pracę tylko bibliotekarstwu S. Żeromskiego w ordynacyjnej instytucji warszawskiej, co w jego książce znalazło się na drugim planie?

Zwykle mówi się, że do znanych wielokrotnie opracowywanych przez badaczy spraw, takich jak działalność autora „Ludzi bezdomnych” w Rapperswilu, nowych materiałów po prostu nie ma i jesteśmy skazani na ustawiczną reinterpretację znanych źródeł. Jest to jednak nieprawda. Skrupulatne zapoznanie się z zawartością naszych archiwów i bibliotek — choćby wrocławskiego Ossolineum — wciąż pozwala na odnalezienie nowych źródeł. Ponadto istnieją jeszcze zbiory zagraniczne. Co się tyczy bibliotekarskiej służby S. Żeromskiego na ziemi szwajcarskiej można w nich znaleźć wcale interesujące, zupełnie nieznane źródła. W Paryżu opóźniony wydany przez W. Wasilewską korespondencji S. Żeromskiego i jego żony, znajduje się wiele listów, odnoszących się bezpośrednio do pracy pisarza w Rapperswilu, a w szczególności do jego konfliktu z kustosem Włodzimierzem Rużyckim de Roscnwerth oraz dyrektorem Muzeum Narodowego Polskiego, pułkownikiem Józefem Gąlewskim. Sam miałem niedługo okazję zapoznania się z korespondencją, dotyczącą S. Żeromskiego, z listami takich ludzi, jak J.

Gąlewskiego, H. Bukowskiego i W. Rużyckiego, z listami wprowadzonych w sprawę konfliktu Zygmunta Wasilewskiego, Romualda Mielczarskiego i innych. Nie mogę oczywiście stawiać B. Szyndlerowi zarzutów, że nie zia zagranicznych, trudno dostępnych zbiorów rękopiśmiennych, sygnalizując tylko istnienie w nich ważnych materiałów do S. Żeromskiego. Mogę natomiast mieć do autora książeczki o służbie bibliotekarskiej pisarza pretensję, że w bardzo niewielkim stopniu rozszerzył zakres naszej wiedzy w tym interesującym przedmiocie i nie wykorzystał możliwych do zbadania nawet bez wyjeżdżania za granicę rękopiśmiennych źródeł krajowych, które pozwoliłyby mu na wprowadzenie do nauki nowych ustaleń i sprawiłoby, że jego książka byłaby nie tylko „zgrabną”, ale stałaby się... nową. Bo przecież o to chyba w pracy naukowej chodzi: nie o najbardziej ładnie udane potwierdzenie tego, co już wiemy, ale o rozszerzenie naszej wiedzy i na tej drodze zmianę funkcjonujących w literaturze sądów. A swoją drogą, ma B. Szyndler pecha, że jego książka wpadła mi do ręki akurat wtedy, kiedy opracowuję odnalezioną przez mnie Żeromskiana... Taki jest jednak normalny bieg rzeczy w rozwoju historycznego poznania.

A. G.

MISTRZOWIE I NASTĘPCY

W środę, 22 marca 1978 roku, mecz polskiej reprezentacji w piłce nożnej z drużyną narodową Luksemburga. Będzie to pierwszy sprawdzian naszych piłkarzy w cyklu przygotowań do Mistrzostw Świata w Argentynie. Kiedy Czytelnicy będą czytali ten felieton, znany będzie już wynik tego spotkania. Wszyscy dobrze rozumiemy, że są to tylko spotkania kontrolne, aby osiągnąć założone cele szkoleniowe. To wszystko prawda, ale kibice martwią się o przyszłość naszej reprezentacji.

Wojciech Kaźmierczak z Ozorkowa powodowany taką troską pisze w liście nadesłanym do redakcji:

„Trener Jacek Gmoch przed rozpisaniem rozgrywek ligowych kilkakrotnie wypowiadał się publicznie, zapewniając, że tylko dobra forma wykazana na boisku otwiera drogę do reprezentacji, a tu nagle w kadry jest Andrzej Szarmach, który jest teraz w beznadziejnej formie. Takie rozmyślanie się między słowami a czynami nie przyczynia się do wzrostu zaufania kibiców do Jacka Gmocha.

Wydaje się, że trzeba Jackowi Gmochowi wytknąć taki brak konsekwencji, bo gotów wpasnąć w takie samozadawanie (niektórzy uważają, że już wpadł), że dojdzie do wniosku, iż w Polsce poza nim nikt więcej nie zna się na piłce nożnej”.

Istotnie, po zimie Andrzej Szarmach, grający w mieleckiej Stali, nie popisał się niczym szczególnym, siedział nawet na ławce rezerwowych. A jak się siedzi na ławce rezerwowych, to można popisać się tylko słowem, oceniając jak koledzy grają. Słaba forma Andrzeja Szarmacha zwróciła już uwagę komentatorów sportowych i ktoś w radio — nie pamiętam już kto — próbował wyjaśnić, że forma rośnie stopniowo i to, że Andrzej Szarmach i inni nie ma jej w marcu, wcale nie znaczy, że nie będzie jej miał w czerwcu. Rozumowanie to można jednak odwrócić i stwierdzić, że to, iż ktoś ma wysoką formę w marcu wcale nie znaczy, że będzie ją miał w czerwcu. W rezultacie nie z tego nie wynika poza przypuszczeniami. A w ocenie takich sportowców lepiej trzymać się faktów.

Od dawna jestem zwolenniczką takiej „polityki kadrowej” w piłce nożnej, która pozwalałaby na utrzymywanie w kadry „długiej ławki rezerwowych”. Wypominałam między innymi to właśnie Kazimierzowi Gorskemu, który nie potrafił na czas zdobyć się na omdlenie drużyny narodowej. W początkach Jacka Gmocha widać wprawdzie taki zamysł, aby jednocześnie z budowaniem pierwszego zespołu powstawała drużyna następców, tylko że wyniki takiego działania są jak do tej pory mizerne. A tu Mistrzostwa Świata w Argentynie bliżutko, a zaraz później trzeba będzie startować do wale nie łatwiejszych rozgrywek eliminacyjnych do Mistrzostw Europy w piłce nożnej. Czy w tej sytuacji można dziwić się, że Jacek Gmoch sięga po „stare kadry”?

Takie postępowanie rodzi jednak okrojone konsekwencje. Skoro trzeba postawić na byłych mistrzów, to czują się oni nadal niezasiadnięci, lekce sobie ważą wszelkie zagrożenie im palcem i nawet całą ręką, bo wiedzą, że co by tam nie robili, czy będą podawali strzelając do bramki, czy dobieli w kolezankę, nie kopną piłkę dalej, to i tak do Argentyny pojadą. O do tego czasu podziurkuje się formę, podcina się ruyiny i jakos to będzie. Tylko, że taka taktyka dobra jest na ligowe mecze. Inni w tym czasie grzeszą w popiele nie zasypiają.

W sporcie — jak w wielu innych dziedzinach życia — jest tak, że nie zastąpi liża się, ale aktualny stan umiejętności. Bardzo dobrze było to widzieć w czasie bokserskich mistrzostw Polski odbywających się w Krakowie. Użytkownik bokserski, z mistrzem olimpijskim Jerzym Rybickim na czele, miał sporo kłopotów ze swoimi następcami. Wprawdzie starsi doświadczeni, rutynni i umiejętnością przetrzymywania krzyżów na ringu obronili tytuły mistrzów Polski, ale nie było to łatwe. Opiłymiśczone w tych mistrzostwach było to, że ujawniły się młode talenty, o których głośno będzie jeszcze na ringach. Cieszy również fakt, że wśród tych obiecujących boksersów jest Andrzej Krysiak z RKS Widzew. Ciekawie zapowiada się też Roman Misiewicz z Gwardii Warszawa.

Nie byliśmy ostatnio bokserską potęgą. Bil naszych chłopców, kto chciał, przegrywaliśmy międzynarodowe spotkania i oto na ringu w Krakowie pojawiły się symptomy odmiany. Rośnie i szkoli się zastęp młodych boksersów. Być może do Olimpiady w Moskwie będą już gotowi. I to cieszy.

Boks i piłka nożna rządzą się różnymi prawami. Ale prawo nieustannego szkolenia młodzieży obowiązuje w każdej dyscyplinie sportu.

BOGDA MADEJ

Przed budynkiem stoi jak zwykle kilka polieresowanych samochodów, a na prowadzących do wejścia schodach wyciekają paru interesantów. Przypomina sobie, że po raz pierwszy wchodził na te stopnie wówczas, gdy ani mu w głowie było, że będzie tu pracował. Szedł wtedy jesienią 1939 roku, aby przez podwórko za budynkiem wyjść na Wólczańską i dojść do domu, w którym mieszkał jego nauczyciel historii. Szedł do niego, bo nie wiedział, jak ma postąpić: kilku kolegów — m.in. ten, który poległ potem jako żołnierz Maczka — proponowało mu, by razem z nimi wybrał się przez Słowację na Węgry i dalej do Francji, do Sikorskiego. Pan Zygmunt wysłuchał go uważnie, ale wątpliwości nie miał żadnych: zaimprowizował krótki wykład, wykazując czarno na białym, że nigdy żadna emigracja nie decydowała o losach kraju. Nie poszedł więc na Węgry. Kiedy dziś o tym myśli, nie wie, czy stało się tak dlatego, że przekonały go argumenty nauczyciela, czy dlatego, że chciał być przekonany.

Spostrzega, że po przeciwną stronę ulicy powoli idzie w stronę oddziału Narodowego Banku Polskiego dwóch młodych milicjantów. Widok tych chłopaków, przystojni i wygodnie odziani, dobrze wyposażonych i w świetnej kondycji, przypomina mu scenę, jaką w tym samym miejscu widział przed dwudziestoma przeszło laty. Szedł właśnie w stronę uli-

aktorzy. Nieco dalej stoi dom, na balkonie którego wisiał w swoim czasie szyld z nazwiskiem jego kolegi. Ojciec tego chłopaka, jeden z najbardziej renomowanych łódzkich krawców męskich, zginął w getcie. Jego syn jeszcze przed wybuchem wojny znalazł się za granicą — i podobno — zrobił karierę w Stanach jako wybitny matematyk. Zawsze zresztą miał do matematyki smykałkę.

Przenosi wzrok na drugą stronę ulicy i znów widzi dwóch młodych milicjantów, powoli idących chodnikiem. Tak staranne patrolowanie ulicy w godzinie niewielkiego ruchu dziwi go nieco, ale zdziwienie to ustępuje wspomnieniu, jakie wywołał widok budynku, pod którym przechodził milicjanci. Za czterdzieści lat temu wraz ze swym ojcem chodził po wnętrzu tego gmachu i z zachwytem oglądał rozstawione tu jakieś rowery, jakieś dzwignie, ciężarki na linkach. Rozumiał, że wszystko to służyć miało ludziom chcącym odzyskać sprawność stawów i mięśni, ale bardzo chętnie by się tymi urządzeniami pobawił. Ceremonia otwarcia gabinetu fizykoterapii Kasy Chorych nie była jednak stosowną do takich zabaw okazją, a innej okazji nigdy już potem nie miał. Dziś w tym budynku mieścił się jakiś urząd i żadnych atrakcyjnych aparatów tam nie ma. A gdyby nawet były... Nie ten już czas...

tramwajami i samochodami ulicy Zielonej; widocznie coś się zakorkowało przy wjeździe na Piotrkowską. Spogląda na parking urządzony tam, gdzie przed laty stała synagoga, spalona przez hitlerowców. Jako chłopak z ciekawością patrzył na ten niby-mauretański budynek nie wiedząc co też może odbywać się tam w środku. Myśli o tym przez chwilę, zwraca i znów widzi łopocący licznymi flagami wieżowiec poczy, przed którym stoi lub przechadza się parami kilkunastu milicjantów. Znów próbuje odgadnąć, co też sprowadziło stróżów porządku przed budynkiem jeszcze nie oddany do użytku. Nie wymyśliwszy niczego mądrego, wraca do domu i ślady do maszyny.

„Dopomniem powoli idącą Barbarę i zorientowałem się od razu, że nie jest ona w najlepszym nastroju. Nie kryła się z tym zresztą. Powiedziała mi z żalem, że od chwili, kiedy ją zobaczyłem, mam zezłuszczoną m. nę, że nie powiedziałem jej nawet „dzień dobry”, że opryskliwie odpowiadałam na wszystkie jej propozycje. Zrobiło mi się głupio, a jednocześnie ogarnął mnie nowy przypływ irytacji. Miała rację, ale przecież nie mogłem wyjaśnić tego wszystkiego, co tak trafiło spostrzegła. Tłumaczenie, że zezłodził mnie brak jej pomysłu przy szyciu naszego wyjazdu, na pewno nie poprawiłoby atmosfery. Ostatecznie nie powiedziałem więc nic

kilka razy od matki Bielakowej, która, jak widać, opowiadała ją każdemu. Pomyślałem, że spotyka mnie swoisty zaszczyt, że stałem się jednym z bohaterów opowiadań starych babczy. Kto wie, czy gdzieś, przy nadarzającej się okazji, Paweł nie opowiada o tym, jak to tupiąc i zapiając wystraszyłem jego siostrę.

Koło zarośniętego jaru zszedliśmy z wozu, pojeździł Bielakową i skrajem ciągnących się od wsi zagonów podwędrowaliśmy do domu zasłoniętego szpalarem wysokich świerków. W powitanu z Magdą, w przegładzie znanych a niewidzianych dość dawno kątów, w poprawkach szykowanego przez Magdę obiadu ostatecznie rozpląnął się niedawny nastrój Barbary.

Po obiedzie rozstawiłem na słońcu leżaki, nadmuchałem gumowy materac i wszyscy troje leniuchowaliśmy na słońcu opowiadając sobie o różnych, nieważnych w gruncie rzeczy, sprawach: o odwiedzinach Piotra i udzielonej mu pożyczce, o złym samopoczuciu krowy u Budzyńskiej. Potem przestaliśmy gadać i grzaliśmy się pół godzinę, z dołu, znad rzeki, dolatywały od czasu do czasu jakieś nawoływania, potem zajął młot samochodem, potem poruszył powłócząc przenikliwym hałasem motocykl, bo nad Pilicę pojeździło trochę ludzi.

Edward Szuster

WEDRÓWKI ZIMĄ I LATEM OPOWIEŚĆ

cy Andrzeja i zbliżał się do banku — już wówczas mieścił się tam bank — kiedy ze stojącego dalej budynku, w największym pośpiechu i podnieceniu wypadło na ulicę kilku uzbrojonych i umundurowanych ludzi, którzy ile sił w nogach ruszyli w jego stronę. Na wszelki wypadek wtulił się w najbliższą wnętro muru i patrzył. W porożnionych płaszczach, w opadających na brachy pasach, w poprzekrywanych czapkach, mocując się z przeszkadzającymi im karabinami ciężko ewoluowali po trotuarze starsi już mężczyźni. Dopadli wreszcie wejścia do banku i zniknęli w nim; tylko jeden pozostał na ulicy. Dyszał ciężko i ściskając w rękach karabin rozglądał się bacznie dookoła. Po dłuższej chwili z banku wyszedł któryś z jego kolegów, coś mu powiedział i zniknął z powrotem we wnętrzu. Wartownik rozluźnił się, podszedł pod ścianę budynku, oparł się o nią plecami i zdjąwszy czapkę ocierał czoło szerokimi ruchami rękawa. On, uspokojony, poszedł w swoją stronę i mijając strudzonego spytał, co to się działo. „Cholery — wysapał milicjant — próbnego alarmu im się zachciało”.

Dochodzi do skrzyżowania i sfał opodal zastawionych na białe okien pawilonu gastronomicznego, naprzeciw ciemnoszarej, ciężkiej kamienicy. W tym ponurym domu był parę razy. Mieszkała tu wraz z synem, jego kolegą szkolnym lekarzem, znajomą jego matki. Nie pamięta już, przy jakich okazjach zdarzały się te odwiedziny, ale, że ostatnie z nich wypadły w pierwszych tygodniach po wkroczeniu do Łodzi wojsk hitlerowskich. Dostrzegł się wtedy od pani doktor, że jej syn wyjechał w lipcu do Anglii; by tam rozpocząć studia, i że nie mu nie grozi. W kilkanaście dni potem otrula się. Wiedziała dobrze, czego może oczekiwać w getcie.

Przecina ulicę Struga. Stąd rozpoczyna się niegdyś spacerowa część alei Kościuszki, po których nie jeździły wówczas żadne tramwaje; miejsce dzisiejszych torowisk zajmowała wyposażona w ławki, wyżywiona alejka biegała między dwoma trawnikami. Tutaj — słyszał to od matki — chadzało się na spacerki jeszcze w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową. Tu właśnie, w 1905 roku, w czasie rojnej promenady, dwunastoletni Julek Tuwim został spoliczkowany przez nieco starszego kolegę za to, że w dniach strajka szkolnego nadal chodził do szkoły. Obarczani dziećmi odpowiedzialnością za decyzje ich rodziców, praktykowane było w późniejszych czasach. Szczególnie bezsilni byli zawsze pod tym względem rówieśnicy tych dzieci.

Mija domy, których większość pamięta czasy tuwimowskiej młodości. Spogląda na ciekawą niby-pałac mieszczący siedziby wielu stowarzyszeń twórczych, znany przede wszystkim z knajpy, w której można zobaczyć, jak jedzą i piją — popatrz, popatrz — znani

Na wznoszący się opodal zwalsty budynek PKO spogląda — jak zawsze — bez sympatii, choć nie ma żadnych pretensji do zajmującej go instytucji. Rzecz w tym, że w marcu 1940 roku, pod ten właśnie budynek, paru niemieckich policjantów przyprowadziło późnym wieczorem grupę ludzi dzwigających tobołki i walizki. Był w tej grupie wraz ze swoimi najbliższymi. Przed godziną kazano im wynieść z mieszkania pozwalając zabierać tylko to, co będą mogli unieść. Pod strażą uzbrojonych policjantów szli potem po zaśniętych ulicach, w mrozie pierwszej wojennej zimy pod ten właśnie budynek. Stali tu długo, dreptali, rozgrzewali się chuchaniem w dłonie i zabijaniem rąk, a ich gromadka powiększała się stopniowo o nowe, objuczone tobołkami postacie. Wreszcie przed budynek zjechał tramwaj do którego kazano im wsiąść; dowiózł ich na róg Łąkowej i Kopernika. Stąd zaprowadzono ich do odległej o kilkaset metrów fabryki, zmienionej w zaimportowany obóz. Od tej marcowej nocy sprzął lat trzydziestu kilku w łok budynku PKO budził w nim nie najmiłsze wspomnienia.

Inne skojarzenia nasuwa mu widok narażonej kawiarenki, w której raz i drugi zdarzyło mu się pożywnie spędzić parę kwadransów. Z czymś w rodzaju rozczulenia patrzy na parterowy murowany domek stojący zaraz za kawiarnią. Nieraz zastanawiał się przed nim i czytał wmurowaną w jego ścianę tablicę. Informowała ona, że w tym domku zatrzymał się w 1905 roku Feliks Dzierżyński i wygłosił tu przemówienie. Słowo „przemówienie” zastawione z tą małą chałupką mieszczącą chyba niewielkie pokójki wydawało mu się zabawne, choć wie dobrze, że przemawiać można nie tylko do setek słuchaczy, jak to dziś najczęściej bywa. Przychodzi mu do głowy pytanie, czy pułkownik doktor Dzierżyński siedząc w gabinecie komendanta ochrony przeciwlotniczej miasta wiedział o tym, że w domku stojącym przy tej samej ulicy, trzydzieści czterech lat temu jego brat, spotykał się z łódzkimi „facetami”, jak nazywał Feliks Dzierżyński aktywistów SDKPiL. Chyba nie wiedział.

Za domkiem pamiętającym spotkanie z „facetami” dostrzegł żwawą krzątanicę. Ustawione są transparenty, zawieszane flagi, parę milicjnych patroli kręci się w pobliżu. Wszystko to dzieje się przed wejściem do wykończonego w ostatnich dniach wieżowca uwiecznionego widocznie z deleką napisem POCZTA. Domyśla się, że pewnie niezadługo odbędzie się tu ceremonia przekazania do użytku tego nowego gmachu.

Dochodzi do zapehanej stojącymi

i szliśmy w milczeniu, ja przodem, ona za mną, i choć to milczenie zaczęło mi coraz bardziej dokuczać, nie wiedziałem, jak się go pozbyć. Opowiadał koszałków-opalków, choćby o rybkach podśluchanych wczoraj wieczorem nad rzeką, nie było już czasu; przeprosił ją bez żadnego wyjaśnienia — także nie mogłem, to by jej nie zadowoliło, a na wyjaśnienie całej historii zgodnie z prawdą była, po mojemu, nieodpowiednia pora. I tak szliśmy przez rozgrzany słońcem i pachnący żywica lasek jedno za drugim, zacinając się w upartym milczeniu.

Gdy doszliśmy wreszcie do mura-wieńskiej drogi powiedziała, że jest zmęczona i chce odpocząć. Ja na to, że pójdę dalej, gdyż wolę przenieść toboły bez zatrzymywania się, za jednym zamachem, ale w gruncie rzeczy nie chciałem siadać przy niej, bo wtedy moje milczenie nie dałoby się niczym usprawiedliwić. Kiedy wyszedłem z lasu na drogę, ujrzałem, że od strony Murowańca jedzie powoli wóz zaprzężony w silego konia, a na wozie siedzi Bielakowa. Za chwilę siedziałem na deskach wozu, a za moimi plecami Bielakowa i Barbara pogadywały na pokrytym kilimkiem worku z sianem. Machałem sięgającymi prawie ziemi nogami, patrzyłem na drogę, która powoli wysuwała się spode mnie kładąc się za wozem coraz dłuższą wstęgą. Bielakowa opowiadała, jak to wypadło jej zawiązać matkę do sulejowskiego kościoła. Barbara zatroksała się, jak to ta matka wróci. Bielakowa wyjaśniała, że zabierze ją sąsiad z tamtego końca wsi. Leniwie toczyła się ta rozmowa i leniwie włókł się wóz. Patrzyłem zmrużonymi oczyma, prosto w słońce stojące już prawie w zenicie, czulem, jak jego promienie przypiekają mi ramiona, słuchałem śpiącego skowronka unoszącego się nad zielonkawym jeszcze łąnem żyta i było mi dobrze. Wiedziałem, że siedząc za mym plecami Barbarę też opaszcza nastrój irytacji i żalu zmywany przez dostate ciepło, odganiany sutym słonecznym światłem i zagluszany szelestem rosnącego wzdłuż drogi żyta. A Bielakowa zaczęła opowiadać, jak to kiedyś, dosyć już dawno, wystraszyłem jej matkę, kiedy biegając wyprzedziłem ją na drodze.

— Jak usłyszała za sobą to tupanie i to zipanie, to aż jej serce ze strachu stanęło.

Zaśmiałem się, zaśmiała się Barbara, choć historię tę słyszeliśmy już

Słuchając tych odgłosów pomyślałem, że za rok, gdy woda w zalewie spleetrzy się, pokryje łąki i podejdzie tuż pod skarpe wysokiego brzegu, niełatwo będzie tym ludziom z dołu dojeżdżać samochodami prawie do samego brzegu.

Kiedy w poniedziałek rano wyszedłem na cypel i spojrzalem na zalane słońcem łąki, dostrzegłem na nich tu i ówdzie ludzi siekających trawę lub przetrząsających pokosy. Sianokosy ruszyły pełną parą. Na zakręcie rzeki sunęła krypta, którą przeprowadził na drugi brzeg młody chłopak i starsza, na ciemno odziana kobieta.

Idąc do Budzyńskiej po mleko nie szedłem — jak to dotąd bywało — Piotra w okolicy sklepu. Pewnie także wybrał się na łąki. Krowa Budzyńskiej czuła się już dobrze, co gospodynię wprowadziło w pogodny nastrój. — Patrz pan — mówiła — samą z siebie jej przeszło. Bez weterynarza.

Pojąłem aluzję do moich niewczesnych wczorajszych rad.

— To dobrze. Miała pani szczęście.

— Jakie tam szczęście? Od razu mi się widziało, że nie jej nie jest.

— A mnie się widziało, że się pani jakiejś choroby boi.

— Jakiej znów choroby? Zjadła coś i tyle.

W powrotnej drodze zobaczyłem przy kapliczce wóz skręcający ku Barkowicom. Na przodku stał Paweł trzymając w wyciągniętych rękach lejca. Przy bracie siedział Piotr i przypatrywał się z niezwykłą uwagą własnym dioniom. Jechali pewno na łąki, do których droga wiodła przez barkowicki bród. Tak tu już od dawien dawna bywało. Chłopi z leżącego na kieleckim brzegu Zarzęcina mieli łąki po stronie łódzkiej, mieszkający naszej wsi, ulokowanej na łódzkim brzegu, zbierali siano z kieleckiej strony. Gdyby zamienili się tymi łąkami, nie musieli by przejeżdżać z sianem rzeki w bród, ale także załatwienie sprawy było zupełnie i możliwe, bo i jedni, i drudzy byli przekonani, że ich łąki są lepsze niż sąsiadów. Za rok — gdy i jedne i drugie znajdą się na dnie zalewu — będą miały tę samą wartość. Latosi jednak każda furę siana taszczyć będzie jeszcze i Paweł i Piotr przez wody Pilicy po piachach i pod górę przez trzy co najmniej kilometry.

cdn.

zdarzenia i zwierzenia

Święta prawie zawsze i prawie wszędzie kojarzą się z biesiadą. Dopiero dziś biesiadę utożsamiamy z tzw. uciechami stołu — dawniej znacząco co innego — po prostu zgromadzenie. Jeśli jednak sięgniemy dalej w głąb znaczeń tego słowa, odkryjemy u Brücknera, że starożytna biesiada oznacza rozmowę. Brückner zresztą dowodzi, że słowo biesiada pochodzi z tego właśnie starożytnego pnia.

I dopiero u Glogera odczytujemy znajome treści. Gloger bowiem tłumaczy to słowo jako „posiedzenie wesole przy napitku i potrawach, ucztę, cieszę, bankiet, lusztyki, gody, godowanie, ucztowanie...”. Stare przysłowie głosi: „Kiedy siędziesz przy biesiadzie, nie myśl o żadnej zwadzie”.

Ale, jak to bywa, przysłowie przysłówiem, a przecież właśnie przy biesiadach najczęściej dochodziło do zwady.

Współczesna encyklopedia PWN nie notuje natomiast w ogóle hasła „biesiada”. Czyżby to słowo było dziś w zaniku?

Współczesna encyklopedia PWN nie notuje natomiast w ogóle hasła „biesiada”. Czyżby to słowo było dziś w zaniku?

ŚWIĄTECZNA BIESIADA

Wspomniana encyklopedia nie notuje nawet „Biesiady Literackiej” — pisma dość głośnego u schyłku XIX wieku, wydawanego przez Józefa Ungera.

Wróćmy więc do zwykłej, nie literackiej biesiady. Otóż anegdota opowiada o tym, jak dwaj znani aktorzy: Władysław Walter i Adolf Dymśa wybrali się na obiad. Walter był wybitnym znawcą kuchni i wytrawnym smakoszem. I oto w jego obecności Dymśa zamówił kalafior polany roztopionym masłem. Gdy to Walter usłyszał, ryknął na całą restaurację: „Jezu Maria, zepsuł kalafior. Przecież kalafior może być tylko pod beszamelem!”

No, właśnie! Któż wie dziś o markizie Bechamel? Wydał on co prawda w wieku XVII książkę kucharską napisaną wierszem (zresztą nie pod własnym nazwiskiem, lecz pod pseudonimem La Bas), ale w historii gastronomii i tak pozostał tylko jako twórca zwykłego i bardzo prostego sosu.

Spójrzmy więc do książki „Kucharka litewska”, wydanej w 1874 roku. Oto przepis na beszamel: „Rozpuścić pół funta masła, zmieszać z dwiema łyżkami maki, podsmażyć, rozprzawzić kwartą śmietanki, za-

gotować, ciągle mieszać. Ostudzić, zabić pięcioma żółtkami, podsmażyć...”

Jak widać nie taka to wielka sztuka. Ale trzeba było na to wpaść.

Podobnie jak na pomysł gęsi upieczonej na czarno — specjalność staropolskiej kuchni. A jak prosto ją przyrządzano — pisze Jędrzej Kitowicz. Po prostu składnikiem był... węgiel drzewny.

Potem jednak skończyła się prostota w polskiej kuchni. Zaczęły docierać do nas potrawy francuskie, wymyślne i wykwintne. Kończy się obfitość jada, a zaczyna wykwint potraw: paszety, farsze, lososie gotowane w burgundzie... Albo ta ryba z „Pana Tadeusza” — w całości przyrządzona, lecz na początku pieczona, w środku gotowana, smażona u ogona.

Na koniec refleksja. Nigdzie nie spotkałem wzmianek na temat wybitnych kobiet-kucharzek. Słynna Cwierzakiewiczowa jest tu wyjątkiem, który tę regułę potwierdza. Natomiast Zygmunt Gloger wymienia w swojej „Encyklopedii staropolskiej” cały szereg nazwisk wybitnych polskich kucharek — Sierpińskiego, Salukiewicza, Grudzińskiego, Gąsiorowskiego

i — nomen omen — Zrazowskiego i Schabowskiego.

Współcześnie jest podobnie. Współautorka popularnej książki kucharskiej „dla samotnych i zakochanych” pani Maria Lemnis jest... mężczyzną, bo taki pseudonim przybrał autor tej książki, zresztą z zawodu aktor. Tak to już jest, że mężczyźni lubią eksperymentować w kuchni, nie będąc wcale kucharzami. Wystarczy przywołać tu przykłady Nelsonów i Chateaubriandów.

Niestety, dziś eksperymentów w kuchni coraz mniej — sztuka kulinarna upada, zaczęła się epoka zbiorowego żywienia.

I tu znów anegdota. Upał, samo południe. Dwóch przyjaciół siedzi na tarasie kawiarni i pija koniak. Po paru kieliszkach jeden z nich pyta: „Smażysz ci koniak?” — „Nie” — odpowiada drugi. — „Mnie też nie, więc po cholere pijemy?” — „Ano, widzisz, przez rozum, przez rozum...”

Biesiada coraz mniej, coraz częściej siadam do posilków „przez rozum”.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

Tadeusz Chrościelewski



Rozpisana chata — PAN TADEUSZ i zięć i DOROTA I do rymu PANI HONORATA.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

ŻYCIE BASKÓW

pojawia się na półkach sklepów. Cóż więc zostaje?

Zostają kosmetyki i książki. Mam już w szafie osiem wielkich flach z wodą kolońską, której notabene nigdy nie używam. Poza tym należę do katechorii ludzi kochających książki, posiadających duży zbiór, ciągle i z zapalem wzbogacany. Dać takiemu książkę w upominku to z jednej strony pewnością, że się sprawiło przyjemność, a z drugiej — duże ryzyko, że się daje dubleta czy nawet trzeci egzemplarz tego samego dzieła. Wtedy zamiast przyjemności jest kłopot, bo najpierw solenizant musi udawać zachwyconego, a potem martwić się co z nowym nabytkiem robić: zebrać w księgarniach o zamiar, przy której zresztą wypada zawsze wybrać pozycję droższą od tej, którą się oddaje, czy podjąć próbę sprzedaży w antykwariacie z odpowiednią stratą w cenie, czy czekać, aż nadarzy się okazja podarowania komuś niefortunnego prezentu...

Idealnym rozwiązaniem byłyby stosowane dawniej bony książ-

kowe. Nie wiem, dlaczego ich zaniechano. Można było czekać z takim bonem na ukazanie się pożądanego pozycji, można było wybrać z istniejących zasobów coś co nabywcy najbardziej odpowiada. Zakłady pracy przy różnych okazjach obdarowywały pracowników nie musiały delegować trzech panienek do księgarni, żeby w imieniu rady zakładowej przydzielić stos wybranych przez siebie książek. Radca prawny odchodząc na emeryturę nie musiał udawać, że cieszy się „Zaklętym dworem” Łozińskiego i „Życiem codziennym Basków” za króla Karola II, a panienkom akurat te dwie pozycje wpadły w oko; jedna — bo okazała się na piękny papier, druga — bo o duchach we dworze. Nikt nikomu nie zadrościł „lepszej” książki, nikt nie śmiał się z kolegi, obdarowanego słownikiem duńsko-włoskim. Bony były dobre na wszystko, komu się więc nie podobały?

Oprócz bonów Domu Książki kursowały też przez jakiś czas analogiczne bony, upoważniające do dowolnych zakupów w

domach towarowych. Nie był to żaden wynalazek, w ten sam sposób kupowałem drobniaki w Warszawie czterdziści lat temu: również doskonała forma dawania upominków bez ryzyka głupiego wyrzucania pieniędzy. Dlaczego zaniechano? Komu się nie podobało?

Przez wiele lat straszyla po ulicach loteria książkowa; mogły z pamięci wyrecytować listę tytułów, stanowiących fanty w tej loterii. To były te same tytuły przez dwadzieścia lat. Wreszcie ktoś je widocznie wygrał, skoro loterii na ulicach nie ma i nikt nie dopłaca wielkich pieniędzy do upowszechniania bardzo problematycznej literatury. A może jeszcze odżyje? Może jeszcze raz zyskamy szansę wygrania za dwa złote „Pellego Zwycięzcy” i „Kima Sangina”?

To jednak lepiej, żeby odżyły bony. Zwłaszcza książkowe, ale mogą być i inne.

CWIEK

lewym okiem

Nie zaginął jeszcze obyczaj dawania upominków w dniu imienin lub z okazji „gwiazdki”. Daje się też prezenty przy okazji przełomowych osobistych wydarzeń, takich co to zdarzają się raz — no, najwyżej trzy razy — w życiu: ślubów itp., ale to już są prezenciska, nie prezenty. Musi to być rzecz parutysięczna, okazała, prestiżowa, nie poniżej roweru, roboty kuchennej i zegarka z kalendarem.

Daje się też bez opamiętania kwiaty i właścicieli szklarni nigdzie na świecie nie robią takich interesów, jak u nas. Wystarczy Dzień Kobiet, Dzień Nauczyciela i Dzień Zmarłych plus Zośka i Andrzej. Ale wróćmy do imienin, gdzie nie zaginęła jeszcze tradycja upominków matych i średnich, dawanych niezależnie od kwiatka. Do niedawna przy kwiatku mogło być pudełko czekoladek, ostatnio jednak luksus ten nie

PO BALU

Sporo już przeczytałem artykułów w różnych pismach na ten temat, ale przyznaję, że z takim pytaniem w żadnym z nich nie spotkałem się. A jest to pytanie — moim zdaniem — bardzo istotne. Sądzę, że kierownictwo ŁKS zorientuje się wreszcie, na czym polega błąd i sytuację zmieni. W każdym postępowaniu musi obowiązywać logika. Jeśli postępuje się wbrew logice, sprawa się wrzenie braku poczucia odpowiedzialności. A odpowiedzialność nie jest pojęciem abstrakcyjnym. Ponoś się ją wobec kogoś. Najczęściej wobec społeczeństwa. W tym wypadku wobec kibiców.

Są oczywiście instytucje, którym wydaje się, że ponoszą odpowiedzialność tylko wobec historii i dobrej Boli. Do takich instytucji należy między innymi Poczta Polska. Miała ona w swojej przeszłości okres heroiczny, a teraz weszła w okres całkowitego lekceważenia swoich klientów. Nasza cywilizacja zmusza nas wszystkich do nawiązywania coraz bardziej biurokratycznych kontaktów z innymi osobami i instytucjami, położonymi nie tylko w różnych częściach kraju, ale i świata. Korzystamy już z dobrodziejstw automatycznego łączenia rozmów telefonicznych. Wprawdzie ilość telefonów ciągle nas nie zadowala, a to inna sprawa. Na gmachu Urzędu Poczty w Warszawie przy al. T. Kościuszki widać nawet skrzynki dla przesyłek lotniczych. Cóż z tego, skoro w mieście trzeba będzie

powrócić do instytucji posłańców.

Telewizja pokazuje nam filmy z dawnych czasów i widzimy tam, że ktoś wysłał list rano, a adresat otrzymuje go popołudniową pocztą. Było kiedyś takie pojęcie: „poranna poczta”, „popołudniowa poczta”, „wieczorna poczta”, „przez umysłową”. Pojęcia te należą już do historii Poczty Polskiej. Zaproszenia na nasze jubileuszowe spotkanie wysłaliśmy 10 marca 1978 roku. Niekiedy otrzymaliśmy je akurat 16 marca 1978 roku, czyli w dzień naszego jubileuszu, a niektórzy być może dopiero nazajutrz. Sami zresztą otrzymujemy zaproszenia na różne imprezy w dwa lub trzy dni po terminie.

Ale mało tego. Oto „Dziennik Popularny” donosi o tym, że z braku skrzynki typu „hermes” listonosze zostawiają listy w nowych blokach na klatce schodowej. Rozumiem, że nieustanne chodzenie po schodach i to kilkadziesiąt razy w ciągu dnia, a może i więcej jest uciążliwe i męczące, ale nadawca każdej przesyłki powinien być w pełni zaufaniau poczcie i wierzyć, że poczta, z całą odpowiedzialnością za te przesyłki, dostarczy ją do rąk adresata. Na poczcie pracują jednak widać ludzie nie tylko bez poczucia odpowiedzialności, ale i bez wyobraźni. Gdyby było inaczej drżeliby o każdy najmniejszy list, bo mogliby wyobrazić sobie jakie niesie on ważne wiadomości od nadawcy do adresata. A może stęskniona

dziewczyna pisze swojemu wybranemu, z którą rozłączył ją los, że go kocha. Tylko człowiek bez wyobraźni uzna taką wiadomość za mało ważną i zostawi list na schodach.

Jeżeli już o poczcie odwołujemy się do poczucia odpowiedzialności, to zaraz nasuwa się tu jeszcze jedna instytucja. Ale nie. O PKP nie będzie ani słowa. Tym razem będzie o PKS. Otóż pośpieszny autobus z Zakopanego do Warszawy zepsuł się 13 marca 1978 roku w Miechowie i po 2 godzinach kierowca wehikułu oświadczył, że dalej nie pojedzie, bo nie może. Inny autobus — ze Szczawnicy do Warszawy — połowił pasażerów do Kielc i zostawił ich tam. W Kielcach oświadczył — dopiero około godziny 17, że dla 13 osób nie opłaci się podstawiać dodatkowego autobusu. W „Trybunie Ludu” zhałasem informację, że kawiarnia łódzkiego Grand Hotelu na pół godziny przed oficjalnym zamknięciem odmówiła usług z względu na to, że oszczędza i że nie obciąża się dla jednego klienta brudzić naczyń itp.

Moglibyśmy te przykłady kompletnego ignorowania pasażera, klienta i petenta mnożyć. Ale nie o to przecież chodzi. Najgorsze jest to, że często jesteśmy beznadni wobec ludzi, których obowiązkiem jest świadczyć nam usługi, którzy powinni wobec nas poczuwać się do odpowiedzialności.

MARCIN RODAK

A MOŻE BLOKI PROGRAMOWE NA CO DZIEŃ?

Telewizja znajduje się wciąż jeszcze w rozwoju, na etapie poszukiwania optymalnego modelu programowego. Nie znaczy to, że idziemy, ku któremu się zmierzamy, ma być jakaś stabilizacja, zakreślenie w dopracowanych formach, które uzna się za te jedne i właściwe. Chodzi o to, że dajmy na to w porównaniu ze starszym o około pięćdziesiąt lat kinem więcej ma na swej drodze znaków zapytania, a mniej samowiadomości.

Wiele słyszy się na każdym kroku utyskiwan na program telewizyjny, często uzasadnionych, innym razem będących wyrazem życzek jednostkowych, zindywidualizowanych do tego stopnia, że trudno o ich globalne spełnienie. Mają one swoje psychologiczne uzasadnienie. Skoro telewizor, lampy Aladyna naszego wieku, wpisany jest jako migocący i gadający mebel w codzienną rzeczywistość Polaka, skoro stanowi jak gdyby składnik krajobrazu czy wystroju każdego niemal mieszkania, to zrozumiemy, że chciałoby się, by okazywał nam pewne posłuszeństwo. Pragnęlibyśmy panować nad nim nie tylko w zakresie możliwości włączania i wyłączania go według naszej woli, ale także, aby przemawiał do nas zgodnie z naszym gustem.

Kino, teatr, koncert filharmoniczny czy estradowy to imprezy leżące jakby na zewnątrz naszej codzienności. Gdy wybierzemy się na jedną z nich, podporządkowujemy się w zasadzie bez protestu rządzącym tam prawom zbiorowego odbioru, dostosowujemy się w reakcjach do otaczających nas innych widzów czy słuchaczy. We własnym domu, w swoich czterech ścianach uważamy się za dyktatorów, a program telewizyjny oceniamy w sposób tak autorytatywny jakby dla nas amych tylko był przygotowany.

Czytając uważnie głosy telewidzów odpowiadających na łamach „Odgłosów” na ankietę w sprawie „Czterdziestolatka”. Nie zamierzam dyskutować z wyrażanymi przez nich sądami, pragnę tylko podzielić się refleksją, że niemal każdy z respondentów wypowiadał się tak jakby był leżącym i wyłącznym adresatem serialu. To potwierdza moja teza, że we własnym domu chcemy mieć takie prywatne kino, jakie nam się przyda, uważamy się za najwyższy — bo jedyny — autorytet.

A teraz wstawmy się w położenie programowców telewizyjnych! Jaka lamigłówek ma być do rozwiązania na co dzień. Starać się dogodzić wszystkim, to przeważnie nie dogodzi nikomu. Nie zamierzam jednak występować tu jako advocatus diaboli, czyli w charakterze obrońcy telewizji. Obowiązkiem jej pracowników

jest szukać jak najlepszych rozwiązań, a dobrym prawem abonenta — czuć się nieusasyfakcjonowanym. Pragnę natomiast zastanowić się nad drogami, które najba dziej zbliżają program telewizyjny do społecznych wymagań.

Wydać mi się że najprostsza metoda programowania jest tak zwany worek, do którego wrzuca się wszystko bezładu i składu: Czas emisji programu powinien być ZAGOSPODAROWANY. Świadomość tego, że programy w umysłach programowców od dawna. Swego czasu wydawało im się, że znaleźli skuteczne lekarstwo na eklektyzm programu: magazyny. Namnożyły się ich co niemiara, wypełniały wyznaczone sobie odcinki czasowe jak najstarciej, ale bez troski o to, co się dzieje za miedzą.

Miedza jest symbolem drobnej gospodarki na wsi. Magazyny telewizyjne mają w sobie coś z tych drobnostawowych gospodarstw, w których to i trochę ziemniaków, trochę żyta, i trochę koni czy a w sumie niczego na tyle, by innymi obdzierać. Redakcja każdego z magazynów szatogęsiła się więc u siebie, a o całość programu nikt na dobrą sprawę nie dbał. Poszczególne fragmenty sklejały ze sobą musiały czarujący, nierzadko przepaszający uśmiechami piękne spikerki lub spikerzy, wybebowani całowicie z programem i mający z nim styczność bardzo powierzchowną.

Wyciągnięto z tego częstotwo wnioski. Pojawiały się tak zwane bloki, w których grupa ludzi bierze na siebie odpowiedzialność za program całodzienny, zestawiając go z możliwościami atrakcyjnych komponentów i cementując swą inwencją i pomysłowością w określonej całości. Bloki programowe „Studio 2”, „Tyk w niedzielę”, czy „Studio 8” mają już swoje osiągnięcia na tym polu i cieszą się powszechnym uznaniem.

Cóż, kiedy są to rozwiązania „od święta”. Dzień powszedni telewizji to nadal nie uporządkowana żadną myślą syntetyzująca składanka przypadkowych programów, jeden od Sasa, drugi od tasi. Bywa, że do „dobranocki” czy „Wieczoru z dziennikiem” nie bardzo chce się włączać telewizor.

Może to w obecnych warunkach naszej telewizji postulat zbyt wygórowany ale chciałoby się czasem, by każdy dzień tygodnia oddano w „dzierzwę” różnym redakcyjnym blokom programowym. Gdzie jest bowiem powiedziane, że zwykły dzień naszej telewizji cechować ma szaryzma i przypadkowość?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

MAGAZYN kulturalny

Lódzki Teatr Wielki wrócił z kolejnego, trzeciego już tournée po RFN. Lodzianie zaprezentowali 12 przedstawień „Gajane” Chaczaturiana oraz „Orfeusza” Monteverdiego. Z wyjątkowo serdecznym przyjęciem spotkali się goście w robotniczym mieście Leverkusen, dokąd teatr przybył staniem znanego koncertu chemicznego Bayera.

Natomiat do Związku Radzieckiego wybrała się w kwietniu Orkiestra i Chór Filharmonii Łódzkiej, aby zainaugurować tam „Dni Kultury Polskiej”. Łódzka orkiestra będzie jedynym zespołem symfonicznym reprezentującym nasz kraj w czasie „Dni”.

Na IX Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie nadano w tym roku 525 obrazów 244 autorów. Miło nam donieść, że wśród nagrodzonych znalazł się łódzianin Grzegorz Sztubski. Jeden z medali przyznano również innemu łódzkiemu artyście — Marianowi Kepińskiemu.

600-lecie istnienia obchodził w tym roku Zgierz. Z tej okazji przypominamy, że na terenie Zgierza istnieje sporo drewnianych domów ścieżkowych, tworzących zespół prawie klasztoru. Trzeba je zachować i konserwować. W zabudowanym domu „Pod Lwami” powstaje muzeum. W trakcie obchodów 600-lecia otwarta będzie tu wystawa eksponatów zebranych przez członków Towarzystwa Przyjaciół Zgierza.

Przed rokiem pisaliśmy w numerze wielkanocnym „Ogłosów” o ambitnych planach rewaloryzacji łódzkiego Starego Rynku. Dzięki staraniom kombinatu „Budrem” (ponadplanowym) zaczyna przybywać pod arkadami nowych placówek. 11 marca w północnej pierzei Rynku otwar-

Z ŁODZI I OKOLIC

to księgarnię (s ciekawie zaprojektowaną wnętrzem i meblami), a niedługo po niej — w sąsiedztwie — antykwariat. Czekamy na dalsze, przewidziane w programie rewaloryzacji, placówki kulturalne i gastronomiczne.

Rozstrzygnięty został kolejny konkurs na prace doktorskie o tematyce społeczno-gospodarczej i kulturalnej, mającej istotne znaczenie dla rozwoju Łodzi i województwa. Organizatorem konkursu jest Rada Naukowa przy Prezydencie m. Łodzi. Wśród nagrodzonych w 1978 r. nie zauważyliśmy, niestety, prac poświęconych kulturze Łodzi.

W Łodzi staraniem ZŁ ZSPM powstało pierwsze w Polsce Małe Studio — Dziennikarskie. Większość spośród 60 artystów w pierwszym roku istnienia uczestników Studium stanowi młodzież pracująca.

25-lecie pracy reżyserskiej obchodził znany twórca filmów krótkometrażowych Edward Paleyński. W wywiadzie dla „Dziennika Popularnego” jubilat westchnął: „Ech, a były czasy, kiedy liczy się tylko nazwa krótki metraż”. Wśród pobożnych życzeń pod swoim adresem jubilat wymieniał m.in. wydanie tomiku wierszy. Nie wzięliśmy, że ta quasi — propozycja zainteresowała Wydawnictwo Łódzkie...

Obradowała Rada Programowa Jedynej w kraju Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych Województwa Łódzkiego, 15 towarzyszów i stowarzyszeń liczy sobie Federacja wśród swoich stałych członków. Celem jej działań jest koncentracja wysiłków, ponieranie i skupianie niedolnych akcji. Ostatnio Federacja utworzyła własny fundusz wydawniczy, dzięki któremu ukazał się „Rocznik Łódzki” i monografia Teatru Nowego.

przy ul. Zawiszy 34. Najmłodszy uczestnik wystawy jest uczniem V klasy szkoły podstawowej. Wystawa czynna na jest do 15 kwietnia. Polecamy!

10 marca około południa pojawił się pierwszy bukiet. Rozłożył on swoje książki i komiksy między kopertami a salata na straganie mini-targowiska przy ul. Rewolucji 1905 r. Nazajutrz nie wrócił.

Od 1 do 14 marca trwa w Łodzi dorocz-

ny przegląd najgłośniejszych filmów świata. I „Konfrontacje” nie obyła się bez „Jamaica kości”. Wolnych miejsc nie zastrzeżono na filmach Rameau, Avidsena i Felliniego.

W pierwszej wojnie robotniczej marca imprezy kulturalne przebiegały już pod znakiem „Konfrontacji”. Zorganizowała ZDK „Ariadna” zapraszała z tej okazji na projekcję filmu pod tytułem „Dzień szatarni”. No comment!

W łódzkim Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym otwarto wystawę p.n. „Dzieje pieniądza”. Zaprezentowano na niej monety i banknoty z całego świata w rozwoju chronologicznym od czasów najdawniejszych do obecnych.

Pod hasłem „Filrtulem i Meipomena” sieradzkie przedsiębiorstwa „Orbis” i „Gromada” zorganizowały specjalną linię autobusową do Łodzi dla miłośników teatru. W ciągu roku odwiedza łódzkie teatry 10 tys. osób ze wsi i miast woj. sieradzkiego.

W galerii sztuki PWSSP — wystawa prac pedagogów. Składa się ona tylko z „Wizytówek” i nie daje możliwości prześledzenia drogi artystycznego rozwoju wykładowców PWSSP, co miało by z pewnością również korzystne skutki dydaktyczne.

W Domu Środowisk Twórczych odbył się „wernisaż tekstów wizualnych”, polaczone z wprowadzeniem teoretycznym J. Valocha z CSRS oraz kolokwium nt. „Uwarunkowania wizualnych w sztuce współczesnej”.

Niewątpliwą atrakcją wielkanocną są w tym roku pocztówki w kształcie jajka.

Jeszcze w tym roku nakładem Ossolinu ukazał się „Antologia poezji białoruskiej” w opracowaniu łódzkiego poety i tłumacza Jana Huszczy oraz Aleksandra Baraszczyńskiego.

Z CYKLU: „PUDEŁA”

KĄDZY CHWYT DOZWOLONY

W recenzji pt. „Samo życie” („Ogłosy” nr 11) dr Wł. Orłowski analizuje zjawisko „natworności identyfikacji” postać serialu z jej wykonawcą. Chcąc podbudować swój wywód autor wyraża pogląd, że „z podobną mistyfikacją nie stykaliśmy się w teatrze ani w kinie”.

Jak ryzykowna to teza, niech świadczy krótkutka anegdota (za jej autentyczność odpowiada mgr A. Józwiak, który opowiadał ją był przed paroma laty w „Dzie-



Foto: W. Parys



Foto: W. Parys

Wybrałszy „POLONIĘ” również dlatego, że dwa lata temu tłum widzący powiódł w kłopoty (przed „Szczęściem”) W tym roku „Jamaica kości” obawiano się na „Casanova”. O ORGANIZACJI mówią kasjerki J. Grabkiewicz i J. Wygoda: — Gdy w prasie pojawiły się wzmianki o dodatkowych projekcjach w „POLONII”, w dwóch pozostałych kinach „konfrontacyjnych” nie było już karnetów. Ludzie zaczęli się do nas. Do ostatniej chwili drukowano karnety, programów już nie zdążyliśmy. Jedynym źródłem informacji w kinie były więc opinie przez nas wypisane listy tytułów zawieszane na sztychach kas.

O PUBLICZNOŚCI: — Z reguły przez kwadrans po rozpoczęciu projekcji na widowni panował balagan: łomotały buty, trząsały krzesła, biły się latarki. Czyżby wytrwała publiczność? „Konfrontacji” nie wiedzieliśmy, że filmy „Ida” bez PKF? A już rzeczą niedopuszczalną jest rozpoczynanie projekcji przy rozwalonych na oścież drzwiach i wpuszczaniu widzów społonych o pół godziny!

Mimo wszystko można podziwiać tych, którzy wytrwali przez całe 14 seansów, walcząc z niewygodą lub z cicho czytane listy dialogów i kontemplując obraz, który wielokrotnie także budził zastrzeżenia (choćby ten kopii na „Casanova”). A sztucznych sztych w tym roku nie zanotowano...

Są ludzie, na których obserwujemy ostatnio zanik społecznej rangi zawodu artysty (czyli, magistra sztuki) wpływa wyraźnie mobilizacja. Usiłują oni przekonać nas, że prawdziwy artysta zawsze będzie dostrzeżony. Takie wyróżnienie spotkało artystkę Teresę May — Człowską w komunikacie o laureatach plebiscytu „ŁODZIANIE-77” (opublikowała go cała łódzka prasa). Innego laureata — T. Chróscielewskiego przedstawiono tam skromnie, jako „pisarza”, zaś K. Dębskiego — jeszcze skromniej — jako „muzyka”. W sprawie tej otrzyma-

POLEMIKI

ny redakcji poruszył inny aspekt tej sprawy. „Ze względu na to, iż twórczość T. Chróscielewskiego — czytamy w liście — posiada wybitne walory artystyczne, sformu-

W sprawie tej otrzyma-

Z CYKLU: „PUDEŁA”

DWIE KURACJE

O dwóch kuracjach donosi na sąsiednich kolumnach „G.R.” nr 44. Tytuł na s. 4: „Kuracja odchudzająca transformatora wielkiej mocy”. Na s. 5 zaś: „Odmiadzająca kuracja pabianickiego przemysłu”. Pytanie, które naszym zdaniem nie może pozostać bez odpowiedzi: Jaka kuracja na pobudzenie inwencji przepadła obu autorom?

NIE TYLKO O MYCIU NÓG

Jedenastą książkę z serii „Pan Samochodzik” ukończył Zbigniew Nienacki. W wywiadzie dla prasy pisarz podkreślił, że mimo czynionych prób, nie udało mu się zerwać ze swym popularnym bohaterem. Nienacki wyjawiał również tajemnicę swojej nowej powieści: „Jej akcja dzieje się na terenie województwa olsztyńskiego. „Jak mi się wydaje, spłaceniem w ten sposób dług wobec ziemi mazurskiej, która mnie przyciągała” — wyznał autor. Która ziemia wydawała się Nienacki przyciągać? Zapowiada natomiast kolejne „Samochodzik”. Zapowiedź ta wywołuje złość łódzkich wędrowników (z wyjątkiem jednego — nazwa znana redakcji).

Z CYKLU: „PUDEŁA”

NIEFORTUNNY PRZYKŁAD

Po dość nieszczerzym przykładzie signału red. TOMASZ JAWORSKI w wywiadzie „Głosie w dyskusji o drobnośmierciach” („Życie” 14 października — „G.R.” nr 58), pisząc m.in.: „budujemy do życia z takich „cecielek” jakśmy sobie sami „wypieklili”. I trudno z nich dla każdego postawić nadzwyczajną wille czy nawet 5-pokojowy segment. Bo na mieszkanie czeka się nadal jeszcze długie lata, w handlu samochodami obowiązują talony, a ostatnie wydanie „Półki” podchodzi sprzed lat 14 i ma o pięć tysięcy nakładów”.

Autorem — erudyty i jego czytelnikom, którym jak sugeruje red. T. Jaworski nie grozi na razie przedziwienie poezji R. M. Rilkego, wyjaśniamy, że od czasu wydania „Poezji wybranych” w przekładzie M. Jastruna (istotnie przed 14 laty) wiersze tegoż autora wydawane były w Polsce jeszcze cztery razy (w 1967 r. w Bibliotece Poetów XX w., w 1974 r. w nakładzie 14 tys. egz., w 1974 r. kiedy to ukazał się monumentalny tom „Poezje” — w przekładzie M. Jastruna, w 1973 roku w Ossolinu ukazał „Księgę dźwięków” przetłumaczony przez B. Antkowiaka, a w trzy lata później „Piosn o miłości i śmierci” Kornela Krzyżanowskiego). W tym czasie w tłumaczeniu Adama Włodki, i dość wysokim nakładzie 15 tys. egz. wydawnictwo Literackie, Łódź, wydało dzieło R. M. Rilkego ściegł w Polsce po wiersze już 30 tys. egz. W porównaniu więc z innymi, niemieckimi wierszami poetami (choćby Franciszkiem Rimbaldem czy Verlaine’em) twórczość Rilkego cieszy się u nas względami nie tylko tłumaczy, ale i wydawców. Co oczywiście nie znaczy, iżbyśmy mieli jego wiersze w każdej księgarni i na każde życzenie.

Te pierwsze łódzkie wypróbowane nie książek założyły przed dokładnie 80 laty siostry FELICJA i MICHAŁINA PIENKOWSKIE. Pod zaborem była ona jedną z nielicznych placówek tego typu. Jedyną trudność to konieczność przeznaczenia co najmniej całego rąba na wadium, tj. zastaw od jednego tomu miesięcznie i czterdziestu kopieków na opłacenie również miesięcznego od tej jednej książki abonamentu”.

W jednej ze swych „Gawęd o starej Łodzi” H. Duninówna. Chce upamiętnić literaturę polską siostry Pięnkowskiej wprowadziły abonamenty ulgowe, a nawet bezpłatne — dla robotników. W tych czasach była również wypróbowana częstym miejscem spotkań dla wykształconych, w tym w swoich pamiętnikach prof. Ludwik Krzyżanowski.

Niemcy w czasie okupacji wywieźli cenny księgozbiór. Mimo to — staraniem sędziwej już Felicy Pięnkowskiej — biblioteka odżyła po wojnie na nowo. Z radością przysłał wiadomość o jej otwarciu Tuwim. Dzięki jego osobistej interwencji prywatna wypróbowana uniknęła groźby likwidacji w 1953 roku. „Pragnę, żeby Pani wiedziała — pisał wówczas do F. Pięnkowskiej poeta — że zawsze z czułością wspominam obie miłe Pani i wypróbowane książki i kataloż (jak żywe mam je przed oczyma...). Mityczne i legendarne czasy! Czy mogłem wtedy marzyć, że na tych półkach znajdą się kiedyś książki przeze mnie napisane?”

Nie żyje już założycielka wypróbowanej i adresatka tych słów. Do 1964 roku prowadziła placówkę DOMICELA IWASIEPCZKO, a po niej (do dziś) DANUTA BURSZA, która wraz z Marią Ossolińską troszczy się o to historyczne już miejsce i księgozbiór. Dopiero w 1978 r. liczba woluminów zbliżyła się do stanu sprzed wojny i grubej (ponad 25 tys.). Dzięki Wydziałowi Kultury UM wywieźli się skromny lokal biblioteczny.

W ciągu najbliższych dwóch lat zamierza się zbudować podcienia przy ul. Struga. Wypróbowana straciłaby zapewne swoją część frontową. Many nadzieje, że na wyższej ja. I jest biblioteka, która sześciu lat dożyła 80 lat, o rokrocznie dzięki staraniom swych miłośników unikając likwidacji, pozostała tam gdzie była i jest. Pod numerem 5 dawnej ulicy Andrzejki, gdzie Julian Tuwim chadzał na swój pierwszy „dziecinny uniwersytet”.

wybrał: T.S.

Festiwal tytułów wiosennych

Przedstawiamy dziś pierwszych kandydatów do tytułu Tytułu — Miłster Wiosny 1978: „CORAZ WIĘCEJ UROKOW WIOSNY” („G.R.” nr 57), „WIOSNYCH PORZĄDKÓW CZAS” („G.R.” nr 57).

Zapraszamy kolegów dziennikarzy i naszych czytelników do nadsyłania swoich kandydatur — proponując do tytułu (na adres organizatora) z dopiskiem „MAGAZYN”. Autor najoryginalniejszego tytułu będzie nagrodzony.

T.S.

SZAŁ STAROCI

Kim są kolekcjonerzy staroci? Zdaniem jednego z nich, kustosa Działu Numizmatycznego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi ANATOLA GUPIENKA, kolekcjonerzy to ludzie... choćby, nankowcy podobni alkoholikom, z tą tylko różnicą, że nalog zbieracza przybiera z reguły postać bardziej wysublimowaną i mniej szkodliwą społecznie. Ale jak oślik nie może żyć bez wódeczki, tak zbieracz bez nieustannego zadośćuczyniania swojej chorobliwej manii. Tak przynajmniej twierdził kust. A. Gupienka...

— Jakże są przyczyny niebываłego w ostatnich latach rozwoju kolekcjonerstwa? Co najmniej trzy. Kiedyś było ono przywilejem możnych. Po II wojnie nastąpiła demokratyzacja zbieractwa. Po drugie, inwestowanie w „staroci” jest jeszcze korzystniejszą formą oszczędzania, niż w PKO. Ale najważniejszą przyczyną jest po prostu miłość do wszystkiego, co pachnie starociem, historią, dziełem sztuki, artystycznym, relikwiarzem. Często najbardziej wartościowe bywały przedmioty o pospolitym przeznaczeniu; nie trzeba gonić za rarytasami, bo najcenniejszy nierzadko znaczy: najciekawszy. Kolekcjonerstwo stwarza szansę ochrony dzieł sztuki przed zniszczeniem, a gieldy staroci dają możliwość ich materialnej weryfikacji, okazję do konfrontacji zbrojów. Na łódzkiej giełdzie, organizowanej przez „Express” i polskiej Dom Kultury każdy wyzyska coś dla siebie. Ja na przykład znalazłem tu ostatnio stare, rozsypane pocztówki z pozdrowieniami, drukowane — jak się okazało — w dawnej łódzkiej drukarni przy ul. Gdańskiej.

Na tej giełdzie działam od początku swym zbieraczem. Każdy może być narkotyk na kupno „falszu”: zwłaszcza gdy kieruje się tylko wyzyskiem. Często ludzie nie orientują się w wartości przedmiotów, które wyrzucają na śmietnik (a na giełdy przynoszą resztki). Ale niejednemu handlarzowi dowiedziawszy się o rzeczywistej wartości przedmiotu, którego chciał się pozbyć, wycofuje go z giełdy. Ktoś kupił cukierki ze 2 tys. Oszczadzałem ja na... 23 tys! Gdy ten ktoś nie o tym dowiedział, zaraz „na wszelki wypadek” zniknął z giełdy. Co by było, gdyby dawny właściciel dowiedział się, że jest wart! Osobna kasta stanowią na giełdach spekulanci, ci, którzy żyją z kolekcjonerstwa i „kiwania” początkujących.

Tymczasem zbieractwo, także to najbardziej korzystne (wyrzoby ze srebra, biała broń, zegary), nie powinno być jedynie źródłem zysku i zarobku. Kolekcjonerstwo jest przygodą, gdy wyciąga się z niego jakieś szersze wnioski. Gdy jest lekcją historii. I gdy wnioski te służą nie tylko nam samym, lecz także otoczeniu, kulturze.

Zagadka

Pisząc do jubileuszowego numeru „ODGŁOSÓW”, felietoniści Cwiek i Widok zupełnie niezależnie od siebie identycznie zatyłowali i bardzo podobnie rozpoczęli swoje refleksje. Pierwsze zdania w obu felietonach nie zostały zmienione, natomiast jeden z autorów wspaniałomyślnie zrezygnował z tytułu na korzyść sąsiada. Który? Cwiek czy Widok?

Wśród Czytelników, którzy przesyłał na nasz adres (z dopiskiem „MAGAZYN”) prawidłowe odpowiedzi, rozlosujemy cenne nagrody: trzy fotografie felietonisty-dziennikarza wraz z autografem. Czekamy!

„Mistrzowie stylu”: CIAŁO W PRASIE

Bąbel o cieleciał ciała

Jerzy Bąbel w recenzji z „Gaspardem” w Teatrze Muzycznym („Dziennik Popularny”). Tym razem miałem okazję przeczytać zamyślenie, które okazało się zbyt długie, gdyż teatr wyszedł raczej obronną ręką, jak się mówi, choć w wypadku podkaszanie muzy owo powiedzonko nie oddaje istoty rzeczy, a już na pewno nie jest to ciekawa ciekawa, która przyciąga uwagę widzów miłośników operetki”.

Karłowiak o narażi

Małgorzata Karłowiak w recenzji „Na telewizyjnym ekranie” („Głos Robotniczy”). „Jakby się jednak bliżej przyjrzyjmy temu programowi, okazałoby się, że Li-pińska tropi duże i małe sprawy, będące jak narażi na ciele różnych naszych instytucji”.

Uchman o kogucie

Waldemar Uchman w „Zagadkach kryminalnych” („Express”): „W samochodzie pocałował ją —